



Ciało
należało do młodej
kobiety

IZABELA ŻUKOWSKA
TEUFEL



Oficyna

Izabela Żukowska

Teufel

Copyright © Oficynka & Izabela Żukowska, Gdańsk 2014

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie drugie w języku polskim, Gdańsk 2014

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Projekt okładki: Anna Maria Damasiewicz | www.damasiewicz.idesigner.pl

Zdjęcia na okładce © Narodowe Archiwum Cyfrowe

© Library of Congress

Projekt layoutu, skład: www.dialog.pl; biuro@dialog.pl

ISBN 978-83-64307-33-1

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Konwersja do formatu EPUB/MOBI:

Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

NAZWY ULIC I MIEJSC W JĘZYKU NIEMIECKIM I POLSKIM

Przypisy

ROZDZIAŁ 1

Ciało należało do młodej kobiety. Morska woda, której słony posmak unosił się w ciepłym powietrzu, kapiała powoli ciężkimi kroplami ze strzępów białej, letniej sukienki, a cienkie strużki znaczyły połyskliwą sieć na zsiniałej, przybierającej już zielono-fioletowy odcień skórze. Pończochy zsunęły się z ud aż do nabrzmiałych kostek, w które wpijały się paski rozmokłych, pozbawionych koloru pantofli na niewysokim obcasie. Śliską skórę na nogach okrytych szarpaną wiatrem sukienką znaczyły liczne zadrapania i wybroczyny. Góra sukienki była rozdarta. Pod nią dostrzegł fragment jedwabnej halki obszytej koronką, spod której wysunęła się biała, młodzieńczo gładka pierś. Zwrócił uwagę na łańcuszek okręcony wokół zsiniałej szyi. Medalion, który był na nim zawieszony, leżał obok ciała na mokrych deskach mola. Na złotej kopercie dostrzegł delikatnie wygrawerowany herb swego rodzinnego miasta. Innej biżuterii nie było.

Westchnął ciężko. Na krótką chwilę odwrócił głowę, by złapać w płuca nieco świeżego, morskiego powietrza znad zatoki, choć wiedział, że nie mogło ono zabezpieczyć go przed unoszącym się nad ciałem mdlącym zapachem wilgotnej zgnilizny. Wciągnął w płuca słonawe powietrze i uniósł chustę, którą przykryto twarz denatki. Chusta należała do jednego z chłopców, którzy dostrzegli i wyłowili ciało z morza. Chłopcy stali kilka metrów dalej. Odwróceniu do niego tyłem, składali pospieszne zeznania.

– Szliśmy tędy i nagle zauważyliśmy, że coś unosi się na wodzie, o tam, gdzie przyplływają statki – mówili jednocześnie, przekrzykując się wzajemnie. Razem wskazywali też koniec mola, gdzie znajdowała się

przystań. – Myśleliśmy, że to martwy łabędź i pobiegliśmy, żeby go zobaczyć. I wtedy okazało się, że to była kobieta w takiej białej sukience, no, że wyglądała, jak łabędź. I ta kobieta dryfowała z głową w dół w stronę brzegu. I wtedy ja krzyknąłem do Hansa: Hans, to jest trup! Prawda, Hans? Tak, tak krzyknąłeś. I ja wtedy wskoczyłem do wody, żeby nie odpłynęła, bo wiał wiatr i baliśmy się, że odpłynie. I wtedy Heini ją wyciągnął z wody. A wtedy to przybiegł już posterunkowy.

Podkomisarz Krupke kiwał głową, notując zeznania. Thiedtke w kieszeniach lnianej marynarki poszukał białej, wykrochmalonej chusteczki, którą zakrył usta i nos, by po raz kolejny wyciągnąć rękę w stronę leżącego przed nim ciała. Jeszcze raz uniósł chustę. Tym razem dłużej przyjrzał się twarzy leżącej na deskach mola kobiety, choć to, co z niej pozostało, nie mogło mu pomóc w zidentyfikowaniu zwłok.

Długie, jasne włosy oblepiły jej głowę. Jedna połowa twarzy była nabrzmiała i sino-zielona. Drugą, zwróconą w jego stronę, znaczyło głębokie rozcięcie na wysokości policzka. Spod fioletowo zabarwionej skóry wystawały postrzępione kawałki mięsa. Z galaretowatej brei, w którą zamieniało się rozkładające się ciało, wyłaniały się pokryte zielonkawym nalotem zęby. Nad rozcięciem trwało nieruchomo otwarte oko, które wpatrywało się w niego natarczywie. Pomyślał, że w tym wzroku kryje się smutek, którego kobieta już nigdy nie będzie mogła wypowiedzieć. Ten smutek często widywał w oczach zmarłych.

Zakrył starannie zdeformowaną twarz i wyprostował się powoli. Pracował w policji kryminalnej od czterdziestu lat, ale nigdy tak naprawdę nie przyzwyczyił się do widoku martwych ludzi.

– Krupke! – zawołał. Gdy podkomisarz stanął obok, stwierdził raczej niż zapytał: – Zawiadomił pan lekarza przed naszym wyjazdem z Karenwall?

– Tak, panie komisarzu. Doktor Bauer już jedzie. – Krupke poprawił okulary w drucianej oprawie.

– Znowu Bauer? – mruknął do siebie z niechęcią. Jeszcze jeden beneficjent nowego układu, pomyślał, arogancki dyletant wyciągnięty z niebytu przez ludzi Foerстера. – Niech pan zrobi protokół z oględzin zwłok. I fotografie tym pańskim aparatem – powiedział głośno.

– Czyżby poszła na ruchomą deskę? – Krupke zachichotał, przygotowując się do utrwalenia na kliszy zwłok leżących na molo.

Komisarz nie odpowiedział. Gdyby zależało mu jeszcze na opinii nauczyciela kolejnych pokoleń funkcjonariuszy policji kryminalnej, gdyby zależało mu na pozostawieniu po sobie godnego następcy, który tak, jak on, potrafiłby niezawodnie docierać do sedna powierzonych mu spraw, tworzących niewidzialną, podskórną tkankę tego miasta, gdyby nie myślał o zbliżającej się szybko emeryturze i wymarzonym przez jego Waltraud mieszkanku z ogródkiem na spokojnym przedmieściu, wówczas skomentowałby słowa Krupkego i zauważył, że wypowiedanie ich w takim miejscu nie było odpowiednie dla funkcjonariusza, reprezentującego prawo i władzę miasta, zaś głupi chichot w żadnym razie nie licował z powagą urzędu, który Krupke sprawował. Ale wiele ostatnimi czasy nie mówił, bo zanim cokolwiek powiedział, najpierw pojawiały się myśli o rychłej emeryturze i wymarzonym ogródku, o spokojnym życiu z Waltraud, a także o tym, że jego podwładny przy najszczerszych chęciach i najcięższej pracy nie mógłby ani godnie objąć jego funkcji, ani dobrze świadczyć kolejnym pokoleniom o jego talentach wychowawczych. Uważał bowiem, że Joseph Krupke, jego asystent i zastępca, był kompletnym idiotą, który do policji dostał się tylko dzięki partyjnym koneksjom, choć polityczny konformizm nie był już w stanie zapewnić mu dalszej policyjnej kariery. Do tego mówiono, że Krupke miał w swojej biografii niechlubny epizod, który

zapewne pozostawił w jego słownictwie tak pospolite wyrażenia, jak to, które właśnie wypowiedział, zaś komisarz ciągle podejrzewał, że mimo zapewnień o całkowitym porzuceniu nałogu, Joseph Krupke nadal do niego powracał. Podkomisarz był ponoć pospolitym hazardzistą.

Dobrze pamiętał czasy, gdy burmistrz Waldmann, a potem doktor Laue postanowili z należącego do Wolnego Miasta niemrawego kurortu, z którego pochodziła jego Waltraud, zrobić drugie Monte Carlo. W Zoppot wybudowano wtedy kasyno. Z tego kasyna wielu poszło wprost na deskę, jak określił to Krupke, i wyczyściwszy wcześniej własne i rodzinne portfele i konta, na molo w Zoppot z własnej woli wybierało los nieznaney kobiety, której zwłoki leżały teraz na molo w Glettkau. On sam był zdecydowanym przeciwnikiem hazardu i bardzo popierał pomysł władz miasta, by kontrolować tych jego mieszkańców, którzy chcieli zakosztować ruletki i bakarata. Mówiono, że w sopockim kasynie rodziły się wielkie fortuny, jak ta warszawskiego inżyniera, który w jeden wieczór wygrał podobno okrągły milion guldenów. Ale ostatecznie więcej było takich, którzy poszli na deskę, niż dzięki szczęściu w kasynie trafili do pełnego pieniędzy sejfu.

– Niech pan zrobi protokół z oględzin zwłok – powtórzył, nie patrząc na Krupkego. Poszedł w stronę chłopców zawijających się właśnie w kąpielowe ręczniki, podsunięte przez przejęte kuracjuszki, które ze swych wiklinowych leżaków ustawionych na plaży nieopodal drewnianego pomostu mola obserwowały całe zajście.

– To wy wyciągnęliście z wody te zwłoki? – zwrócił się do nich.

– Tak jest, panie komisarzu. – Chłopcy wyprężyli swoje chude ciała. Ręczniki zsunęły się na deski mola.

– Jesteście bardzo dzielni – powiedział. – Podajcie mi swoje nazwiska.

– Hans Dittel. Heinrich Kellermann – wykrzykiwali, jak w czasie żołnierskiej zbiórki.

Zanotował w małym notesie, który zawsze nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Mieszkacie w Glettkau?

– Nie, przyjechaliśmy z Danzig.

Zapisał adresy, które podali.

– Teraz jesteście wolni – powiedział, chowając notes. – Skontaktujemy się z waszymi rodzicami i ze szkołą, żeby i inni wiedzieli, jakich mają dzielnych kolegów i uczniów. No, a teraz możecie już iść!

– Heil Hitler! – wyrzucili ramiona w gwałtownym pożegnaniu. Z brunatnych koszul, które oklejały ich mocno opalone, sprężyste, choć chude ciała, ciągle kapła morską wodą.

Machnął ręką, jakby chciał odgonić natrętą muchę, kręcącą się wokół kapelusza. Choć był przeciwny tej nazistowskiej maskaradzie rytuałów i patetycznych gestów, wiedział, że na ich jawne lekceważenie nie może sobie pozwolić. Nie lubił tych teatralnych gestów. Bez względu na to, kto je wykonywał, kojarzyły mu się zawsze z egzaltacją wieku, w którym byli stojący przed nim chłopcy. Uważał, że zajmowanie młodzieży sportem i zespołowymi grami było ze wszech miar potrzebne, ale nie podobało mu się, że młodych ludzi wciągano w rozrastającą się wokół propagandę, którą on ciągle starał się ignorować. Zresztą zawsze był przeciwny ostentacyjnemu demonstrowaniu swoich poglądów politycznych. Teraz gdy pozwolono na istnienie tylko jednej słusznej idei, wszelkie inne uznając za wrogie zdrowemu społeczeństwu, uważał to za kompletny nonsens. Nie był zadowolony z kierunku, w którym zmierzał świat wokół, i dlatego z niecierpliwością oczekiwał pierwszego września, by wreszcie odejść na emeryturę i w spokoju zająć się wyłącznie sobą i Waltraud.

Chłopcy odwrócili się i pobiegli w stronę wyjścia do parku przed Kurhausem.

– No, i gdzie ten pana Bauer? – wrócił do Krupkego. Podkomisarz wręczył mu protokół z oględzin.

– O, właśnie przyjechał – ucieszył się Krupke, spoglądając w stronę parku zdrojowego.

Przed wejście na molo, torując sobie drogę wśród wyciągających głowy gapiów, podjechała karetka. Za nią zatrzymał się nieoznakowany czarny, otwarty mercedes na gdańskich numerach.

– To pan ich zawiadomił? – zapytał Krupkego, z trudem kryjąc niezadowolenie.

Z mercedesa wysiadł mężczyzna w czarnym garniturze, któremu towarzyszyła postawna, młoda kobieta. Mężczyzna wszedł na molo pierwszy. Jego towarzyszka podążała pół kroku za nim. Obok niej swoim śmiesznym truchtem podskakiwał doktor Bauer. Cały pochód zamykali dwaj niosący nosze pielęgniarze.

Krupke wzruszył tylko ramionami i rozjaśniony twarz swoim najszerszym uśmiechem, pobiegł w stronę nadchodzących ludzi.

– Obersturmführer von Moltke! – zawołał do mężczyzny w garniturze, który minął go bez słowa.

– Witam, komisarzu Thiedtke! – von Moltke zatrzymał się przy nim.

Pomyślał, że z tą starannie ogoloną kwadratową szczęką i dokładnie wypomadowanymi włosami Obersturmführer wyglądał jak agent ubezpieczeniowy. Sługusy Goetza i Troegera ostatnio za bardzo węszą. Nic dobrego z tego nie będzie – mówił często Waltraud tego lata.

– Zrobił pan protokół z oględzin? – von Moltke podszedł do leżących zwłok.

Porwana sukienka prawie wyschła, deski, na których leżało ciało, nie połyskiwały już w słońcu mokrymi plamami świeżych kałuż.

Von Moltke pochylił się, uginając jedno kolano, i obejrzał zwłoki kobiety. Z równie nieruchomą twarzą, z jaką szedł przez molo, zajrzał pod chustę, po czym wrócił do komisarza i wskazał stojącą dotąd w milczeniu kobietę, która przyjechała tu wraz z nim. – To jest moja asystentka, panna Lotte Meier.

Kobieta skinęła lekko głową. Jej wzrok prześliznął się po twarzy komisarza i zatrzymał w nieokreślonej przestrzeni poza nim. Byłaby całkiem ładna, gdyby odrzuciła tę maskę partyjnej surowości, ocenił Franz Thiedtke.

– Rozumiem, że panowie zrobili już dokumentację miejsca – powiedział von Moltke. Stojący nieco dalej Krupke skwapliwie przytaknął. – Pozwoli pan, że panna Meier zrobi jeszcze kilka zdjęć? – von Moltke nie czekał na odpowiedź. Młoda kobieta wyjęła z płóciennej torby aparat i wraz z doktorem Bauerem podeszła do zwłok.

– Kto odnalazł ciało? – zapytał tymczasem von Moltke.

– Dwaj chłopcy. – Komisarz Thiedtke sięgnął po notatnik i przeczytał nazwiska.

– Miejscowi?

– Z Danzig. Zapisalem ich adresy. Mam ich zeznania. Nie wiedzialem, że pan tu przyjedzie, więc ich nie zatrzymywałem. – W istocie Franz Thiedtke zastanawiał się, co robił tu oficer policji politycznej, która zajmowała się przecież sprawami większej wagi niż tylko zwykłe przestępstwa kryminalne.

– Bardzo słusznie. Porozmawiamy z nimi, jeśli będzie taka potrzeba. Czy denatka miała przy sobie jakieś dokumenty? Coś, po czym można by ją zidentyfikować?

– Nie, nic. A jej twarz... No, cóż. Nie pomoże w identyfikacji.

– Komisarzu Thiedtke, mamy teraz znakomite metody identyfikacji – von Moltke wydał policzki i spojrzał na komisarza z wyższością. Jego lodowato błękitne oczy błyszcząły, odbijając ciepłe promienie nadmorskiego słońca.

Nie odezwał się. Zacisnął tylko szczęki, bo wiedział, że jego metody dochodzenia prawdy, choć ciągle skuteczne, młokosy sprowadzone przez Goetza do prezydium przy Karenwall wyśmiewały po kątach. Jego samego uważano za relikw z epoki Bismarcka i nikt nawet temu nie zaprzeczał.

– Panno Meier, niech pani nie dotyka zwłok! – krzyknął nagle von Moltke do swojej asystentki, która klęcząc koło ciała martwej kobiety, uniosła leżący na deskach medalion i drżącymi dłońmi usiłowała go otworzyć. W końcu rozchyliła medalion i pokazała wnętrzu pochylającemu się nad nią doktorowi Bauerowi.

– Panno Meier, czy pani mnie słyszy? Co pani robi? – von Moltke poszedł w jej stronę sztywnym krokiem.

Doktor Bauer pomógł Lotcie Meier wstać, a kiedy komisarz Thiedtke stanął za plecami poirytowanego von Moltke, asystentka odezwała się słabym głosem:

– Obersturmführer, ja... ja wiem, kto to jest.

Jej twarz była blada. Komisarz zauważył, że Bauer pomaga zachować jej równowagę, w przeciwnym razie mogłaby upaść na deski obok zwłok.

– Jest pani pewna? Kto to jest? – Thiedtke i von Moltke zadali pytania niemal jednocześnie.

– Ja... ja poznałam ten medalion. – Lotte Meier wskazała na przedmiot leżący na deskach. – Ona zawsze go nosiła.

– Czy pani zna jej nazwisko? – Thiedtke wyciągnął szybko swój notes.

– Tak. – Kobieta wzięła głęboki oddech, przymykając oczy. – To Marianna Walewicz.

– Walewicz? Jest pani pewna? – von Moltke nie notował. Franz Thiedtke zauważył, że nigdy tego nie robił.

– Polka? Skąd ją pani zna? Rozpoznała pani jej twarz? – odwrócił się do swego zastępcy i pokazał, by sfotografował medalion.

– Byłam kiedyś jej sekretarką. W tym medalionie jest zdjęcie jej matki. Jestem pewna, że to ona, bo nigdy... nigdy go nie zdejmowała.

Krupke kręcił się wokół, robiąc zdjęcia.

– Medalion mógł zostać skradziony – zauważył komisarz. – Rozpoznała pani jej twarz? Jest pani w stanie zidentyfikować zwłoki?

– Nie, jej twarz jest przecież w okropnym stanie. – Lotte Meier potrząsnęła przecząco głową.

– Ciało znajdowało się w wodzie około dwóch dni – wtrącił się doktor Bauer. – Drobnoustroje, żerujące ryby... W wodzie ciało ulega rozkładowi znacznie szybciej niż pozostawione na lądzie.

– Musimy zbadać tę sprawę. Komisarzu, proszę przekazać doktorowi Bauerowi protokół z oględzin. I niech mi pan do jutra dostarczy raport z zeznaniami świadków. – Von Moltke przybrał ton zawodowego służbisty. – Proszę zabrać ciało – rozkazał sanitariuszom. – Panno Meier, proszę iść do samochodu.

– Tak jest, Obersturmführer. – Lotte Meier wciąż nie odzyskała rumieńców na pozbawionej makijażu twarzy, jednak komisarz Thiedtke widział, że próbuje opanować emocje.

Kobieta, wciąż podtrzymywana przez doktora Bauera, poszła w stronę mercedesa. Za nią podążyli pielęgniarze, którzy z wprawą ułożyli na noszach ciało kobiety i okryli je białym, szpitalnym prześcieradłem, unoszącym się z każdym podmuchem nadmorskiego wiatru. Franz Thiedtke widział, jak wsuwają nosze do karetki. Doktor Bauer pomógł w tym czasie

Lotcie Meier zająć miejsce na fotelu pasażera w czarnym mercedesie von Moltkego.

– Komisarzu Thiedtke, oczekuję raportu jutro o ósmej rano. A teraz żegnam. – Obersturmführer von Moltke zaszalutował, po czym przedfilował przez molo w Glettkau sprężystym krokiem zawodowego wojskowego. Z wysoko uniesioną głową minął gapiów zebranych przy wejściu i wsiadł do mercedesa. Po krótkiej chwili konwój ruszył w stronę Oliwy.

Komisarz pozostał na molo wraz z Krupkiem i schupowcem, który sprowadził ich na molo w Glettkau. Unterwachtmeister Rudolf Schmidtke, tak przedstawił się, gdy znaleźli się na miejscu, ocierał teraz pot spływający po nalanej twarzy spod ozdobionego gdańskim herbem czako. Krupke, mrużąc oczy, wzrokiem odprowadzał czarnego mercedesa.

– Co się pan tak poci, Unterwachtmeister? – warknął komisarz. Schupowiec schował szybko chustkę i wyprostował się.

– To przez to słońce, panie komisarzu! – wyrzucił przed siebie.

– Dobrze, dobrze. Może się pan odmeldować!

Komisarz nie był zły, raczej rozgoryczony. Kiedy zobaczył von Moltkego, powinien był od razu domyślić się, że gestapo odbierze mu ostatnie śledztwo, a on, komisarz Franz Thiedtke, o którym mówiono kiedyś, że nigdy się nie myli i zawsze znajdzie winnego, odejdzie na emeryturę, jak byle jaki partacz, który nie potrafił rozwiązać prostej sprawy. Oglądając zwłoki, miał już hipotezę dotyczącą tego, co musiało przydarzyć się wyłowionej z zatoki kobiecie. Nic skomplikowanego. Nic, czym musiałby zajmować się pion polityczny. A że była Polką? No, cóż. Polki też mają prawo chodzić po ulicach. Ta była zapewne nieostrożna, może wybrała się na samotny spacer z Zoppot do Glettkau, złapał ją pod drodze zmrok, a kiedy wokół panują ciemności, mogą przydarzyć się różne rzeczy,

myślał wcześniej, gdy pochylając się nad cuchnącymi zwłokami, usiłował złapać oddech. Teraz jego hipoteza nie miała żadnego znaczenia.

– Chodźmy – powiedział do Krupkego, ostatni raz spoglądając na wysychającą plamę wody, która jak cień znaczyła zarys zabranego ciała. – Wracamy na Karenwall. A pan musi jeszcze dziś jechać do Bauera. Słyszał pan? Chcę mieć raport z sekcji zwłok tej kobiety jutro rano na moim biurku.

ROZDZIAŁ 2

Zeszli z mola, za sobą pozostawiając morze, którego słony smak komisarz Thiedtke czuł ciągle na spieczonych wargach. Znudzeni już trochę gapie, którzy zebrali się przy wejściu, zaczęli się powoli rozchodzić. Podróżni oczekujący na statki gdańskiej floty, zabierające zmęczonych plażowaniem do Zoppot i w drugą stronę do Brösen, na Westerplatte i do Danzig wprost pod Żurawia, ruszyli na molo, do którego przybijały małe wycieczkowce. Przed budynkiem Kurhausu w równych szeregach rozstawiono stoły dla plażowiczów, których było tutaj mniej niż w Zoppot, gdzie ciągnęło towarzystwo bardziej eleganckie i gotowe więcej zapłacić za to, co oferowało nadmorskie kąpielisko pana Haffnera, jednak wiele miejsc było zajętych.

Okrążyli Kurhaus. W sierpniowym słońcu czarne deski szachulcowej konstrukcji ścian ostro odcinały się od świeżej bieli tynku. Wystraszona ich obecnością dziewczyna, którą spotkali przy ustawionym na tyłach wielkim koszu na odpadki, uciekła na ich widok. Wsiedli do zaparkowanego tutaj auta. Komisarz opuścił szybę, uruchomił silnik i żwirową alejką skierował opla w stronę młyńskiego stawu, by wzdłuż linii tramwajowej numer dziesięć udać się do Danzig.

Krupke, który siedział na miejscu pasażera, swoim zwyczajem skurczony, jakby zawsze gotowy do szybkiej ucieczki, położył na kościstych kolanach złożoną równo poranną gazetę. Spuścił wzrok i w milczeniu przebiegał wzrokiem artykuł z pierwszej strony.

– Co pan tam wyczytał? – po długiej chwili milczenia komisarz przerwał ciszę. Nieco zniecierpliwiony, bo nie czytywał „Danziger Vorposten”, tego, jak mawiał do swej Waltraud, szmatławca. Od czasu gdy zamknięto „Danziger Volksstimme”, sięgał po „Danziger Neuste Nachrichten”, choć i ten dziennik pełen był ostatnio nachalnej propagandy, której nie znosił. Chciał jednak wiedzieć, co dzieje się w świecie, a na kroniki filmowe rzadko miał czas. Waltraud słuchała gdańskiego radia, ale wolała audycje muzyczne, wiadomości z dezaprobatą ignorując.

– Do portu w Danzig wpłynął nasz okręt szkoleniowy. – Krupke był entuzjastą nazistowskich wiadomości.

– To takie ważne? – komisarz wzruszył ramionami. – Nic innego tam nie piszą, panie Krupke? Kiedy wybuchnie wojna na przykład?

Krupke wydał policzki.

– Jeśli rzeczywiście wybuchnie, to potrwa kilka dni – powiedział z przekonaniem. – A potem nasz Danzig powróci wreszcie do Rzeszy. Odetchniemy z ulgą, panie komisarzu. No, ale ta wizyta jest wyłącznie kurtuazyjna. Marynarze złożą kwiaty na grobie naszych żołnierzy, którzy polegli na krążowniku Magdeburg. Złożą hołd naszym bohaterom poległym za ojczyznę. – Krupke lubił wpadać w ton, którego nauczył się na partyjnych wiecach.

Komisarz Thiedtke nie odpowiedział. Friedrich Karl, Gazelle, Magdeburg, Lubeck, Danzig, wszystkie pełne chłopców walczących nie o swoją sprawę. Tak to oceniał, choć nigdy nie mówił głośno. Pomyślał o siostrzeńcu Horście, który zaraz na początku Wielkiej Wojny pewnej zimnej listopadowej nocy zginął w ciemnych wodach Bałtyku u wybrzeży Kłajpedy, wyrwany z głębokiego snu wybuchem rosyjskiej miny, na którą wszedł jego krążownik Friedrich Carl. Cieszył się, że poza Horstem nie miał siostrzeńców, których musiałby opłakiwać po wielekroć, a sam akt

poświęcenia i tak nie nabrałyby sensu w obliczu końcowej klęski. Ich ciała Bałtyk pochłonałyby zapewne w czasie bitwy jutlandzkiej, koło Ostergarn, w Cieśninie Irbeńskiej albo na Wyspach Moonsundzkich. Dobrze więc, że nie miał siostrzeńców, których teraz powoływaliby do wojska, bo przecież wszyscy oczekiwali już pierwszych wystrzałów, zastanawiając się tylko, skąd padną.

Przed nimi na błękitnym, sierpniowym niebie zarysowały się wieże oliwskiej katedry. Parkowe drzewa uginały się łagodnie pod podmuchami wiatru, który gnał znad zatoki, rozbijając się dopiero o wzgórza otaczające miasto.

Zawsze gdy komisarz Thiedtke mijał tę spokojną podmiejską dzielnicę, miał wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach wykrochmalonych sukien jego babki. Skrapiała je lekko wodą różaną, by nie trącić maglem, jak mawiała, usprawiedliwiając się z błyskiem kokieterii w fiołkowych oczach. To wspomnienie sprzed lat przynosiło mu zwykle chwilowe ukojenie, bo słodka woda różana przemieszana z mdłym krochmalem była zapachem jego dzieciństwa, a dzieciństwo mimo swej niefrasobliwości i pokaleczonych kolan jest zawsze czasem bezpiecznej radości. Wędrując w pamięci do tamtego świata, który teraz wydawał mu się tak nienaturalnie odległy i tak idyllicznie nierzeczywisty, czuł w ustach smak lodów czekoladowych z cukierni Königsgarten. Żadne inne słodczyce, ani marcepanowe serca, ani sprzedawane na Dominiku toruńskie pierniki, ani ulubione przez dzieciaki Pfefferminzstangen, nie miały tej magicznej mocy przywoływania babki Geszkau, którą posiadły zwykłe lodowe kulki oklejone roztopioną, czekoladową masą. Te lody na oszklonej werandzie podawał mu zawsze ober Mühler, który zanim został oberem strzygł trawnik przed domem z wieżyczką przy Georgstrasse, gdzie babka mieszkała ze swoim Ottonem od dnia ich ślubu. Do cukierni szli z babką

zawsze po niedzielnej mszy, bez względu na porę roku i pogodę. Choć matka, załamując ręce, powtarzała, że lody zimną doprowadzą Franzla do anginy, a może i jeszcze czego gorszego, babka uważała, że lody to najlepsze lekarstwo na oswojenie gardła, jak mawiała, i rzeczywiście, nie pamiętał, by kiedykolwiek cierpiał na jego ból. Zresztą jako dziesięcioletek uważał, że lody w cukierni są tylko należną mu zapłatą za przykładne zachowanie w kościele, bo już wtedy nie interesowały go sprawy wiary.

Siadali zawsze w tej samej ławce tuż obok zimnego filaru podtrzymującego późnogotyckie sklepienie, które rozpościerało się nad jego głową. Rzecz jasna, nie wiedział wtedy, że dodano je dopiero w 1582 roku, a zatem mniej więcej czterysta lat po wydarzeniach, które, zgodnie z miejscową legendą opowiadaną przez babkę, zapoczątkowały nieistniejące już opactwo cysterskie. Spoglądając na gwiaździste sklepienie unoszące się nad głowami wiernych niczym zapowiedź biblijnego raju, nie wiedział i właściwie nie obchodziło go to, że zlikwidowany w 1831 roku klasztor założył Bernard Dithard, Duńczyk, który sprowadził braci cystersów spod miasta Stettin, że zakonnicy najeżdżani wielokrotnie przez Krzyżaków, wezwanych na pomoc przez polskiego króla Łokietka, by odbili miasto z rąk margrabiów brandenburskich, w końcu uznali zwierzchnictwo Zakonu Najświętszej Marii Panny, biorąc rycerzy zakonnych w obronę w czasie sporu z królami Polski przed obliczem samego Papieża.

Nie wiedział właściwie nic o historii miejsca, które regularnie odwiedzał, bo babka Geszkau nie znała jego historii, choć ostatni opat ojciec Ludwik Lamshoeft zmarł w roku, w którym poślubiła swego męża Ottona Geszkau. Babka nie znała też, z wyjątkiem ludowej powiastki, historii Oliwy, choć urodziła się w roku, w którym Oliwę wraz z Danzig przyłączono do Królestwa Prus, ona sama zaś była świadkiem rozwoju tego

miejsca, a Georg Czachowski, pierwszy naczelnik miejskiej gminy utworzonej tu w 1874 roku, na grobie Ottona wygłosił mowę pożegnalną, wzruszając do łez zgromadzonych na oliwskim cmentarzu.

Natomiast niezmiennie babka Geszkau ciągnęła go w miejsce, gdzie na jednym ze wsporników znajdował się herb opata Kacpra Geszkau, i po wielokroć opowiadała historię przodka swego męża, choć on, Franzel, nigdy nie słyszał, by katolicki opat mógł mieć potomków. Kto wie, być może była to tylko rodzinna fantazja i zbieżność nazwisk, a może w jego żyłach naprawdę płynęła krew zakonnika, który był stronnikiem polskiego króla i wielokrotnie pertraktował z wrogo nastawionymi gdańszczanami w imieniu Polaków.

Gdyby jednak babka Geszkau знаła dobrze historię opata oliwskiego klasztoru cystersów Kacpra Geszkau, nie przyznawałaby się do powinowactwa z nim tak chętnie, jak to w istocie robiła. Gdyby wiedziała, jak bardzo losy jej niemieckiego Danzig splatały się z losami innych związanych z nim nacji, w ogóle nie wspominałaby o przodkach.

Mimo tych widocznych braków w wykształceniu babki, Franz bardzo ją kochał, chętnie chodził z nią do kościoła przy Klosterstrasse, a potem na spacer do Schlossgarten nad staw, gdzie razem karmili łabędzie, i do cukierni Königsgarten, gdzie na oszklonej werandzie jadł lody czekoladowe, które przynosił mu ober Mühler.

Z rozrzewnieniem niegodnym komisarza policji wspominał też oliwskie wieczory, gdy babka odgrywała przed nim to samo przedstawienie.

Wiedział, że jej historia była tylko zmyśleniem, legendą, którą babka zszyła ze skrawków rozmów przekupek na targu, z szeptów odbijających się zwielokrotnionym echem od surowych murów katedry, z opowieści piastunek pochylonych nad spowitymi w koronkowe falbanki noworodkami o pulchnych, różowych buziach, które usypiały ukołysane szelestem

wykrochmalonych sukien unoszącym się ponad alejkami Schlossgarten. Zszyła je tak, jak zszywała kawałki starych prześcieradeł, których postrzępione końce oddzielone od reszty własnego bieliźnianego jestestwa suchym szczęknięciem metalowych nożyc z kościaną rączką opadały z cichym westchnieniem na wyglansowaną podłogę, by potem w zupełnie nowej roli zadebiutować w pachnącej pastą do mebli szufladzie na ścierki.

Babka Geszkau nigdy nie pozwoliła, by jej noga przestąpiła próg teatru, który całe swoje długie życie uważała za siedlisko niepohamowanej rozpusty, jednak sama przejawiała niewątpliwy talent aktorski, w młodości ograniczający się tylko do głośnych westchnień, wydymania bladych policzków i przewracania fiołkowymi oczami, bo babka Geszkau miała niezwykle, słynne w całej Oliwie fiołkowe oczy, które nie straciły swego młodzieńczego blasku do późnej starości. Z czasem jednak ów talent rozwinęła i on, jej mały Franzel, mógł oklaskiwać każdego wieczoru dramatyczne występy dawane na specjalne życzenie w zaciszu pokoju w wieżyczce domu przy Georgstrasse.

– Było to w czasach, kiedy w naszej Oliwie nie było jeszcze domów z drewnianymi werandami ani brukowanych ulic, po których toczyły się konne tramwaje, nie było rynku, dworca kolei żelaznej ani tych wież strzelistych naszego kościoła, mój mały Franzel.

Babka zawsze zaczynała tak samo. Zniżała głos i przygaszała płomień lampy naftowej przy jego łóżku. Wtedy on, czując strach przemieszany z ciekawością, bo przecież był tylko ciekawym świata dziesięciolatkiem, podciągał puchową kołdrę pod sam nos i wyruszał w ślad za babką do lasów, które w jej opowieści ciągnęły się aż po horyzont, choć tak naprawdę nie musiał wyteżać wyobraźni, by je zobaczyć, bo wystarczyło unieść wzrok ponad gładko zaczesaną głowę babki, aby ich ciemny zarys zobaczyć za oknem.

– Pogański książę... – ciągnęła babka, przymykając swe fiołkowe oczy. Czyniła ledwie dostrzegalny znak krzyża na piersi, a on wysuwając spod kołdry końcówki palców powtarzał go po niej. – Pogański książę – powtarzała, do którego należały wzgórza i doliny, i wszystko to, co je porastało, wybrał się kiedyś ze swymi zaufanymi wojownikami na polowanie, a dostrzegłszy w leśnej głuszy jelenia, rzucił się za nim w pogoń.

Tu zaczynało się przedstawienie, w którym babka odzyskiwała młodzieńczy wigor, zrywała się na równe nogi, zapominając o dręczącym ją rzekomo artretyzmie, i odgrywała sceny, w których piękny książę, mimo iż nie dane mu było upolować zwierzęcia, trafił na dzika, a ten zamiast uciekać przed jego książęcym majestatem, zaatakował go z zajadłością godną hiszpańskiego byka, wystawionego na arenę wśród wiwatującego tłumu. Kiedy był młodszy i nie wiedział, czym jest hiszpańska corrida, babka musiała robić pauzę i zniknąć za drzwiami, by po chwili ukazać się w nich z książką, w której zdolny, choć anonimowy malarz utrwalił egzotyczne, jak mu się wówczas wydawało, widowisko. Oglądali razem obrazki z dalekiej Hiszpanii, a potem babka wracała do przerwanej roli:

– Książę wycelował w niego – tu zwykle wyrzucała do przodu ramię, jak czynili to szermierze w czasie walki, robiła wypad imitując pchnięcie i zawieszała głos na ułamek sekundy, który jemu wydawał się wtedy całą nieznośną wiecznością, po czym łapała się z dramatycznym westchnieniem za bok, w którym tkwiła wyimaginowana broń. – Ale włócznia – kontynuowała swoją opowieść – złamała się z głośnym trzaskiem, a grot utkwił w książęcym boku. Dzik uciekł, zaś książę zsunął się z konia przekonany, że oto przyszło mu rozstać się z życiem. – Babka osuwała się na fotel, jakby w istocie stoczyła przed chwilą wyczerpującą walkę z przeraźliwą bestią. – Zdołał jeszcze zadać w róg i omdlał na trawie. – Tu

nalewała wody z kryształowej karafki stojącej na mahoniowym stoliku pod oknem, po czym wracając do opowieści, zrezygnowana machała ręką pokrytą delikatną siecią drobnych żyłek, które skrywały się pod suchą, jak papier skórą. – Wojownicy nie usłyszeli dźwięku książęcego rogu, bo pogoń, w którą puścił się ich władca, zawiodła go w zbyt odległe miejsce, by dźwięk ten mógł być dla nich słyszalny. Ale – tu zawieszała głos, w który wkradała się radosna nuta nieoczekiwanej niespodzianki, a on przyjmował to zawsze z radością, choć przecież dobrze znał tę opowieść – nie był to kres książęcego życia. Oto pustelnik mieszkający w tutejszych lasach usłyszał dźwięk rogu w swym eremie. Wiesz, co to erem, prawda? – kiwał głową, trąc końcówką nosa o białe płótno kołdry. – Więc opuścił swój erem i odnalazł nieprzytomnego księcia. Zabrał go pod swój skromny dach i uratował. I gdy tak księżę dochodził do siebie, pewnej nocy przyśnił mu się anioł – fiołkowy wzrok babki wędrował ku niebu, znów czyniła szybki znak krzyża, po czym uzupełniała – choć aniołów on jeszcze nie znał, bo przecież był, mój mały Franzel, poganinem. Postać ta – głos babki łagodniał – o sylwetce tak strzelistej, jak drzewa otaczającego pustelnię lasu, trzymając w dłoni oliwną gałązkę – delikatna ręka babki unosiła się ponad oparcie fotela, w którym siedziała, jej kciuk i palec wskazujący stykały się ze sobą delikatnie, jakby babka trzymała w nich gałązkę z książęcego snu. – I ta postać rzekła do księcia: Ja jestem wysłany przez Boga, aby ci zwiastować pokój.

Tu babka Geszkau, odrywając wzrok od swej dłoni i opuszczając ją na kolana, zawsze czyniła dygresję. Mówiła patrząc na niego poważnie:

– Bo Bóg, mój mały Franzel, to pokój. Zawsze o tym pamiętaj.

W małej sypialni przy Georgstrasse zalegała cisza. Jemu, skrytemu pod kołdrą, sponad której wstrzymując oddech śledził każdy gest babki, wydawała się ona nieznośnie przytłaczającą wiecznością. Dzwoniła

w uszach, aż zaczął się bać, że od tego dzwonienia popękają mu bębunki w uszach. W istocie trwało tylko kilka sekund, po czym babka wracała do opowieści, przelękając głośno kolejny łyk wody.

– Po tym śnie dziwnym księżę przebudził się, a widząc swego wybawiciela, opowiedział mu to, co zobaczył. Mnich wytłumaczył, co stało się w lesie, po czym wyjaśnił księciu sens proroczego snu, mówiąc, że to dobry Bóg powołał go do wiary Chrystusowej, której tajniki następnie mu objaśnił. Księżę mocno poruszony tym, co usłyszał z ust pustelnika, z jego rąk przyjął chrzest i dołączył do grona ludzi, którym bliskie jest słowo Pana. Całkiem już zdrów powrócił do swego grodu, a w miejscu, w którym upadł zraniony, kazał wznieść klasztor i nazwał go Oliwa, mój mały Franzel, od tej gałązki, którą w dłoni trzymał anioł ze snu. – Głos babki stawał się coraz pewniejszy pewnością znaną osobom, które całkowicie wierzyły w słuszność dokonywanych przez siebie życiowych wyborów. Bo babka Geszkau była zawsze pewna, że to, co czyni, kierowane jest ręką Boga, a ten, jak wiadomo, nigdy się nie myli.

Podziwiał tę niezłomną pewność babki, choć czasem zastanawiał się, czy jej wiara w niebo, do którego prowadziły strzeliste wieże kościoła odwiedzanego w każdą niedzielę, ufność, z jaką po przekroczeniu progu świątyni zdejmowała rękawiczkę, by zanurzyć papierową dłoń w misie ze święconą wodą, i na zapadniętej piersi czyniła nabożnie znak krzyża, szeptem wypowiadając imiona Trójcy Świętej, zastanawiał się więc, czy ta jej niezachwiana wiara w chrześcijańskiego Boga oparłaby się starogermańskim bóstwom, które przywołano teraz z Walhalli, czy potrafiłaby bronić ideałów, które przed laty rygorystycznie wyznawała, czy też może śladem rzeszy gorliwych neofitów przyjęłaby nową religię, oddając jej swoje niezachwiane przekonanie o słuszności ostatecznie podjętej decyzji.

Choć babka Geszkau dawno odeszła wraz ze swoim światem, niedzielnymi mszami w kościele z obrazów Hermana Hana i z opatem Geszkau, ilekroć przejeżdżał przez Oliwę miał wrażenie, że zza rogu wyłoni się jej wyprostowana sylwetka, a on, jej mały Franzel, z niecierpliwością oczekujący szybko zbliżającego się dnia, w którym przejdzie na emeryturę, znowu zamieni się w chłopca w wykrochmalonym marynarskim mundurku, w który latem babka ubierała go, gdy wybierali się na wycieczkę do Glettkau.

– Führer pragnie pokoju. Ale nie możemy zgodzić się na to, żeby traktowano nas bez szacunku, prawda? A ta wizyta okrętu Schleswig-Holstein jest wyłącznie gościnna. No, ale ważna. Tak ważna, że dzieci dostały wolne w szkole, by się nią cieszyć.

Miał wrażenie, że głos Krupkego powraca do niego z odległego świata. Po chwili przeszłość uleciała. Minęli skwer za parkiem i szybko Oliwa pozostała za nimi.

ROZDZIAŁ 3

Odkryty mercedes Obersturmführera von Moltke posuwał się wolno, podążając śladem gdańskiej karetki przewożącej zwłoki kobiety, którą Lotte Meier, wciąż jeszcze blada i jak zwykle milcząca asystentka Obersturmführera, zidentyfikowała jako ciało gdańskiej Polki Marianny Walewicz.

Samochód ominął plac przed Kurhausem i kołysząc się miękko na nierównościach drogi, wyjechał na szosę łączącą Glettkau z Oliwą.

Minął staw młyński, przystanek linii tramwajowej numer dziesięć i drewniany budynek Café Unter Den Linden. Wczasowicze zajmujący rozstawione w cieniu drzew ławki z nieśpieszną ciekawością odprowadzili wzrokiem ten niecodzienny orszak. Całe Glettkau miało o czym mówić przez najbliższe dni.

– To była pani bliska znajoma? – zapytał Obesturmführer von Moltke.

– Nie – odpowiedziała szybko Lotte Meier. – Byłam tylko jej sekretarką zanim zaczęłam pracować w policji. Krótko – dodała zdecydowanie.

Mrużąc oczy za szklami okularów, odwróciła wzrok od mijanych ludzi z tą chłodną wyższością, którą ćwiczyła godzinami, stojąc przed lustrem w przedpokoju mieszkania na Ring Strasse. Nawet przed matką ukrywała, że okulary nie były jej potrzebne, a w rogowych oprawkach pan Lischke ze sklepu optycznego przy Mirchauer Weg umieścił zwykłe szkiełka, nie zaś żadne szkła do korekcji wzroku. Uważała jednak, że okulary dodają jej powagi, bo jej ambicją było to, by ludzie uważali ją, poważną i sumienną asystentkę Obersturmführera von Moltke, za osobę konkretną, taką, na

której zawsze można polegać i której można zaufać, powierzając coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Odkąd dostała posadę sekretarki w prezydium policji, jej życie wypełnione było obowiązkami, które starała się wypełniać bez zastrzeżeń. W wolnym czasie uprawiała sport, bo chciała być dumna z własnej sprawności. Każda Niemka powinna być sprawna. Tak mówił jej ojciec.

Lotte Meier była szczerze oddana swoim ideałom i dobrze wiedziała, że liczą się nie tylko czyny, ale i to, kto ich dokonuje. Jej stalowoszare oczy osadzone głęboko nad mocno zarysowaną linią kości policzkowych spoglądały na świat w sposób zdecydowany i jednoznaczny. Wiedziała, co do niej należy i co należy do innych.

Dlatego nie znosiła sprzeciwu swoich podwładnych i bez dyskusji wykonywała polecenia swoich przełożonych. I nigdy nie narzekała. To byłoby sprzeczne z jej poglądami, bo nie znosiła przecież marudzenia i babskiej gadatliwości. Starła się nie okazywać emocji i z chłodnym profesjonalizmem podchodzić do wszystkiego, co spotykało ją w życiu.

Tylko tam, na molo w Glettkau, gdy zobaczyła ciało martwej Marianny, nie potrafiła zachować zimnej obojętności. Poczowała falę gorąca napływającą z wszechogarniającą siłą i gdyby nie pomocne ramię doktora Bauera, upadłaby nieprzytomna na deski tuż obok zwłok Marianny. W jednej chwili to, co postanowiła skryć głęboko w sobie, co zdecydowanie wymazała z pamięci, a co dopadało ją tylko w mroku nocy, gdy przeszłość wypełzała z ciemnych kątów pokoju w Langfuhr, a czego ona mimo swej niezłomnej siły nie potrafiła powstrzymać, budząc się z krzykiem w mokrej pościeli, to wszystko powróciło nagle w roziskrzony promieniami słońca popołudnie, tam na molo, gdy zobaczyła ciało Marianny.

Do tego dnia, do momentu, gdy na szyi zmasakrowanych kobiecych zwłok leżących na deskach mola w Glettkau ujrzała medalion ze zdjęciem

Soni Walewicz, była przekonana, że Marianna jest już świadomie porzuconą przeszłością, zjawą, która rozplynęła się w nocnych koszmarach, duchem zatrzaśniętym w minionej nierzeczywistości. Tymczasem wspomnienia wróciły. A Lotte Meier przypominała sobie, że mimo swoich starań i ona była zdolna do odczuwania słabości. Tej słabości, od której uciekła, uciekając od Marianny.

– Była Polką? – Lotte nie lubiła, kiedy jej przełożony przyjmował ten służbisty, suchy ton, którym zwykł przesłuchiwać podejrzanych na Karenwall.

– Jej ojciec był Polakiem. Matka była Niemką. Mieszkała w Berlinie – odparła powoli.

– W takim razie musimy sprawdzić, czy to nie polska prowokacja – stwierdził zdecydowanie Obersturmführer, zmieniając bieg. Skrzynia biegów zawarczała, mercedes wyprzedził karetkę. – Była obywatelką Wolnego Miasta?

– Tak. Tak, jak jej ojciec.

– A ona czuła się Niemką czy raczej sympatyzowała z Polakami? – Nie podobało się jej, że Obersturmführer przesłuchiwał ją w drodze do prezydium.

– Ona? – Zastanowiła się chwilę zanim postanowiła odpowiedzieć.

– To nie miało dla niej znaczenia. Ona była – szukała chwilę właściwego słowa – kosmopolitką.

– Kosmopolitką? – po twarzy Obersturmführera von Moltke przemknął grymas, czający się ironicznie w kącikach wąskich, bladych ust. – Kosmopolityzm, panno Meier, nie prowadzi do niczego dobrego.

Lotte Meier chciała zakończyć tę rozmowę. Nie odpowiedziała, przymknęła tylko oczy, pozwalając, by promienie słońca pulsowały pod powiekami. Nie chciała do tego powracać, ale dobrze pamiętała, jak

imponowała jej kiedyś postawa Marianny. Jak chciała być do niej podobna, jak próbowała zrozumieć i powielić jej przekonania. Bo Marianna nie dzieliła ludzi według narodowości czy rasy. Mawiała, że ludzie mogą być tylko mądrzy albo głupi i dotyczy to w równej mierze Polaków, Niemców i Żydów.

– Głupota nie zależy od rasy – powtarzała, wciągając w płuca dym z papierosa. I dodawała, przyglądając się wypuszczanym z ust kłębowcom: – Jedynym sposobem na głupotę, moja Lotte, jest nauka. A nie wiece partyjne i konkursy na to, kto głośniej krzyczy.

Lotte kiwała potakująco głową. Wierzyła w słowa Marianny. Była naiwna, teraz o tym wiedziała. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że rasa to rzecz najważniejsza, że to ona sprawia, czy ktoś jest szlachetny i czysty, czy brudny i zły, jak Żydzi, których należy tępić, bo ich ogólnoświatowy spisek doprowadzi kiedyś do upadku tych, którzy raczej powinni tym światem rządzić, a nie pozwalać na wspólną egzystencję.

Teraz wiedziała, że Żydzi nienawidzili Niemców, odbierali im pracę i w ogóle miejsce do życia. Tak jak Polacy.

Z Żydami w Danzig zrobiono już właściwie porządek, jak z zadowoleniem mówił jej ojciec, ale ciągle mieszkało tu zbyt wielu Polaków, którzy w dodatku uważali, że mieli do tego miasta takie samo prawo, jak Niemcy.

Teraz Lotte dobrze już wszystko rozumiała. Świat, w którym żyła, był jasny i usystematyzowany. Nie było w nim miejsca na relatywizm, który wyznawała Marianna. Dziś Lotte nie podzielałaby jej poglądów.

Nie kiwałaby potakująco głową, jak wówczas, gdy zafascynowana tą berlińską damą i jej światowym obyciem dawała ponieść się naiwnej, młodzieńczej fascynacji.

Marianna ze swoimi studiami w Berlinie i Wiedniu, nartami w Szwajcarii, znajomością francuskiego i angielskiego, z tą swoją naturalną lekkością, z którą wkraczała niczym księżniczka na sale balowe pełne poddanych czekających na jedno skinienie jej delikatnego paluszka, by móc natychmiast oddać za nią życie, była kobietą światową, pozbawioną kompleksów związanych z własną osobą i bez uprzedzeń traktującą ludzi, którzy ją sobą zainteresowali. Była pewna siebie i swoich racji.

Tymczasem Lotte w istocie pozostała zamknięta między Karpfenseigen, gdzie w zawilgoconym domku z hanzeatyckim szczytem osadzonym na ukośnym dachu przyszła na świat i spędziła najwcześniejsze lata życia, a zaułkiem Schusterhof, gdzie dorastała w mieszkaniu na pierwszym piętrze zachulcowej kamienicy pofalowanej upływem czasu niczym morze w burzowy dzień.

Kiedy Lotte pracowała dla Marianny, wstydziła się tego zaułka z zaniedbanym podwórkiem, które zimą przypominało rozmokłe bagnisko, latem zaś z wysuszonego klepiska wzbijały się obłoki piaskowego pyłu osiadające na oknach mieszkania na pierwszym piętrze, które zajmowała z rodzicami i starszym bratem Rudim. Wstydziła się matki i wstydziła się ojca, wstydziła się swego pochodzenia i braków w wykształceniu, choć zanim poznała Mariannę nigdy nie czuła się gorsza od kogokolwiek.

Matka Lotte, Liselotte z domu Guttke, do dnia swojego wypadku pracowała w sklepie rzeźnickim Erwina Thiela przy Vorstädtischer Graben⁶³. Pan Thiel był niewysokim mężczyzną o łagodnym obliczu i brzuchu zaokrąglonym od nadmiernego spożywania gorących kiełbasek, popijanych zawsze dużą ilością gdańskiego piwa. Jego twarz zdobiły starannie wypomadowane wąsy, które intrygowały Lotte od dnia, gdy matka rozpoczęła u niego pracę. Lotte miała wtedy cztery lata.

Erwin Thiel nie lubił, by coś odrywało od pracy jego piętnastu pracowników ubranych zawsze w białe, wykrochmalone kitle, które, gdyby nie połówki rozplątanych świń wiszące na hakach w oknie wystawowym i wielkie połcie boczku ułożone na ladzie w jego wnętrzu, przywodziłyby na myśl sterylne laboratorium naukowe, w którym owych piętnastu pracowników miało dokonać odkryć zmieniających oblicze tego świata.

Kiedy Lotte odwiedzała czasem matkę w tym rzeźnickim sanktuarium, pan Thiel marszczył czoło i udając niezadowolenie, wyganiał ją na ulicę. Tak naprawdę nie potrafił być jednak naprawdę zły i popychając Lotte do wyjścia, wciskał jej w dłoń kawałek suchej kiełbasy, którą zjadała w drodze do domu. Czasem kiedy nie miała ochoty na jedzenie, kładła kiełbasę na kuchennym stole i mówiła Rudiemu, że to od pana Thiela specjalnie dla niego.

Rudi, który był od niej starszy o trzy lata, szybko zaczął zarabiać jako roznosiciel „Danziger Zeitung”. Redakcja gazety, która dorobiła się dwóch wydań dziennie, mieściła się przy Ketterhagergasse 4, niedaleko ich mieszkania w zakurzonym zaułku. Rudi roznosił gazety po lekcjach w szkole przy Winterplatz i kiedy wracał do domu, zawsze był okropnie głodny.

Kiedy matka miała wypadek i nie mogła już chodzić każdego ranka do sklepu rzeźnickiego, pan Thiel zatrudnił Lotte, by pomagała mu w prowadzeniu sklepu. Chciał pomóc rodzinie Meier, ale Lotte nie lubiła wspominać tamtego czasu. Choć Marianna wiedziała, że pracowała wcześniej u pana Thiela, Lotte nigdy jej o tym nie opowiadała.

Wstydziała się przed Marianną także i tego, co robił i kim był jej ojciec Georg zanim wstąpił do partii. Bo partia dała mu nowe życie i z Georga Meiera uczyniła zupełnie innego człowieka. Tego nowego ojca Lotte nie musiała się już wstydzić, ale mimo to nie mówiła Mariannie, co robił w SA,

bo Marianna nie lubiła hitlerowców i bardzo denerwowała się, kiedy w trzydziestym trzecim wygrali wybory do gdańskiego senatu.

Gdy Lotte była mała, Georg Meier każdego dnia wczesnym rankiem, kiedy ona, śpiąc jeszcze w najlepsze przewracała się z boku na bok, wychodził do pracy, zimą stawiając kołnierze, by ochronić się przed lodowatym wiatrem z Motlau, latem zaś osłaniając ogorzałe od słońca ciało, by wieczorem matka nie musiała wcierać w spalone plamy skóry chłodnego kremu Nivea. Ojciec Lotte połowę swego życia spędził w porcie na Motlau, gdzie pracował jako sztauer, całe dni rozładowując i załadowując skrzynki z rybami, ciężkie beczki i bezkształtne jutowe worki przyplływające do Danzigu statkami z najbardziej odległych zakątków świata, które Lotte znała tylko z lekcji geografii u pana Stolpego.

Wychowała się nad Motlau. Jako dziecko najbardziej lubiła obserwować tętniącą życiem rzekę. Stała na Grüne Brücke, a za jej plecami przejeżdżały tramwaje linii 3 i 4. Dzwoniły wesoło, podskakując na szynach w miejscu, gdzie w torach można było zauważyć niedużą przerwę, małe pęknięcie, które fascynowało wszystkie okoliczne dzieciaki.

Lotte wiedziała, że w tym miejscu most kilka razy w ciągu dnia rozpadał się na dwie części. Jezdnia, po której biegły tory, unosiła się tak, by między przęsłami mogły przepłynąć barki, kutry, małe parowce, ale i całkiem duże statki, które także wpływały na rzekę. Z chrobotem lin i łańcuchów naciąganych precyzyjnym systemem kół i dźwigni zainstalowanych po obu stronach. Most windował się coraz wyżej i wyżej, by w końcu zamienić się w pionową ścianę z torami tramwajowymi przyszpilonymi do bruku tak samo, jak do zielonego sukna przyszpilono umarłe motyle na zawsze pogrzebane w szklanej gablocie, która wisiała na ścianie jej klasy.

Kiedy łośkot stalowych lin ustawał i wokół robiło się zupełnie cicho, między przęsłami mostu przesuwał się żelazny kadłub statku przepływającego tak blisko, że Lotte miała ochotę wyciągnąć rękę i uścisnąć dłoń marynarzom stojącym na pokładzie. Nigdy tego, rzecz jasna, nie zrobiła, ale zawsze w napięciu śledziła płynący najpierw płaskodenny holownik z dwoma kołami ratunkowymi zawieszonymi na drewnianej nadbudówce, a dalej za nim uwiązany napiętymi linami na wpół bezwładny statek, który przetaczał się jak wielka beczka między uniesionymi pionowo dwoma fragmentami jednej ulicy.

Na Lange Brücke koło Żurawia znajdowała się przystań gdańskiej floty, gdzie przyływały statki z Weichselmünde, Neufahrwasser i Zoppot, latem pełne spragnionych słońca plażowiczów. Przy nabrzeżach cumowały barki i statki, czasem ustawione burta w burtę jeden obok drugiego, tak że sztauerzy, niosąc na plecach beczki i worki, musieli przechodzić przez pokład wszystkich kolejnych, przemierzając chybotliwe trapy przerzucone między burtami.

Kiedy Lotte była małą dziewczynką, zazdrościła dzieciakom, które mieszkaly na barkach, wyobrażając sobie, że ich życie pełne było niesamowitych przygód, spędzane co dzień w innym miejscu, bez szkoły i wszystkich tych nudnych rzeczy, które wypełniały jej życie.

Czasami na Motlau pracowała pogłębiarka i Lotte z fascynacją przyglądała się mechanicznej taśmie, po której przesuwały się półokrągłe zbiorniki, przypominające gigantyczne filiżanki z zastawy, którą matka wystawiała na stół, gdy przychodziły sąsiadki. To one wynosiły na szczyt wydobyty z dna piasek, który spadał w niewidoczną otchłań na rufie tej dziwacznej, pływającej koparki.

W piątki i soboty z Bohnsack przyływały kutry rybackie. Przy Fishbrücke, gdzie wzdłuż nabrzeża unosiły się na palach drewniane

pawilony, ustawiały się grube przekupki w kapeluszach zawiązanych pod brodą, by nie zwał ich wiatr znad Motlau, a nawet znad morza.

Głośno zachwalały tłuste śledzie, makrele, dorsze i węgorze, które wypełniały ustawione na drewnianych ławach skrzynki, beczki i cebrzyki malowane na niebiesko, co, jak twierdził Georg Meier, miało sprawić, by towar lepiej się prezentował.

– Schoene Flinderchen, Madamchen! Frische Pomuchel!^[1] – wołały do robiących zakupy mieszkanki Danzig, które oglądały złowione w Bałtyku ryby srebrzące się jak woda w przepływającej u ich stóp rzece, kręciły głowami niezadowolone, że towar nie najlepszy, podchodziły do kolejnych ulicznych lad, na których wystawiono pełne równo ułożonych dorszy i fląder skrzynki, znowu kręciły głowami, zaglądały do beczek, wskazywały palcami sztuki, które zasługiwały na ich zainteresowanie, przekupki zachwalały, one znowu nie były zadowolone, i tak to trwało, aż w końcu obie strony dochodziły do porozumienia i zawinięte we wczorajsze gazety ryby wędrowały na Kassubisher Markt i Karenwall, Altstädtischer Graben i Brotbänkergasse albo i dalej do Langfuhr i Brösen.

Na Motlau zawsze panował ruch i gwar, nawet kiedy przychodziła zima. Jednego poranka tylko wszystko ucichło. W nocy przyszedł mróz, który skuł lodem całą Motlau, tak że dzieciaki mogły biegać po rzece z Lange Brücke na Speicherinsel i z powrotem. Podobno znaleźli się wówczas śmiałkowie, którzy omijając miejsca, gdzie lód stawał się cieńszy, dotarli aż na odległy Hel.

To tamtej zimy ojciec Lotte po raz pierwszy zamiast pracować w porcie rozbijał lód na ulicach Danzig. Inaczej nie dostałby Stempelgeld^[2], a bez tych pieniędzy i guldenów, które zarabiał Rudi, Meier nie utrzymałby rodziny. Tamtej zimy tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku ojciec Lotte przyniósł do domu pierwszy egzemplarz Mein Kamf.

Nad Motlau Lotte spędziła najszcześniejsze chwile swojego dzieciństwa. I tutaj, choć ani rodzice, ani Rudi nie mieszkali już w zaułku Schusterhof, Liselotte nie pracowała u Erwina Thiela, a Georg w porcie przy rozładunku, Lotte powracała jako dorosła kobieta. To z tego samego miejsca na Grüne Brücke, z którego przyglądała się kiedyś pracy ojca, obserwowała przelot Grafa Zeppelina, gdy ten sunął bezszelestnie po lipcowym gdańskim niebie, choć mówiono, że najlepiej będzie wspiąć się na ratuszową wieżę, by go dobrze obejrzeć. Nigdy stąd tak naprawdę nie odeszła i teraz była z tego dumna.

A gdzie była wtedy Marianna Walewicz? W antykwariacie ojca na Jopengasse, gdzie zaglądali bogaci kolekcjonerzy delikatnych figurek z porcelany, czy w domu towarowym braci Freymann, gdzie mierzyła kolejną sukienkę uszytą według paryskich modeli przez najlepszych gdańskich krawców? A może po prostu nudziła się w mieszkaniu przy Breitgasse i zamiast uczyć się francuskich słówek obserwowała eleganckich klientów sklepu jubilerskiego z naprzeciwka?

– Czy ta Marianna Walewicz była wrogiem narodowego socjalizmu? – W pierwszej chwili nie zrozumiała słów Obersturmführera von Moltke, które dobiegły do niej stłumione i głuche. – Panno Lotte! – Znad ciemnych wód Motlau, z pełnego przechodniów Grüne Brücke z trudem powróciła na oświetloną południowym słońcem równinę łączącą Glettkau i Oliwę.

– Marianna? – Znowu siedziała w eleganckim mercedesie obok Obersturmführera von Moltke, który z irytacją powtórzył pytanie.

Pokręciła głową. – Ona przyjaźniła się i z Niemcami, i z Polakami.

– Dość podejrzane w dzisiejszych czasach. Nie sądzi pani?

Nie odpowiedziała.

– I jest pani absolutnie przekonana, że tam na molo to była ona?

– Tak. Jestem tego pewna.

– Skąd pani to wie?

– Ona nigdy nie zdejmowała tego medalionu. Nie mogłaby się z nim rozstać. Jestem o tym przekonana.

– Tak, wyglądał na cenny. Złoto...

– On był cenny ze względu na zdjęcie. Zdjęcie matki, które było w środku.

Tak, Lotte była całkowicie pewna. Marianna kochała matkę bardziej niż kogokolwiek na świecie. Porzucona przez nią jako małe, spowite w falbanki i uzurpujące sobie prawo do zawładnięcia całym rodzicielskim życiem dziecko, miała w sobie nigdy nie spełnioną potrzebę matczynej miłości. Odrzucona, poszukiwała akceptacji. Dlatego zawsze musiała na sobie skupiać uwagę wszystkich, zachwycać i błyszczeć w każdej, nawet niewartej tego sytuacji. Zaś matka, wybrawszy ułudę życia w rozedrganym sztuka, lewicującym Berlinie z czasów Republiki Weimarskiej, urosła w jej oczach do rangi niedoścignętego wzoru, uosobienia niczym nieskrępowanej wolności.

– Ona musiała zostawić to filisterskie miasto – mawiała Marianna, myśląc o Soni Walewicz. – Musiała porzucić to prowincjonalne myślenie, w którym dobrze odkarmione dziecko i sprawne zarządzanie służbą są sprawdzianem kobiecej przydatności.

Lotte nie dowiedziała się nigdy, jaką dziedziną sztuki zajęła się w Berlinie Sonia Walewicz.

Mercedes skręcił w lewo i minąwszy park w Oliwie skierował się w stronę Danzig.

– Jutro złożę pani zeznania, panno Meier – powiedział
Obersturmführer von Moltke.

Lotte pomyślała, że jego głos zrobił się niepokojąco zimny.

Poczuła nagły ucisk, który na chwilę wstrzymał jej oddech. Ból w klatce piersiowej natychmiast przerodził się w mdłości.

– Obersturmführer, chciałabym wziąć dziś wolne popołudnie. Czy może mnie pan zwolnić i zostawić tu, w Oliwie? – zdjęła okulary. Miała wrażenie, że szkła zaszyły mgłą. – Chciałabym przejść się i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. – powiedziała.

Von Moltke bez słowa zatrzymał samochód.

– Tylko proszę się jutro nie spóźnić – rzucił za Lotte, gdy wysiadała.

Trzasnęły drzwi. Mercedes ruszył, a ona stała patrząc, jak oddalał się w stronę Danzig. Gdy straciła już z oczu złożony dach, który z każdym wybrzuszeniem wyłożonej kostką jezdni unosił się wolno nad stalowym korpusem samochodu, zawróciła w stronę parku. Szła wolno, czując pulsujący ból skroni. Dzień był gorący, pogoda zachęcała, by wyruszyć na Karlsberg. W taki dzień można było zobaczyć stamtąd nie tylko Oliwę, nie tylko molo w Glettkau i morze, z którego wydobyto dziś ciało Marianny, ale i strzeliste wieże ceglanych kościołów w Danzig, a nawet wijącą się wstęgę Motlau, która wpadała do portowych kanałów, obmywała kadłuby statków w dokach stoczni Schichaua i uderzała o puste nabrzeża upadłej stoczni Klawitterów, by w końcu wydostać się do tego samego morza, które rozbijało się z pluskiem o drewniane słupy podpierające molo w Glettkau.

Ale Lotte nie była przygotowana na marsz leśnymi ścieżkami. Choć zwykle lubiła takie wycieczki i nieraz zaopatrzona w płócienny plecak wędrowała wzgórzami wokół Langfuhr czy Zoppot, teraz nie miała ochoty na forsowny marsz, czuła dotkliwy ból głowy, do tego zaczęły uwierać ją pantofle na cienkiej skórce, które miała na nogach.

Idąc wolno w stronę Schlossgarten pomyślała, że te pantofle spodobałyby się Mariannie. Choć nie byłaby zadowolona z biurowego

stroju Lotte, szarego, służbowego żakietu i prostej, płóciennej bluzki, którą miała pod nim, z pewnością spodobałyby się jej te jasne pantofle.

Nie były praktyczne. Lotte upewniała się o tym z każdym postawieniem stopy wyczuwającej drobne kamyki pod cienką podeszwą. Bo Marianna zwracała uwagę przede wszystkim na wygląd, nie przejmując się zwykle stroną praktyczną. Tak, te pantofle na pewno by się jej spodobały.

Drzewa rosnące równym szpalerem wzdłuż ulicy łączącej oddalone od siebie Danzig i Zoppot dawały cień, ale Lotte czuła promienie słońca, które przenikały przez żakiet i płócienną bluzkę. W swoim biurowym stroju wyglądała smutno wśród mijanych kobiet, nie zwracała jednak uwagi na ich kolorowe sukienki i białe żakiety, na koronkowe rękawiczki i lekkie kapelusze osłaniające przed słońcem. Teraz i ona była jednym ze spacerowiczów leniwie przemierzających się ulicami sennej Oliwy. Szła i starając się ignorować ból, myślała o tym, że spełniło się jej dawne pragnienie. Marianna Walewicz nie żyła.

ROZDZIAŁ 4

O pracy u Marianny Lotte dowiedziała się od pani Klagerhofen, zajmującej jednoizbową kłitkę w tym samym pochyłym domu w zaułku Schusterhof, w którym mieszkała rodzina Meier. Pani Klagerhofen była wdową po sztauerze z nad Motlau, który utopił się pięć lat wcześniej, gdy wąskim drewnianym trapem przerzuconym z jednego pokładu na drugi przechodził ze statku na statek, niosąc nad głową jutowy worek z napisem Kolumbia. Emil Klagerhofen był niewysokim, krępy męczyzną, który nigdy się nie uśmiechał, jakby całe życie nosił w sobie wiedzę o tym, co spotka go pewnego marcowego dnia nad Motlau.

W dużym oknie wystawowym atelier fotograficznego pana Grosse, które mieściło się przy Ketterhagergasse 5 tuż obok redakcji „Danziger Zeitung”, długo po śmierci Emila Klagerhofena wisiało jego zdjęcie. Pan Grosse uwiecznił go z zamyśloną twarzą, którą podpierał spracowaną dłonią. Choć szczątki Emila spoczęły już na cmentarzu Heilige Leichnam pod Hagelsbergiem, on ciągle siedział w witrynie atelier, łagodnie spoglądając w przyszłość.

Pani Klagerhofen nie mogła spokojnie przechodzić obok, widząc, że sepiowe zdjęcie męża, którego zdążyła pochować już w skromnym grobie z żelaznym krzyżem, ciągle tam jest. Pewnego dnia weszła więc do środka i bez słowa zabrała je z okna wystawowego, po czym, milcząc, wyszła na ulicę, pozostawiając właściciela zakładu, łysiego pana Grosse, z zastygłym na twarzy półuśmiechem, którym przywitał ją, kiedy weszła z głośnym dźwiękiem dzwonka wiszącego nad drzwiami.

Pani Klagerhofen bardzo kochała swego Emila. Trzymając w dłoni zdjęcie męża, niewiele myśląc, skierowała się na Langegasse, skręciła w stronę Motlau i ignorując wpadających na nią przechodniów, których, jak zawsze, na Langegasse było zbyt wielu, zwłaszcza że dzień był ciepły i wielu spacerowało po prostu ulicami miasta, skierowała się w stronę Motlau. Minęła Dom Uphagena i kawiarnię Rokoko, fontannę Neptuna, pod którą ustawiły się rzędem dorożki, i Dwór Artusa z elegancką restauracją Ratskeller w podziemiach, gdzie Emil zabrał ją w dziesiątą rocznicę ślubu, a potem przeszła przez Grünethori stanęła nad rzeką, opierając się o chybotliwą barierkę.

– Tak bardzo go chciałeś? – podniosła zdjęcie Emila Klagerhofena w stronę nieba. – To masz! Masz wszystko! I tak już nic więcej nie możesz mi odebrać! – Podarła zdjęcie na drobne, równe kawałki i szerokim ruchem ręki w czarnej rękawiczce wyrzuciła je do rzeki.

Kawałki fotografii unosiły się w powietrzu, jak płatki styczniowego śniegu. Chwilę później opadły lekko na pomarszczoną morską bryzą tafle Motlau, by z jej prądem popłynąć dalej na wody zatoki. Potem pani Klagerhofen wróciła do domu i zajęła się szyciem, bo odkąd Emil spadł z trapu i zniknął w ciemnych wodach rzeki, szyjąc, zarabiała na życie.

– To dobra praca. W eleganckim domu – mówiła więc pani Klagerhofen, siedząc przy stole w pokoju na pierwszym piętrze starej kamienicy w zaułku Schusterhof. – Spodoba ci się tam, Lotte. Moja znajoma, pani Hagen, która chodzi do nich sprzątać, jest bardzo zadowolona. Dobrze jej płacą, na czas, a pracy wiele nie ma, bo w tym mieszkaniu na Breitgasse mieszka tylko ten Walewicz z dorosłą córką.

Zresztą on prowadzi interesy, więc ciągle go nie ma. A ona dopiero co wróciła z Berlina. No, i szuka właśnie sekretarki.

Pani Klagerhofen zjadła kawałek królewieckiego marcepana, który przyniosła na porcelanowej salaterce. Jak zawsze, upiekła go sama ściśle według przepisu swej matki, która pozostała w Königsbergu. Bo pani Klagerhofen urodziła się nad Pregel, a do Danzig przyjechała, by wyjść za mąż za Emila.

– No, nie wiem, pani Klagerhofen. – Matka Lotte pokręciła głową.

– Mówi pani, że to Polacy? To nie spodoba się mojemu mężowi.

– Pani Meier, przecież to pieniądze. Lotte będzie miała dobrą pracę, a jak znajdzie co innego, to wymówi. Pani mąż jest rozsądny, nie będzie miał nic przeciwko zarabianiu pieniędzy – z przekonaniem powiedziała pani Klagerhofen i zjadła kolejny kawałek marcepanowego ciasta.

– Mówi pani, że oni mieszkają na Breitgasse? – Liselotte poprawiła fałdę na kocu, którym okryła nogi. Pani Klagerhofen przytaknęła. – A co ta Polka robiła w Berlinie, pani Klagerhofen? – dopytywała Liselotte.

– Studiowała na samym Friedrich-Wilhelms-Universität.

– Co pani powie? – Liselotte wydeła policzki. – A dlaczego studiowała w Berlinie, skoro to Polka? To oni nie mają już swoich uniwersytetów w Warschau czy Krakau?

– Droga pani Meier, jej matka jest najprawdziwszą Niemką i mieszka w Berlinie.

– A, to trzeba było tak od razu mówić, pani Klagerhofen! – matka Lotte ucieszyła się. – Jak jej matka jest Niemką, to ona też jest Niemką!

A że ojciec jest Polakiem? No, cóż! Jest bogaty, a to niektórym wystarczy. – Pokiwała głową ze zrozumieniem, choć nie pochwałała takiej postawy. – No, a ty, Lotte? Chciałabyś tam pracować?

– Czemu nie? – Lotte wzruszyła tylko ramionami, bo postanowiła udawać, że nie zależy jej na tej nowej, nieoczekiwanej możliwości, daleko bardziej pociągającej od pracy u pana Thiela. Bo przecież Lotte była tylko

młodą, ciekawą świata dziewczyną, która chciała wyrwać się z zaułka Schusterhof, choć wolała, by nikt nie wziął jej za próżną marzycielkę, której wydaje się, że na bruku Langegasse znajdzie milion gdańskich guldenów. – Jak mówi pani Klagerhofen, jeśli mi się nie spodoba, będę szukać czegoś innego. A pieniądze przydadzą się od razu, prawda? Sama mówiłaś, mamó.

Nieoczekiwana okazja, by dotknąć życia z za szyb eleganckich mieszkań na Breitgasse, pobudziła wyobraźnię Lotte. Z zaułka Schusterhof było do niego tak blisko, wystarczyło przejść kilkadziesiąt kroków, ale Lotte zawsze czuła tę niewidoczną granicę, której nie mogła przekroczyć, choć wydawało się, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę, by sięgnąć po to, co ofiarowało miasto. Spacerowała ulicami wzdłuż witryn drogich sklepów, zaglądała do składów pełnych angielskich wełen, weneckich koronek i japońskich jedwabów, wdychała drażniące nos egzotyczne zapachy ze sklepów kolonialnych i drogerijnych, kontemplowała delikatne ażury porcelany Rosenthala. Wszystko to było w zasięgu wzroku. Wydawało się, że wystarczy sięgnąć po delikatną, białą filiżankę ze złoceniami tak delikatnymi, jakby na jej niemal przezroczystych ściankach rozsypały się drobne, złote nici, po filigranową, ręcznie malowaną figurynkę rokokowej damy w liliowym kapeluszu okalającym porcelanowo bladą twarzyczkę,

biedermeierowskie, srebrne solniczki wyglądające jak greckie amfory czy secesyjną żardinierę z Württembergische Metallwarenfabrik, by już stać się ich właścicielem. Lotte uwielbiała sklepy z tymi wszystkimi kosztownymi cudami. Na co dzień przyzwyczajona do fajansów i grubo rżniętego szkła funkcji tych misternych cacek często nie potrafiła nawet określić. Możliwość zamiany biurka na tyłach sklepu rzeźnickiego pana Thiela na gabinet przy Breitgasse, zapewne pełen tych drogocennych drobiazgów, wełnianych dywanów i pachnących drewnem szaf,

zelektryzowała jej dziewczęcą wyobraźnię. Zapragnęła gwałtownie, by znaleźć się w tamtym świecie. Pani Klagerhofen stała się nieoczekiwanym zwiastunem poprawy jej mizernego losu.

– No, dobrze. Porozmawiam z Georgiem – powiedziała Liselotte. – A ci Walewicze to katolicy czy protestanci?

Od dnia, w którym rozpedzona ciężarówka firmy Henschel wjechała w odświętnie ubraną, radosną Liselotte w momencie, gdy ta przechodziła przez Holzgasse, by spotkać się zczekającą pod Victoriaschule Lotte, kobieta pojednała się z Bogiem i powróciła do wiary, od której odeszła wiele lat wcześniej. Od czasu gdy wyjęto jej wątłe ciało z gipsowego gorsetu, a Georg przywiózł ją ze szpitala sióstr boromeuszek przy Weidengasse blizem pana Thiele owiniętą jak świąteczny cukierek w pikowaną kapę z małżeńskiego łóżka, każdego niedzielnego ranka Liselotte kazała wieść się na nabożeństwo. Jej wiklinowy wózek, który zazwyczaj pchał Georg, podskakiwał na bruku do samego Marienkirche, którego masywna dzwonnica wraz ze smukłymi wieżami iglicznymi ginęły w mgłach opadających jesienią na miasto.

Liselotte modliła się żarliwie w świątyni, której początki sięgały dnia Zwiastowania Pańskiego roku 1343, nieświadoma historii zamkniętej w murach z czerwonej, gdańskiej cegły. Nie zdawała sobie sprawy, że po kamiennej posadzce, po której Georg toczył jej wózek z twardym, wiklinowym oparciem, do Marienkirche wkraczał polski król Kazimierz, który ustanowił się patronem kościoła, krzyżacki mistrz von Plauen, który wydał zgodę na założenie przy nim biblioteki, co wprowadziło ruch wśród miejscowych iluminatorów kopiujących święte księgi, i dominikanin Pankracy Klemme, który po płomiennych kazaniach głoszonych na zboczach Hagelsbergu przez Jakuba Hegge, domagającego się w miejscowych świątyniach czystego słowa Bożego, w imię nauki, którą

głosił w dalekiej Wittemberdze augustiański mnich Martin Luter, wprowadził pod gwiaździste sklepienie nową religię, którą ona, Liselotte Meier z domu Guttke tak żarliwie wyznawała.

W murach kościoła dawno umilkły dźwięki Capelli Gedanensis, a modlitwę Liselotte przerywały tylko dźwięki Danziger Landesschützen-Marsch albo Gruß aus Danzig, gdy w pobliżu maszerował Obermusikmeister Ernst Stieberitz razem ze swoją policyjną orkiestrą.

– Nie wiem, pani Meier. – Pani Klagerhofen zastanowiła się chwilę, zbierając widelczykiem resztki marcepanowego ciasta. – No, na pewno nie są Żydami. Tego może się pani nie obawiać. A nawet, jeśli byliby katolikami, to przecież płacą najprawdziwszymi guldenami! – roześmiała się, odsuwając pustą salaterkę.

– Do Polaków? – wykrzyknął ojciec, gdy wrócił późnym popołudniem i od Liselotte usłyszał propozycję pani Klagerhofen. – Nigdy! Moja córka nie będzie pracować u Polaków!

– Nie rozumiem cię, Georg. – Głos Liselotte był spokojny.

Wygładziła niewidoczne fałdy na kraciastym kocu i spojrzała na niego łagodnie. – Polak, nie Polak. W Danzig to wszystko jedno. W końcu mieszkamy tu razem i jakoś układamy sobie to życie, prawda? Wszyscy jesteśmy obywatelami tego miasta. A to chyba najważniejsze. Zresztą pani Walewicz jest Niemką. Mieszka w Berlinie, a ta młoda panienska właśnie stamtąd wróciła. Studiowała na Friedrich-Wilhelms-Universität.

– Liselotte, Liselotte! Jak ty nic nie rozumiesz! – Pokręcił głową Georg. – Jej ojciec jest Polakiem. Tu, w Danzig. Wiesz, co to znaczy.

Polacy chcą, żeby nasze miasto zabrali ci z Warschau. A Danzig jest niemiecki i musi zostać przyłączony do Niemiec, zwłaszcza teraz. Jak mówi nasz gauleiter: Zurück zum Reich!^[3] Pamiętasz, co chciał zrobić ten ich komisarz? Obalić nasz gdański senat! – Georg wymówił dobitnie każdą

sylabę. – Nawet ty, Liselotte, musisz pamiętać, jak w zeszłym roku wpłynął do portu ten ich okręt. Oni tylko czyhają, by nam odebrać nasze miasto. – Drzwi dębowej szafy skrzyknęły płacźliwie, gdy je otwierał. Z naftalinowej czeluści wydobył buty z wysokimi cholewami.

Z pudełka po szkolnych butach Lotte wyjął słoik z pastą i szczotkę, którą zamaszystym ruchem przeciągnął w tę i z powrotem po brązowej skórze.

Czy znasz to miasto, gdzie niemiecki ród pełen siły i odwagi strzeże bogactw swych – zaczął mrućć pod nosem melodię Georga Göhlera, wprawnym ruchem nakładając pastę do butów – gdzie niemieckie dzwony wołają i niemiecki jest każdy kamień! – podszedł do fotela, w którym siedziała, i ucałował ją w czoło. – Tak, Liselotte! To jest nasz hymn! Hymn naszego niemieckiego Danzig!

Liselotte machnęła ręką, robiąc ruch, jakby oganiała się od natręćnej muchy. Ale jej oczy już się śmiały, bo nie potrafiła gniewać się na Georga.

– Tego cię uczą na tych zebraniach? – zapytała, udając irytację. – To może powinienes wypisać się z tej twojej partii? Bo przez te twoje poglądy nasza córka nie będzie miała pracy.

– Oj, moja Liselotte! Nasza córka na pewno będzie miała pracę, a my może się stąd wreszcie wyniesiemy. – Georg Meier zabiegał o nowe, słoneczne mieszkanie z łazienką na Ring Strasse w Langfuhr. – Pamiętaj, Liselotte! Mieszkanie z łazienką, a nie z wychodkiem na korytarzu! – podkreślił, jak zawsze, gdy o tym rozmawiali.

– I z junkersami latającymi nad głową. Nie wiem, Georg, co gorsze – szum wody z naszego wychodka czy junkers, który spadnie nam na głowę – mówiła Liselotte zawsze, gdy Georg przypominał o przewodźce.

I tak Liselotte przekonała Georga, by jego córka, córka szturmowca z SA, który w wolne popołudnia rozrzucał propagandowe ulotki z

rozklekotanych ciężarówek, rozpoczęła pracę w domu Walewiczów przy eleganckiej Breitgasse, gdzie wieczorami posłowie gdańskiego senatu Erazm Czarnecki i Antoni Lendzion dyskutowali o tym, jak powinna postępować gdańska Polonia, ksiądz Rogaczewski przy partii szachów omawiał z księdzem Komorowskim powstanie gdańskich parafii personalnych, a czasem nawet sam prezes Czyżewski zajmował honorowe miejsce w wysokim fotelu z misternie rzeźbionego drewna, w którym, spoglądając milcząco na zebrane w obszernym salonie towarzystwo, wyglądał niczym król zapomnianego państwa.

Pewnego lutowego poranka, gdy hanzeatyckie szczyty domów, które mijają po drodze, przykrył mokry śnieg, gdy w Berlinie historia zaczęła zataczać niebezpieczne koło, Republika Weimarska pędziła na zatracenie jak świadomy swego końca skazaniec, a pod Reichstagem już niemal tlił się ogień, Lotte stanęła pod dębowymi drzwiami mieszkania przy Breitgasse. Zastukała zawieszoną na nich mosiężną kołatką. Po chwili drzwi się uchyliły i z wnętrza wyłoniła się piegowata twarz.

Pokojówka w białym fartuszku obrębionym wykrochmaloną falbanką bez słowa obrzuciła ją wyniosłym spojrzeniem.

– Byłam umówiona z panną Marianną Walewicz. Jestem Lotte Meier – powiedziała Lotte.

Pokojówka otworzyła drzwi szerzej, dygnęła z niechęcią i wskazała wnętrze mieszkania. Lotte przestąpiła próg. Korytarz był ciemny i długi, rozjaśniony wąską smugą światła padającą zza uchylonych drzwi do jednego z pokoi. Pod ścianą obitą zieloną, angielską tapetą ustawiono masywną, bogato zdobioną szafę z gdańskim herbem na szerokim, mocno wysuniętym gzymsie. Obok, jakby dla zamierzonego kontrastu, stał prosty thonetowski wieszak z bukowego, woskowanego drewna, na którym pokojówka zawiesiła jej płaszcz.

– Proszę. Zaraz powiem panience, że pani przyszła – powiedziała dziewczyna i poprowadziła ją w głąb mieszkania.

Gdy przechodziły koło uchylonych drzwi do salonu, Lotte zmrużyła lekko oczy, bo światło wpadające do wnętrza przez trzy wysokie okna oślepiło ją. Mimo to nie potrafiła oprzeć się pokusie, by zajrzeć do środka. W ciągu tej jednej krótkiej chwili zdążyła tylko zobaczyć stojący na lakierowanym parkiecie koncertowy fortepian, którego czarna bryła wyglądała nierealnie, odbijając w gładkiej jak lustro politurze promienie słońca przedostające się z trudem przez warstwy zimowych chmur. Pokojówka otworzyła drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Lotte weszła do ciemnego, położonego na tyłach kamienicy pokoju, dziewczyna dygnęła i wyszła.

Lotte pozostała sama otoczona ciszą, która dzwoniła w uszach. W zaułku Schusterhof nigdy nie było tak cicho. Rozejrzała się wokół.

Pokój, w którym się znalazła, wyglądał na gabinet. Pod ścianą ustawiono dużą, biblioteczną szafę, wypełnioną książkami. Nie ośmieliła się usiąść na jednej z kanap ustawionych na środku pokoju, stała więc nieporadna, onieśmielona miejscem, obawiając się zrobić krok w którąkolwiek stronę.

Pod wysokim oknem obramowanym satynową kotarą w kolorze dojrzałej zieleni stało kanciaste biurko wykończone czeczotką. Na blacie obok mosiężnej lampy ze szklanym abażurem leżały równo ułożone książki oprawne w brązową skórę i notesy w karbowanej tekturze. Pod ścianą koło drzwi, którymi weszła, stało fornirowane orzechem wysokie pianino z parą świeczników z patynowanego mosiądzu, które musiała zapewne czyścić pani Hagen, znajoma pani Klagerhofen. Z płyty zazdrośnie strzegącej wnętrza instrumentu spoglądała na Lotte twarz, którą znała z okładek nut widywanych u szkolnej koleżanki Kathe Seidlitz. Kathe była muzykalną,

choć wątłą dziewczynką, której rodzice marzyli o tym, by stała się współczesnym Karolem Tausigiem. Lotte nie wiedziała, co działo się z Kathe od czasu, kiedy skończyły szkołę, ale jej nazwiska nie zauważyła nigdy na żadnych afiszach rozklejonych w Danzig.

Gdyby Lotte zdecydowała się podejść do pianina i odważyła się unieść wieko, znad konsoli klawiatury podtrzymywanej przez dwie esowato wygięte, zakończone orlimi łapami podpory, zobaczyłaby nad wyłożoną kością słoniową i hebanem klawiaturą mosiężną, firmową tabliczkę wytwórni fortepianów Richard Wolkenhauer. Instrument sprowadzono więc ze Słupska, dalekiego Poznania albo z samego Stettin, gdzie zdolny kupiec z Hanoweru założył niedużą fabryczkę, z czasem zyskując tytuł nadwornego dostawcy Badenii, Weimaru, Mecklemburgii-Schwerina i Prus. Dźwięk jego instrumentów unosił się nad barokowym Dreznem polskiego króla Augusta, nad polami Bitwy Narodów pod Lipskiem, gdzie Napoleon pozostawił wielu spośród oddanych mu żołnierzy, wśród nich marszałka Francji, polskiego księcia Józefa, i nad fiordami dalekiej Norwegii, gdzie instrumenty z firmy Wolkenhauer trafiały na pokładach niemieckich frachtowców, zabierane z portu w Stettin.

Gdyby Lotte uniosła wieko i dotknęła laminowanych kością słoniową klawiszy, usłyszałaby słodki dźwięk skłaniający do tego, by sięgnąć po nuty leżące na instrumencie i wydobyć z niego tony Schuberta lub Brahmsa. Ale ona ograniczyła się tylko do rozglądania się wokół. Z nabożną czcią czekała, chłonąc z zazdrością pachnący spokojem dostatek, stabilną pewność trwania, niezmaćcone przekonanie o słuszności podejmowanych działań. Pomyślała, że w takim otoczeniu nie mogą rodzić się myśli wyrosłe ze sprzeciwu wobec świata, bo tutaj nikt światu sprzeciwić się nie mógł.

Nad pianinem wisiał obraz, którego ceglaste kolory przywodziły na myśl fasady manierystycznych budowli van Obberghena, Hansa Vredemana

de Vries i Wilhelma van dem Blocke. Na połyskujących mieniącą się farbą wodach Motlau, na tle Lange Brücke i Fishmarkt unosił się najśłynniejszy statek, jaki pływał pod banderą hanzeatyckiego miasta Danzig. Ten, który jako Peter van Rosseel przybył do miasta, by miejscowi kupcy mogli do woli napęknąć swe beczki drogocenną solą.

Rażony piorunem, pozostał w miejskim porcie, a niefrasobliwość francuskich opiekunów, którzy mieli czuwać nad wrakiem stojącym na Motlau, doprowadziła go prawie do niechlubnego końca.

Uratował go miejscowy szkutnik Hans Pale i wojna Hanzy z Francją i Anglią. Smutny wrak zamienił się w największy na Bałtyku okręt wojenny, uzbrojony dzięki sile mięśni portowych robotników, którzy obracali bębniami umieszczonymi w największym miejskim dźwigu zwanym Żurawiem.

Kiedy okręt wypływał na Kanał La Manche, angielskie statki uciekały w popłochu do najbliższych portów. Jego dowódcę, rajcę miejskiego Pawesta, zastąpił wkrótce Paul Beneke, najznamienitszy żeglarz w historii Danzig, którego sława dorównywała sławie okrętu. To właśnie jemu miasto zawdzięczało wystawiony w Marienkirche obraz, którym od tamtej pory chlubiono się nad Motlau. Lotte niezmiennie przerażała wizja końca przedstawiona na nim przez niderlandzkiego twórcę, który św. Michałowi archaniołowi kazał oddzielać zbawione i potępione dusze za pomocą zwykłej wagi, takiej, jaką pan Thiel odważał półcie tłustej słoniny. Czasem myślała, że lepiej by było, gdyby obraz Memlinga powędrował zgodnie z przeznaczeniem do włoskiej Florencji, gdzie tokańskie słońce złagodziłoby tę piekielną wizję.

– Wie pani, co przedstawia ten obraz?

Lotte drgnęła. Z zamyślenia, w które popadła, przyglądając się obrazowi gdańskiej karaki, wyrwał ją nieznajomy, kobiecy głos.

W drzwiach stała młoda kobieta. Jej szczupłą sylwetkę podkreślał czarny, męski garnitur. Jasne włosy ułożone w przylegające do czoła fale podtrzymywała złota spinka. Na piersi kobieta nosiła złoty medalion z herbem Danzig. Przypominała berlińską gwiazdę z Hollywood, którą Lotte zachwycała się w Ufa-Palast. Miała gładką, bladą cerę i wysokie czoło, na którym zdecydowanym łukiem rysowały się cienkie, jakby nakreślone chińskim pędzelkiem, delikatne, jasne brwi. Lotte domyśliła się, że to Marianna Walewicz.

– Tak, naturalnie. – Poczowała się jak w szkole, wyrwana nieoczekiwanie do odpowiedzi. – To Peter von Danzig – powiedziała.

– Peter von Danczik – poprawiła ją Marianna. Zamknęła za sobą drzwi, podeszła bliżej i stanęła za jej plecami – Tak nazywali go nasi przodkowie. Groote Kraveel. Wielka karawela. Chociaż karawelą nie była. – Okrążyła Lotte, podeszła do dębowej komody ustawionej pod ścianą i z jednej z szuflad wyjęła srebrną papierośnicę. – Poczęstuje się pani?

Lotte podziękowała. Marianna włożyła jeden z papierosów w długą, srebrną fifkę, zapaliła i zaciągnąwszy się tytoniowym dymem, rzuciła niedbale. – Interesuje się pani marynistyką?

– Mój ojciec jest, to znaczy był, sztauerem w porcie na Motlau.

Lubię statki.

– Sztauerem? – wydmuchując dym, Marianna przyjrzała się Lotte uważniej. Pod tym spojrzeniem niebieskich, niemal przeźroczystych oczu Lotte poczuła się niepewnie i spuściła wzrok. Wtedy, zmieszana własną nieporadnością, niemodnym krojem sukienki, którą wkładała tylko od święta, bo wcześniej nigdy nie myślała o tym, że jej sukienka z szarej gabardyny może być niemodna, piskliwym głosem, którego nie umiała opanować, po raz pierwszy zawstydziała się tego, kim była. – To pięknie, bardzo pięknie – powiedziała po chwili Marianna. – Jestem Marianna

Walewicz. – Wyciągnęła rękę. Miała mocny, męski uścisk dłoni. – A pani musi być Lotte?

– Lotte Meier.

– I jest pani znajomą pani Hagen? – Marianna krążyła po pokoju, jak znudzone dziecko, które nie potrafi usiedzieć w miejscu. Dym z papierosa unosił się za nią o krok, jak obłok, który nie mógł nadążyć za własnym cieniem.

– Nie. To znaczy znajoma pani Hagen jest naszą sąsiadką. – Lotte obracała się wokół własnej osi, by nie odrywać od niej oczu.

– I chce pani pracować jako moja sekretarka? – Lotte przytaknęła.

– A co pani umie robić?

– Przez ostatni rok prowadziłam biuro w sklepie pana Erwina Thiela przy Vorstädtischer Graben 63. Przygotowywałam zamówienia, prowadziłam księgowość i korespondencję.

– Pana Thiela? Przy Vorstädtischer Graben 63? – powtórzyła Marianna, marszcząc czoło. – Czy to nie ten sklep rzeźnicki? Nasza Ewa kupuje tam chyba mięso dla papy.

– Sklep pana Thiela słynie ze swej jakości. – Tak mówili zawsze przy Vorstädtischer Graben.

Marianna zatrzymała się i popatrzyła na Lotte, po czym roześmiała się głośno.

– Lotte, mówi pani, jak aktorka w teatrze! – Lotte poczuła, że się czerwieni. Marianna znowu zaczęła krążyć po pokoju. – I ze sklepu pana Thiela chce pani odejść, by pracować u mnie? – zapytała po chwili.

– Tak – odpowiedziała cicho Lotte. – Od tych poćwiartowanych świń zostałam wegetarianką.

– Wegetarianką? – Marianna ponownie się zatrzymała, a Lotte poczuła, że oblewa się jeszcze bardziej nerwowym rumieńcem.

Przypomniała sobie, co mówił pan Grzyb, dostawca rozplątanych i wypatroszonych świń, które przywoził do sklepu pana Thiela z Kaszub.

– Dobry Polak musi zjeść kielbasy i żeberek, panno Lotte, bo inaczej będzie zły! – właśnie tak mówił pan Grzyb.

– Nie je pani mięsa? – zapytała Marianna, a kiedy Lotte pokiwała niepewnie głową, w której kołatała się już myśl, że po takim oświadczeniu z pewnością nie dostanie tej pracy, bo nikt nie lubi pracować z odmieńcem, a przecież dla kogoś, kto żywi się sznyclami, wegetarianin musi być odstępstwem od normy, choć ojciec mówił Lotte, że ten, który teraz, w tym lutowym mrozie poprowadzi do zwycięstwa wszystkich Niemców, także nie jadł mięsa, więc on, Georg Meier, pochwalał to, że córka też zdecydowała się na wegetarianizm. Choć sam nie gardził kaszanką i dobrym sznyblem.

Kiedy więc Lotte stała na środku gabinetu w mieszkaniu przy Breitgasse, myślała o tym wszystkim przekonana, że oto straciła okazję, by pracować dla tej prawdziwej berlińskiej damy. Ale wtedy Marianna klasnęła w dłonie.

– To świetnie! Lubi pani sztukę marynistyczną, nie je mięsa i prowadzi korespondencję. A zna pani angielski?

– Trochę. – Lotte znowu spuściła oczy. – I znam trochę polski.

– Znakomicie, znakomicie. – Marianna przeszła kilka kroków, wciągając dym z papierosa, który za chwilę uwolniony z jej płuc uniósł się wąską smugą nad jej głową, jak aureola na obrazach katolickich świętych. – Jest pani rodowitą gdańszczanką?

– Tak.

– Z dziada pradziada? – Marianna spojrzała na Lotte, która dostrzegła coś przewrotnego w spojrzeniu jej przeźroczyście błękitnych oczu.

– Tak.

W ciszę pokoju odmierzaną tykaniem zegara oprawnego w geometrycznie cięty zielony marmur wdarł się nagle hałas z podwórka. Trzask rozbijanego szkła zmieszał się z niewyraźnymi okrzykami. Marianna podeszła szybko do okna, otworzyła je i wyjrzała.

Lotte stanęła za nią i zza jej ramienia wyjrzała na puste podwórze. Okno na pierwszym piętrze budynku po przeciwnej stronie było rozbite kamieniem, który musiał wpaść do wnętrza mieszkania, wrzucony z zewnątrz. Jedna z szybek opadła szklanym deszczem na przykryty śniegiem parapet. Firanka wewnątrz mieszkania unosiła się poruszana podmuchami zimnego wiatru.

– To znowu u pana Silbermana. – Marianna pokręciła głową i zamknęła okno. – No, dobrze, panno Lotte! – odwróciła się w stronę Lotte, która cofnęła się o kilka kroków, przestraszona tą niestosowną bliskością. – Przyjmę panią.

– Dziękuję. – Lotte dygnęła z trudem, powstrzymując radość.

– Na początek przyjmę panią na miesiąc. Na próbę. Jeśli mi się pani spodoba, przyjmę na stałe.

I tak właśnie Lotte została sekretarką Marianny Walewicz.

Miesiąc próby minął szybko, a praca okazała się łatwiejsza niż Lotte mogła przypuszczać. Była też dużo przyjemniejsza niż przekładanie papierków w towarzystwie półci słoniny, cielących giczy i wieprzowych półtuszy na zapleczu sklepu pana Thiela. Marianna potrzebowała sekretarki i asystentki, która uporządkowałaby jej chaotycznie prowadzoną korespondencję, pilnowała terminów spotkań, które w terminarzu zajmowały całe zapisane jej drobnym pismem strony, i odpowiadała na ciągle dzwoniący telefon, bo Marianna miała licznych znajomych, z którymi utrzymywała bardzo ożywione kontakty.

Lotte pilnowała też, by krawcowa z domu towarowego braci Freymann na czas przygotowała balową toaletę z łososiowej satyny i koktajlową suknię na wieczór u nowo powołanego do Danzig Komisarza Generalnego RP, spokojnego, małomównego pana Papeé i jego żony Leonii. Biegała do księgarni Bertlinga i do pana Łangowskiego po papierosy, które Marianna wciskała później w srebrną firkę i paliła, zaciągając się powoli. Nade wszystko jednak Marianna potrzebowała osoby, którą mogłaby pouczać, strofować, i w oczach której mogłaby przeglądać się, znajdując ciągle potwierdzenie słuszności własnych twierdzeń.

– A cóż ty czytasz, moja Lotte? – Gdy przychodził czas pouczania, Marianna przybierała lekko protekcyjny ton, przełamany tkliwą nutą matczyngo pobłażania. – Enderling? Nie, niemożliwe! Lotte, naucz się odróżniania literatury dobrej od złej! No, posłuchaj, posłuchaj tego. – Pewnego popołudnia otworzyła książkę, która wypadła Lotte z torebki. – To dla mnie najpiękniejsze z wszystkich miast – zaczęła czytać. – Jak kochająca kobieta: męczy cię i dręczy swoją miłością aż do bólu, póki trzymasz głowę na jej piersi. Póki jej nie porzucisz. Wtedy wyciąga po ciebie ręce zniewalającym gestem pełnym pieszczoty i pokory. Twoja głodna i spragniona dusza płonie. Masz ochotę biec i poranić sobie stopy aż do krwi, byle tylko stanąć znowu w cieniu wierzb przed wałami i ujrzeć niebieskawe zarysy wież, byle tylko usłyszeć bicie dzwonów i szelest liści w rozległych lasach, kojący niczym łagodny dotyk ręki. Koi, wycisza, wprowadza w pobożny nastrój. Adagio consolante^[4] – prychnęła i ostentacyjnie wyrzuciła książkę za siebie. – Ewa! Ewa! – zawołała rudą pokojówkę, która przybiegła niemal natychmiast. – Posprzątaj to – wskazała kartki, które rozsypały się po lakierowanym parkiecie w salonie z wysokimi oknami wychodzącymi na Breitgasse. – Nic dziwnego, że to miasto nie doczekało się właściwego opisu, skoro biorą się za to takie

pismaki! Mam nadzieję, że już narodził się tu gdzieś – wskazała okno, a za nim nieokreśloną przestrzeń miasta, które nie mogło doczekać się dorównującego mu pięknem słowa piewcy – w Schiedlitz albo w Langfuhr, jakiś nowy Goethe, który opisałby to miasto jak trzeba.

Lotte nie odpowiedziała. Stała tylko ze spuszczonym wzrokiem, czując, jak czerwień spływa jej na policzki, jak rozlewa się pod zapiętą pod szyję bluzką, jak zaczynają piec ją uszy. Chciała zaprotestować, chciała zaprzeczyć, powiedzieć, że przecież w gazetach chwalono Enderlinga, chciała zapytać, dlaczego Marianna podważała oceny gdańskiej prasy, stawiając się ponad tych, którzy znali się na literaturze lepiej niż ona. Dlaczego krytykowała Enderlinga, którego Dzwony Gdańska Lotte czytała całkiem niedawno jako uczennica Victoriaschule, czy Maxa Halbego, o którym senator Strunk powiedział „nasza gdańska ziemia ojczysta dała nam pisarza, który osiągnął wielkie znaczenie w życiu artystycznym narodu niemieckiego”, a w Langfuhr nazwano nawet jego imieniem plac. Cały plac!

Lotte chciała to wszystko z siebie wyrzucić, jednak jedno spojrzenie na Mariannę, która stała nad zbierającą rozsypane kartki pokojówką tak niecierpliwie pewna siebie, sprawiło, że Lotte zabrakło odwagi, by głośno powiedzieć to, o czym pomyślała. Rzecz jasna, Lotte nie wiedziała, zaś senator Strunk nawet, jeśli wiedział, to usilnie starał się to ignorować, że Max Halbe nigdy nie mieszkał w Danzigu, był za to katolikiem i choć w swoich utworach opiewał pragermański nadbałtycki Heimat, miał w żyłach polską krew.

– Lotte, trzeba starannie dobierać lektury – powiedziała Marianna, gdy pokojówka wyszła, zamykając za sobą drzwi. Podeszła do dębowej szafy z dwoma lwami podtrzymującymi na gzymsie rzeźbiony herb Danzigu, otworzyła jedno z ozdobionych małymi, kwadratowymi szybkami skrzydeł

i wyjęła oprawioną w delikatną skórę książkę. – Mówiłaś, że lubisz kino. Widziałaś Błękitnego anioła?

Lotte pokręciła przecząco głową.

– To przeczytaj książkę, którą Heinrich Mann napisał, zanim Joseph von Sternberg zrobił swój film.

Przez ułamek sekundy wydało się jej, że głos Marianny zabrzmiał nisko i chrapliwie, jak głos Marii Magdaleny von Lotsch, która dzięki Loli Loli stała się tą Marleną, którą podziwiał teraz cały świat. O tym Lotte, rzecz jasna, słyszała.

– Professor Unrat oder das Ende eines Tyrannen^[5] – Lotte przeczytała tytuł, złotymi literami wytłoczony na brązowej skórze.

– To jest, moja droga Lotte, literatura – powiedziała z przekonaniem Marianna i zapaliła wciśniętego w firkę papierosa. – A jak chcesz czytać o Danzigu, to sięgaj raczej po starsze rzeczy. Po Johannes Trojana albo von Eichendorffa.

Usiadła do fortepianu, w którym odbijało się ciemne marcowe niebo znad Breitgasse, podniosła gładkie wieko klawiatury i uderzyła delikatnie w klawisze. Pokój wypełniła muzyka. Były w niej melancholia i smutek, słodczy melodii mieszała się z goryczą zamkniętą w harmonii.

Nagle Marianna przerwała. Z trzaskiem zamknęła wieko, wstała i wydmuchując dym, stanęła na tle okna.

– Ciemne szczyty, długie okna, Mgła głęboka wieże chowa – zaczęła recytować głębokim, cichym głosem – Bładość posągu uśpiona.

Stoi przy wejściu bez słowa. Księżyc ze snu to oświecła, Bo dlań miasto jest wspaniałe, Niby bajka czarodziejska Leży pod nim skamieniałe^[6].

Kiedy skończyła, w pokoju zaległa całkowita cisza. Lotte bała się głośniejsz odetchnąć, by nieuważnym słowem nie zburzyć tej chwili, która wydała jej się równie mistyczna, jak pierwsze spotkanie z dziełem

Memlinga w zimnej sali Marienkirche. Nie wiedziała jeszcze, że Marianna lubiła sceny, którymi wywierała wrażenie na swoich najbardziej opornych rozmówcach. Niebawem jednak miała się przekonać, że Marianna kochała dramatyzować, skupiać uwagę, manipulować uwielbieniem, które ją nieodmiennie otaczało. Lotte przyglądała się jej, gdy Marianna nie widziała tego spojrzenia, chcąc odgadnąć zagadkę, którą kryła jej żywiołowość, skłonność do flirtów i naigrywanie się z tych, którzy w tę grę dali się już wciągnąć.

Czasami Lotte zastanawiała się nad dwoistością, którą kryła w sobie Marianna. Chmurny, niemiecki romantyzm rodem z Goethego i Schillera mieszał się w niej z wybuchową słowiańszczyzną, dla której pogardę Lotte przejęła od ojca. Uporządkowanie z bałaganiarstwem, chłodne opanowanie z niepohamowaną pazernością życia. Marianna potrafiła być oschle rzeczowa, by już za chwilę czarować urokiem tych, którzy tego oczarowania byli godni. Przystępna, otwarta, pozostawała jednak zawsze zdystansowana, a ci, którym wydawało się, że wkradli się w jej łaski, szybko mogli przekonać się, że to tylko złudzenie.

Potrafiła być promiennie uśmiechnięta, by już za chwilę marszczyć czoło i biorąc się pod boki, wystukiwać każdą wypowiedaną sylabę na podobieństwo dźwięków, jakie wydawały obcasy uderzające o bruk Vorstädtischer Graben. Mówiła wówczas spokojnie, ale dobitnie, bo głosu nie podnosiła nigdy. Niezadowolenie potrafiła okazywać jednym drgnieniem swych jasnych, cienkich brwi. A miewała chwile, kiedy nic jej nie zadowalało.

Lotte wiedziała, że w takie dni Marianna była mrukliwa, zatopiona w lekturze, schowana za parawanem skórzanych obwolut. Zadaniem Lotte było dopilnować, by nikt nie miał do niej dostępu. Miała zadbać o to, by oddzielić Mariannę od otaczającego świata niewidoczną barierą, która

uniemożliwiłaby dostęp do niej kogokolwiek z zewnątrz. W takie dni, kiedy dzwonił telefon, Lotte nie podawała słuchawki swej pracodawczyni, nie zwlekała z kupnem papierosów czy odbiorem poczty.

W takie dni, kiedy Marianna chciała słuchać Richarda Taubera w *Die Tote Stadt* Korngolda albo Erny Sack w *Don Pasquale* Donizettiego, w mieszkaniu przy Breitgasse unosiły się słodkie dźwięki koloratury i liryczny tenor, płynące z wbudowanego w mahoniową skrzynkę gramofonu ustawionego w salonie. W takie dni Marianna siadała do fortepianu i nie patrząc na palce przebiegające po klawiaturze, grała najsmutniejsze preludia Chopina, których Lotte nigdy wcześniej nie słyszała.

Pewnego popołudnia z płyty wytwórni Telefunken w salonie z oknami wychodzącymi na Breitgasse popłynęła zaśpiewana z pozoru niedbale i nonszalancko rewiowa pieśń, której Lotte nie słyszała nigdy wcześniej. Takie dźwięki, rodem z podwórkowej kapeli albo dekadenceckiego berlińskiego kabaretu, nigdy wcześniej nie zabrzmiały w mieszkaniu przy Breitgasse. Cienki, kobiecy głos płynący z ebonitowej płyty obracającej się na miękkim talerzu gramofonu, zawodził: *Und der Haifisch, der hat Zähne Und die trägt er im Gesicht Und Macheath der hat ein Messer / Doch das Messer sieht man nicht*^[7].

Lotte słuchała, zbierając rozsypane przez Mariannę kartki, po czym wyprostowała się i poszukała wzrokiem swej chlebodawczyni, która paląc papierosa w swojej fifce, chodziła nerwowo po salonie. Kiedy muzyka umilkła, Marianna podeszła do gramofonu, podniosła ramię z długą igłą, dzięki której rozbrzmiewała muzyka, zdjęła płytę z pokrytego sukniem talerza i schowała ją do papierowej koperty. Lotte przeczytała nadruk na jednej ze stron. *Die Dreigroscheoper*. Niżej wymieniono nazwiska autorów, ale tych Lotte nie zdążyła już odczytać.

Płyta zniknęła w szafce, na której stał gramofon.

– Jeśli tak dalej pójdzie, to z tego kraju wyjadą wszyscy, którzy potrafią cokolwiek zrobić – powiedziała do siebie Marianna, zamykając drzwiczki szafki i wyprostowała się. – Wyjadą wszyscy, którzy potrafią cokolwiek – powtórzyła z naciskiem, tym razem wyraźnie zwracając się do Lotte, która podała jej złożone kartki listu. – To od mojej matki – powiedziała, wkładając je do koperty. – Znasz tę balladę? – Lotte zaprzeczyła w milczeniu. – Moja matka była na premierze przedstawienia, z którego pochodzi. W Schiffbauerdamm Theater, w Berlinie. Pięć lat temu. Przyjaźniła się z ludźmi, którzy je zrobili.

A teraz Bertold jest w Danii, a Kurt w Paryżu.

– Nie wrócą już do Berlina? – zapytała Lotte, nie potrafiąc ukryć niedowierzania, bo przecież Berlin był miastem, z którego nie sposób było zrezygnować. Tak mówiła Marianna.

– Lotte, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? – Marianna niemal podniosła głos, choć nigdy dotąd tego nie robiła.

Lotte widziała, że tym razem była zdenerwowana. Drżącymi dłońmi wyjęła ze srebrnej fifki reszkę papierosa, wgniotła go w kryształową popielnicę stojącą na okrągłym stoliku na lwich łapach, po czym bez słowa wyszła z pokoju, zostawiając wystraszoną Lotte, która rzeczywiście niewiele z tego rozumiała.

Marianna nie komentowała dotąd tego, co działo się na świecie, nie zajmowała się polityką, choć Lotte widziała, że czytała regularnie lokalne „Danziger Volksstimme”, „Danziger Allgemeine Zeitung” i „Danziger Landeszeitung”, polską „Gazetę Gdańską”, przesyłany z Warschau „Kurier Warszawski” oraz sprowadzane z Niemiec „Frankfurter Zeitung” i „Berliner Tageblatt”. Wśród gazet, które Lotte każdego ranka zabierała z małego stolika ustawionego w hallu koło drzwi wejściowych do mieszkania, na którym wcześniej układała je starannie piegowata

pokojówka Ewa, nie było prasy, która w niedzielne poranki leżała na stole w mieszkaniu w zaułku Schusterhof, gdy Georg Meier czytał to wszystko, na co nie miał czasu w tygodniu, bo coraz częściej oprócz pracy w porcie na Motlau, gdzie został urzędnikiem i spędzał długie godziny, licząc przenoszone przez innych sztauerów worki i skrzynki, musiał chodzić na zebrania i wypełniać obowiązki, które wiązały się z jego partyjną przynależnością, a wypełniał je gorliwie i skrupulatnie.

W niedzielne poranki Georg Meier zanim założył odświętne ubranie i wypastowane na wysoki połysk buty, zanim przyczesał swe powoli przerzedzające się płowe włosy i skropił gładko wygoloną twarz wodą kolońską, by tak elegancko wystrojonym ruszyć do Marienkirche, pchając przed sobą wózek Liselotte, sięgał po „Danziger Vorposten”, który z tygodnika zamienił się w gazetę codzienną, i krzykliwy niemiecki „Der Stürmer” z rysunkami Fipsa, których nawet Lotte nie lubiła. W „Danziger Neueste Nachrichten” wyszukiwał felietony Fritza Jaenickiego, który nie bał się pisać w missingisch, języku gdańskiej ulicy, i wymyślił rentiera Poguttke, z którego komentarzy Georg Meier śmiał się aż czerwieniały mu policzki. Często powtarzał Lotte, że wszystko na świecie ma swój porządek, a sprawiedliwość w końcu dochodzi do głosu. Matka patrzyła na niego i jego rozłożone na stole gazety z pobłażaniem swych łagodnych, szarych oczu.

W pracy Lotte nie rozmawiała o tym, co działo się w polityce, choć coraz wyraźniej dostrzegała różnice między liberalnymi poglądami Marianny, które kojarzyły się jej z salonowym życiem rodziny Walewiczów, a twardymi poglądami ojca, które porządkowały jej świat, sprawiając, że rzeczywistość wokół była coraz bardziej klarowna.

Dotąd te dwa światy żyły obok siebie bez specjalnej niechęci, choć ojciec ciągle kręcił nosem, gdy Lotte opowiadała o Mariannie, bo uważał ją

za Polkę, która udawała Niemkę, co, jak mówił, było zrozumiałe, ale krew pozostaje krwią, a ojciec Marianny był przecież Polakiem.

Marianna zaś nie lubiła, gdy Lotte sięgała po gdańskie powieści, po *Die Kinder des Hauses Julie Burow* albo *Die Polen in Danzig* Klary Quandt, w których takich, jak ona gdańskich Polaków przedstawiano jako chytrych bigotów albo przebiegłych brudasów, bo, jak mawiała Marianna, najłatwiej powtarzać stereotypy.

Tego dnia, gdy Marianna tak bardzo wzburzyła się listem od matki, Lotte nie widziała jej więcej. Przez Ewę odprawiła ją wcześniej do domu, ale Lotte zamiast od razu wrócić do mieszkania w zaułku Schusterhof, całe popołudnie spędziła, spacerując po przykrytych drobnym śniegiem ulicach.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że miasto wokół nie zatrzymało się, żyło swoim życiem, od ponad stu lat powtarzając nieprzerwanie ten sam codzienny rytuał. Na Motlau wpływały parowce, które czarnym dymem unoszącym się z wąskich kominów przesłaniały nadbałtyckie niebo, dzwoniły dzwonki na *Grüne Brücke*, na pokładach rybackich kutrów cumujących przy skrzypiących, drewnianych pomostach *Fischbrücke* podskakiwały zaplątane w sieci flądry i dorsze, a przekupki z *Bohnsack* zachwalały swój towar. Handlowano przy *Markthalle* w cieniu ceglanej baszty *Kiek in die Köck*, a pod kopułą synagogi przy *Am der Reitbahn* ciągle odprawiano nabożeństwa tak, jak czyniono to niezmiennie od tamtego grudniowego dnia 1887 roku, gdy zamknięto wszystkie żydowskie świątynie w mieście, by głos kantora unosił się tylko w tej jednej, Wielkiej, jak ją wówczas Żydzi z gminy w Danzig nazwali.

W restauracji *Der Lachs* przy *Breitgasse 52* raczono się produkowaną tu *Danziger Goldwasser*, słynną wódką, którą miasto zawdzięczało założycielowi destylarni, holenderskiemu Żydowi Izaakowi Wed-Lingowi, choć dziś nad jej kieliszkiem nikt wstydliwie nie wspominał tego imienia,

by jego żydowskim pochodzeniem nie psuć sobie smaku gdańskiego napoju. W restauracji hotelu Danziger Hof zaś serwowano grasicę cielecą ze świeżymi ostrygami, a w Grand Cafe Imperial podawano kawę i ciasto saksońskie.

Na Hauptbahnhof przy Stadtgraben wtaczały się z łoskotem pociągi wypełnione przybywającymi do Danzig przemysłowcami, handlarzami, wojskowymi i zwykłymi turystami, którzy odpoczywali w sanatoriach przy Pelonken Strasse w Oliwie albo poddawali się kąpielom borowinowym w sopockim Kurhausie, a na Guterbahnhof ładowano do wagonów towarowych to, co wpływające do gdańskiego portu statki przywoziły w swych ładowniach z dalekich podróży.

W mieście przyglądano się temu, co działo się na świecie, ale ten miejscowy mikrokosmos koncentrował się, jak przez wieki, przede wszystkim na własnych sprawach. „Danziger Vorposten” krzyczał nagłówkami „Trzeba raz na zawsze skończyć z komunistyczną zarazą!”, relacjonując wydarzenia zimnego, berlińskiego wieczoru, gdy policjant Helmut Poeschel i inspektor budowlany Alexander Scranowitz zatrzymali trawionego wewnętrznym ogniem w równym stopniu, co podpalony przez niego Reichstag, urodzonego w Leydzie Marinusa van der Lubbe, który marzył o Związku Radzieckim, ale trafił do niemieckiego Berlina.

„Danziger Neueste Nachrichten” donosił o dekrete O ochronie narodu i państwa, pisząc, że dla zabezpieczenia przed zagrażającymi państwu zamachami komunistycznymi w dogorywającej właśnie Republice Weimarskiej dopuszczalne stały się aresztowania bez nakazu sądu, zniesiono też wolność słowa, prasy, tworzenia związków i organizacji wszelkich poza dopuszczonymi przez władze, zaś policji pozwolono, by naruszała tajemnicę korespondencji oraz dokonywała niezapowiedzianych rewizji i konfiskowała majątki.

Wybory piątego marca nie dotyczyły mieszkańców Danzig, ale Georg Meier śledził uważnie wydarzenia, które rozgrywały się w Berlinie. Z partyjnymi towarzyszami czytał ogłoszoną zaledwie dziewiętnaście dni później Ustawę o uwolnieniu narodu i państwa od nieszczęść, zastanawiając się nad możliwością wprowadzenia jej w Danzig.

W gdańskich domach Silbersteinów i Goldblumów, w fabryce mydła Hansa Chaima Halberthala i w sklepie tytoniowym Rosenfelda przy Langgasse 73 coraz częściej przypominano sobie o dalekich kuzynach z Nowego Jorku i Palestyny, choć tak naprawdę nikt nie wierzył, by rzeczywiście zamknięto Klub Żydowski przy Böttchergasse, gdzie spotykano się na koncertach Güntera Berenta, albo kawiarnię Karla Taudiena, którą należało odwiedzić w czasie niedzielnych wypraw do Zoppot.

Maklerzy z Dworu Artusa śledzili notowania światowych giełd, dyskutowali o Wielkim Kryzysie, o amerykańskim bank holiday i nowym prezydencie, zaś Dachau ciągle było tylko małym bawarskim miasteczkiem z barokowym zamkiem w centrum, choć właśnie w tych marcowych dniach SS-Standartenführer Hilmar Wäckerle stanął na czele pionierskiego przedsięwzięcia, z którym twórcy wiązali tyle planów na przyszłość.

Następnego dnia nie było śladu po tej chwili wzburzenia, w które Marianna wpadła, otrzymawszy list z Berlina. Przywitała Lotte z uśmiechem i obejmując ją ramieniem, oznajmiła, że skoro jest nadzwyczaj zadowolona z pomocy, której Lotte udzielała jej jako asystentka, postanowiła przyjąć ją, Lotte Meier, córkę sztauera znad Motlau i sparaliżowanej po wypadku przed Victoriaschule Liselotte z domu Guttke, na stałe do pracy w charakterze asystentki do wszystkiego. Z tej okazji wypłaciła jej nawet małą premię, którą Lotte przyjęła z wdzięcznością, choć cieszyła ją przede wszystkim posada.

I zadowolenie Marianny.

Od momentu gdy Lotte została stałą asystentką Marianny, jej pozycja u Walewiczów znacznie wzrosła. Zjawiała się w domu przy Breitgasse każdego ranka o dziewiątej. Ojciec Marianny, wysoki, przystojny mężczyzna po pięćdziesiątce o pięknie ukształtowanej czaszce, co uwydatniała spora łysina, dotąd niemal nie zauważał cichej asystentki swej córki. Kiedy Lotte została przyjęta na stałe, Marian Walewicz nie tylko dostrzegł mijaną w korytarzu mieszkania skromnie ubraną dziewczynę, ale z czasem zaczął nawet uśmiechać się do niej przyjaźnie, by w końcu zacząć wdawać się w krótkie rozmowy, zrazu ograniczające się do uwag o pogodzie, by wreszcie przejść do bardziej osobistej, choć zawsze zdystansowanej wymiany zdań.

Bo Marian Walewicz, którego rodzinne korzenie sięgały czasów, kiedy miasto istniało jeszcze na prawie lubeckim, był mężczyzną dystyngowanym i powściągliwym, eleganckim i dobrze wychowanym.

Jego przodkowie przez wieki zajmowali się drobnym handlem, a jeden z nich pojawił się nawet w kronikach kramarza Jakuba Lubbe. Ale to były odległe czasy, o których sam Marian Walewicz nigdy nie rozmyślał, choć lubił w sobie tę pewność własnego miejsca na ziemi, która pozwalała jego przodkom przetrwać od czasów krzyżackich aż po te zimowe dni roku trzydziestego trzeciego.

Na Jopengasse prowadził popularny wśród zamożnych kolekcjonerów sklep z gdańskimi antykami, zaś w samym centrum Zoppot otworzył filię antykwariatu, by jego kufle, biżuterię z bursztynu, ozdobne lampy, delikatne precjoza i porcelanowe figurki, albumy z fotografiami miasta i wreszcie ciężkie, gdańskie szafy jako mniej lub bardziej wystawne pamiątki z kuracji mogli kupować goście, którzy przybywali tu licznie, by zażywać morskich kąpiel pod czerwonymi kopułami zakładu leczniczego

zbudowanego w miejscu przed wiekiem wybranym przez doktora Haffnera, przystojnego chirurga z Alzacji.

Kuracjusze przyjeżdżali tu także po to, by w nadmorskim parku słuchać koncertów Orkiestry Uzdrowskiej pod batutą Karla Groscha, oglądać kwiatowe corsa i zawody sportowe, kibicować rajdom samochodowym i podziwiać żaglowce na wodach zatoki, wreszcie, by odwiedzać słynną na całą Europę operę, gdzie na zagubionej w lesie scenie Brunhilda wciąż ucieka przed gniewem Wotana, a płomień Zygryda niszczy Walhallę, który odradza się z każdym na nowo rozpoczętym przedstawieniem.

Pensjonariusze hoteli Metropol i Wermighoff, willi Guttjahr i Miramar, polskich pensjonatów Halina i Quo vadis dobrze bawili się w Zoppot, więc chętnie zostawiali gdańskie guldeny wymieniane w banku przy Seestrasse w kasie Danziger Antiquariat, którego właścicielem był Marian Walewicz.

Jego dochody powiększały udziały w kilku firmach. Lotte słyszała o fabryce mebli braci Kaube z Langfuhr i o polskiej restauracji Varsovie przy Stadtgraben 12, o fabryce marcepanu Saturn i Polskim Banku Przemysłowym na Langemarkt 35. Ale były to tylko niesprawdzone informacje zasłyszane od piegowatej pokojówki Ewy, w księgarni Sauniera czy u pana Rosenfelda na Langgasse, gdzie czasem kupowała Mariannie papierosy, a także u samego pana Thiela, gdzie teraz robiła zakupy, bo choć sama została wegetarianką, to ani Georg, ani Liselotte nie podzielali jej niechęci do schabowych Kabonad, parówek czy pełnych aromatu zajęczych pasztetów.

Lotte szybko zorientowała się, że Walewicze byli znani w Danzig.

Marian Walewicz, choć ożenił się z Niemką, utrzymywał liczne kontakty z miejscowymi Polakami, których Lotte spotykała w mieszkaniu przy Breitgasse. Już w czasie swego próbnego miesiąca poznała polskich posłów do Volkstagu panów Czarneckiego i Lenziona, doktora Michonia i

pana Wąsika z Poczty Polskiej. Przez uchylone drzwi do salonu widziała też sędziwego pana Czyżewskiego, który, jak szeptem powiedziała jej w kuchni pokojówka, dostał papieski order z rąk samego biskupa Danzig, który, chociaż nazywał się z angielska O'Rourke, do Danzig przybył z Rygi.

Lotte początkowo nie znała ich osobiście. Widywała tylko sylwetki zanurzone w skórzanych kanapach stojących w salonie, słyszała głosy, gdy przechodziła korytarzem, opuszczając mieszkanie Walewiczów.

Mówili zawsze po polsku, więc Lotte nie do końca rozumiała, czego dotyczyły ich rozmowy, tłumione przymkniętymi drzwiami.

Wiosną trzydziestego trzeciego na Breitgasse bywali też Niemcy. Lotte poznała Ericha Brosta z „Danziger Volksstimme” i radcę budowlanego, opętanego szaleńczą miłością do starej architektury miasta inżyniera Ericha Volmara, który nie mówił o niczym innym tylko o zabytkowych fasadach na Frauengasse i Heilige-Geist-Gasse, potrząsając przy tym zabawnie brodą, co zawsze bawiło Lotte do łez.

Z czasem przyzwyczała się, że dom Walewiczów odwiedzali ludzie, o których wcześniej czytała tylko w gazetach, i choć ciągle czuła się przy nich mocno zmieszana, to od czasu do czasu udało jej się nawet zamienić z nimi kilka słów.

Za to Marianna uwielbiała ze wszystkimi flirtować, kokietować, czarować swoją kobiecością. Lotte wychowana w surowej atmosferze skromnego, ubogiego domu nie potrafiła uwodzić i zwodzić, a ci, którzy mieliby na to ochotę, byli przez nią szybko i zdecydowanie odprawiani.

Lotte wolała przyglądać się Mariannie, gdy ta rozdawała uśmiechy, jakby od niechcienia, przypadkiem dotykała wnętrzem dłoni wyfraczonego rękawa, pozwalając podawać sobie ogień i dolewać szampana.

Kiedy Lotte została asystentką Marianny, nie biegała już tylko po papierosy i pocztę, do pralni i do krawca. W zwykłe dni kończyła pracę o dziewiętnastej, jednak Marianna szybko zaczęła zabierać ją na rauty i oficjalne spotkania, do teatru i na koncerty w Polskim Konserwatorium, zawsze zadowolona, gdy mogła stać się jej przewodnikiem i mentorką.

Wówczas Lotte wracała do zaułku Schusterhof znacznie później. Towarzyszyła Mariannie także w czasie odczytów, które dawała regularnie w Towarzystwie Przyjaciół Nauki i Sztuki, i na spotkaniach Towarzystwa Polek, które odbywały się dwa razy w miesiącu. W domu Lotte nie opowiadała o tych spotkaniach, bo Georg tym bardziej był niezadowolony z jej pracy przy Breitgasse, im szybciej zbliżały się wybory do gdańskiego Volkstagu.

ROZDZIAŁ 5

Gabinet Franza Thiedtke znajdował się na drugim piętrze w końcu chłodnego, wysokiego korytarza o łukowatych sklepieniach. Z dużego okna podzielonego szachownicą kwadratowych szybek rozciągał się widok na zielony skwer znajdujący się po zachodniej stronie Karenwall, na przeciętą torami tramwajowymi ulicę i ogrodzony murem plac, za którym stały jeszcze resztki rozbieranej od maja Wielkiej Synagogi. Na murze ktoś namalował napis „Przybądź, kochany maju, i uwolnij nas od Żydów”. Rozkrzyczani chłopcy z Hitlerjugend zatrzymywali się przed nim i przerzucali przezeń zbierane z ulicy kamyki, które z głuchym stukotem odbijały się od zalegających po drugiej stronie gruzów. Gdy zza rogu prezydium wyłaniał się patrol policji, ze śmiechem uciekali w stronę Langgassetor.

Patrząc na opadające z hukiem rozbijających się cegieł wieże, które wieńczyły frontową ścianę świątyni, na pokryte wersetami z Biblii kikuty ścian, które wbijały się ostro w błękitne niebo nad miastem, na kolorowy deszcz drobnych szkiełek z wielkiego witrażu uformowanego w ażurową gwiazdę Dawida, który umieszczono nad wejściem, komisarz Thiedtke myślał zawsze o Moritzu Rosenfeldzie.

Ten szczupły, wysoki mężczyzna o łagodnym spojrzeniu mieszkał ze swoją piękną, czarnowłosą żoną Sarą i dwójką dorastających dzieci w mieszkaniu na pierwszym piętrze kamienicy przy Kohlenmarkt, w której zajmowali z Waltraud przestronne, trzypokojowe mieszkanie z kuchnią dwa piętra wyżej. Rosenfeldowie, wówczas młode małżeństwo zaledwie miesiąc

po ślubie, wprowadzili się do eleganckiego apartamentu, kiedy Danzig stał w obliczu zbliżających się zmian obejmujących całą uwalniającą się od Wielkiej Wojny Europę.

Franz Thiedke, wówczas podkomisarz pruskiej policji, z uwagą śledził rozgrywające się daleko od miasta wydarzenia. Wiedział, że to, co działo się gdzieś tam w świecie, którego nigdy nie widział, bo nawet w wolne dni nie opuszczał Danzig, miało wpłynąć nie tylko na przyszłość miasta, ale także na życie tych wszystkich, których każdego dnia mijał na jego ulicach.

Orędzie amerykańskiego prezydenta Wilsona, którego stopa nigdy nie dotknęła gdańskiej ziemi, a który z Polakami rozmawiał o przyłączeniu Danzig do powstającego państwa polskiego, poruszyło wszystkich mieszkańców miasta, od sprzedawcy w sklepie kolonialnym znajdującym się naprzeciwko kamienicy, w której mieszkał z Waltraud, po samego Oberbürgermeistra Heinricha Scholtza.

Moritz Rosenfeld, kiedy zamieszkał z młodą żoną przy Kohlenmarkt, nie orientował się w lokalnych problemach Danzig. Jego rodzina pochodziła z Lubeki, gdzie ojciec Moritza był szanowanym kupcem, a przez jedną kadencję pełnił nawet funkcję senatora. To wówczas poznał kupca zbożowego Thomasa Manna oraz jego piękną kreolską żonę Julię. Rodzice Moritza utrzymywali kontakty z Julią i jej dziećmi nawet po śmierci Thomasa, gdy rodzina przeprowadziła się do dalekiego Monachium.

Gdy w październikowy poranek roku dwudziestego dziewiątego gazeta „Danziger Zeitung” napisała, że literackiego Nobla otrzymał młodszy syn Thomasa, Moritz z mokrymi od łez oczami przybiegł do mieszkania Franza Thiedtke, by pokazać mu zdjęcie człowieka, który na fotografii stojącej na biedermeierowskiej komodzie w salonie państwa Rosenfeldów siedział w

wiklinowym fotelu obok Moritza na tle drewnianego domu z niebieskimi okiennicami.

Moritz Rosenfeld do Danzig sprowadził się po ślubie z Sarą Hirsch, córką fabrykanta z Langfuhr spokrewnioną od strony matki z Lesserem Giełdzińskim. Sara najwyraźniej odziedziczyła po swym sławnym krewnym zamiłowanie do zbierania wszystkiego, co zbierać się dało, a to spowodowało, że duże, jasne mieszkanie, które zajęli z Moritzem, gdy ten nagrodzony Krzyżem Żelaznym za męstwo pod Tannenbergiem Żyd z Lubeki oświadczył się i pojął ją za żonę, szybko zamieniło się w pełną wdzięku rupieciarnię, w której rodzina Rosenfeldów brodziła niczym czaple taplające się w rozlewistej kałuży.

Z kamienicy przy Kohlenmarkt Franz Thiedtke w ciągu kilku minut przechodził do prezydium policji. Do Wielkiej Synagogi było nawet bliżej. Choć Moritz i Sara nie byli przesadnie wierzący, obchodzili żydowskie święta i bywali w synagodze przy Am Reitbahn, a Franz i Waltraud kilka razy zasiadali z nimi do szabasowej kolacji. Moritz awansował w fabryce, która należała do ojca Sary, by w końcu zostać jej właścicielem, urodziły się dzieci i Rosenfeldowie prowadzili spokojny, mieszczański żywot, jakich wiele było w tym mieście. Pierwszy cień na twarzy Moritza pojawił się w marcu trzydziestego trzeciego. Początek kwietnia naznaczył jego twarz pierwszą bruzdą, które odtąd pojawiały się na szczęśliwym wcześniej obliczu z każdym napisem Jude nabazgranym na sklepowych witrynach, z każdym dźwiękiem tłuczonej na ulicy szyby, z każdym okrzykiem hitlerowskich szturmowców maszerujących zwartym szeregiem po Kohlenmarkt.

Rankiem dziesiątego listopada trzydziestego ósmego, gdy Moritz wrócił z Wielkiej Synagogi, gdzie zamiast modłów pełnił wartę razem z innymi członkami gdańskiej gminy w obawie, by nie spotkało jej to, co stało się tej

nocy z synagogą w Zoppot, która nie rozsypała się jak kryształowy żyrandol, lecz spaliła jak zwykle polano, jego twarz w niczym nie przypominała już twarzy Moritza Rosenfelda, który po przeprowadzce do Danzig chciał bronić miasta przed polskimi zakusami amerykańskiego prezydenta Wilsona i na wiecach organizowanych na gdańskich ulicach jesienią roku osiemnastego krzyczał „ręce precz od Danzig”.

Wprawdzie Rosenfeldowie nie obchodzili Bożego Narodzenia, ale tamtego wieczoru przyszli na trzecie piętro kamienicy przy Kohlenmarkt i wraz z Franzem Thiedtke i jego żoną Waltraud, siedząc wokół kolorowo ubranej choinki, śpiewali O du fröhliche, O du selige, Gnadenbringende Weihnachtszeit, choć wcale nie czuli radości.

Gdy teraz Franz Thiedtke wyglądał przez okno swego gabinetu i patrzył na niknącą z każdym dniem Wielką Synagogę, przypominał sobie tamten wieczór, a kolęda gdańskiego perukarza z Lastadii powracała niczym kuranty z wieży ratuszowej.

Następnego dnia Moritz Rosenfeld zamknął mieszkanie pełne zbieranych przez Sarę ksiązek, bibelotów, gdańskich mebli i instrumentów muzycznych, z których kilka odziedziczyła po spoczywającym na stokach Stolzenbergu Lesserze Giełdzińskim, i nie żegnając się z miejscem, w którym przyszło mu spędzić dwie dekady życia, wsiadł z rodziną na statek, by jak Mojżesz poprowadzić ją przez morze do nowej ziemi obiecanej. Tydzień później w mieszkaniu na pierwszym piętrze kamienicy przy Kohlenmarkt pojawili się nowi lokatorzy. Ich płowowłose aryjskie dzieci każdego dnia śpiewały Horst Wesser Lied, a ich słabe głosiki niosły się długim echem po korytarzu aż na trzecie piętro, gdzie słuchała ich Waltraud.

- Panie komisarzu, jest raport z sekcji zwłok tej kobiety z Glettkau.
- Głos Krupkego oderwał Franza Thiedtke od okna.

Asystent położył zapisane kartki na dokładnie wysprzątanym biurku komisarza i cofnął się. Komisarz podszedł i wziął do ręki raport.

– To nie jest pismo Bauera – powiedział niezadowolony.

– Nie, sekcję zrobił Hanemann – odpowiedział szybko Krupke.

– Hanemann. Ten Hanemann?

Krupke przytaknął.

Raport napisano wzorowo. Jak zawsze, gdy robił to Hanemann. Starannie wykaligrafowane litery pokrywały drobnym piaskiem całą stronę.

Morderstwo było brutalne. Twarz przecięta ostrym narzędziem, przerwana tkanka mięśniowa, złamana żuchwa, pęknięta kość potyliczna wbita w część rdzeniową mózdzku. Liczne wyboczyny, ślady po pobiciu, zadrapania. Plamy opadowe na twarzy, szyi i barkach. Złamana prawa ręka. I ostatnie, najważniejsze zdanie. Brak obrzęku płuc i wody w żołądku – zgon nastąpił przed dostaniem się wody do dróg oddechowych. Kobieta była martwa, zanim wrzucono jej ciało do morza.

Franz Thiedtke westchnął. Myśl, że znowu miał rację, nie dała mu zadowolenia, bo zawodowa intuicja dawno przestała go bawić. Schował raport do tekturowej teczki i udał się na drugie piętro budynku prezydium, gdzie w wysokiej sali z widokiem na skwer przy Karenwall, tam gdzie w ciepłe, sierpniowe dni zwykle odpoczywało wielu spacerowiczów, mieścił się gabinet Obersturmführera von Moltke.

– Komisarzu, zgodnie z rozkazem komendanta Troegera, przejmuję tę sprawę – powiedział sucho Obersturmführer, nie wstając zza biurka.

Długimi, delikatnymi palcami pianisty von Moltke ujął podany mu przez komisarza raport i bez słowa zagłębił się w jego treść. Komisarz Thiedtke przyglądał mu się sceptycznie, choć musiał przyznać, że doktor Gauch zachwyciłby się nordycką urodą Obersturmführera, jego wydłużoną,

owalną czaszką, jasną, niemal przeźroczystą cerą, która uwydatniała jeszcze mocny zarys żuchwy i wystający podbródek.

Popielate, proste włosy wygolone wysoko na wydatnej potylicy kapitan zaczesywał gładko nad czołem, tak że podkreślały jeszcze ascetyczne piękno jego nieruchomej twarzy. Lazurowo błękitne oczy kryły w sobie niewzruszony chłód potomka alpejskich górali. Bo Obersturmführer von Moltke, spokrewniony z odwołanym właśnie z Warszawy ambasadorem Hansem Adolfem von Moltke, pochodził z Salzburga w Austrii, gdzie dorastał słuchając muzyki Mozarta, od którego w Salzburgu trudno było uciec.

Erwin von Moltke zanim został Obersturmführerem, fascynował się muzyką i chciał uczyć się w Mozarteum, gdzie grę na fortepianie studiował jego szkolny kolega Heribert. Rodzina Heriberta do nazwiska dodawała sobie von, choć, jak mówił Sigurd von Moltke, ojciec Obersturmführera, po którym syn odziedziczył idealny nordycki wygląd, wszyscy wiedzieli, że jeszcze sto lat wcześniej nazywali się Karajanis, a dorobili się na szyciu gatek dla Fryderyka Augusta. Jednak po zakończeniu szkoły w Salzburgu drogi Erwina von Moltke i Heriberta von Karajana rozeszły się, choć w końcu i tak znaleźli się w jednej partii.

– To zeznania chłopców, którzy zauważyli i wyłowili zwłoki. – Komisarz Thiedtke położył na biurku von Moltkego drugą teczkę.

– Świetnie.

Obersturmführer odłożył oświadczenie Hanemanna i otworzył teczkę z zeznaniami spisanyymi przez Franza Thiedtke na molo w Glettkau. Szybko przebiegł oczami po napisanym na elektrycznej maszynie Mercedes Selecta raporcie komisarza i odłożył go do szuflady.

– To wszystko – powiedział sucho do Franza Thiedtke. – Moja asystentka, panna Meier, która była wczoraj ze mną w Glettkau, złoży dziś

swoje zeznanie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła denatkę i była ją w stanie rozpoznać. Sprawdziliśmy już, że ta Marianna Walewicz była widziana po raz ostatni cztery dni temu, co zeznała jej pokojówka. Więc wszystko się zgadza. Sprawę topielicy z Glettkau szybko zamkniemy. – Na twarzy von Moltkego pojawił się lekki uśmiech.

Obersturmführer czekał aż komisarz odwróci się i wyjdzie, ale Franz Thiedtke się zawahał. Przez ułamek sekundy komisarz pomyślał, że von Moltke nie doczytał raportu z sekcji zwłok do końca, że powinien zwrócić jego uwagę na zamykające go zdanie. Przecież w prosty sposób wskazywało ono na to, że kobieta nie utopiła się, ale została zabita i potem wrzucona do wody, ale widząc pobłażliwe i sarkastyczne jednocześnie spojrzenie Obersturmführera, zamilkł w pół słowa, skłonił głowę i nacisnął mosiężną klamkę. Ciężkie drzwi zaskrzypiały głośno.

– Żegnam, komisarzu. Thiedtke. Spokojnej emerytury! – usłyszał za plecami.

Gdy wracał do swego gabinetu, jego kroki odbijały się głuchym echem od ścian korytarza. Dopiero na schodach zorientował się, że zaciska mocno szczękę, co, jak mówiła Waltraud, robił w chwilach wyjątkowej złości. Bo on rzadko unosił głos, nigdy nie pokazywał emocji. Współpracownicy uważali go za spokojnego, choć zamkniętego w sobie człowieka, i tylko Krupke miał okazję przekonać się kilkakrotnie, że Franz Thiedtke także potrafi podnieść głos. Kiedyś w chwilach wyjątkowego napięcia musiał chodzić, wprawiać ciało w ruch, jakby nerwowy spacer mógł wyładować kłębiące się pod maską spokoju emocje. Teraz gdy ciało było mu już mniej posłuszne, zaciskał szczękę, spinał mięśnie, chował głowę między ramiona, które robiły się twarde i bolesne. Ale ciągle miał opinię zrównoważonego człowieka z minionej epoki.

ROZDZIAŁ 6

Raport z 26 sierpnia 1939 roku

W czasie przesłuchania dokonanego w dniu 26 sierpnia 1939 roku w prezydium policji gdańskiej przy ulicy Karrenwall 12 przesłuchiwana Lotte Meier, obywatelka Freie Stadt Danzig, pochodzenia niemieckiego, lat 27, niezamężna, zamieszkała Freie Stadt Danzig Langfuhr Ringstrasse 27/15, zatrudniona w prezydium policji jako sekretarka, zeznała, co następuje:

Ja, Lotte Meier, oświadczam, że ciało kobiety znalezione 25 sierpnia 1939 roku na molo w Glettkau zidentyfikowałam jako zwłoki Marianny Walewicz, obywatelki Freie Stadt Danzig, pochodzenia żydowsko-polskiego, lat 33. Oświadczam, że denatka Marianna Walewicz była mi znana z powodu pracy w charakterze asystentki-sekretarki, którą wykonywałam na rzecz w/w między 1 dniem kwietnia 1933 roku a 10 dniem lipca 1935 roku. Oświadczam, że nieznanym mi był fakt żydowskiego pochodzenia matki denatki.

Oświadczam, że praca, którą wykonywałam, wiązała się wyłącznie z oficjalnymi obowiązkami pełnionymi na rzecz w/w, tj. prowadzenia oficjalnej korespondencji, prowadzenia kalendarza spotkań, asystowania podczas oficjalnych spotkań, przygotowania materiałów do odczytów w

Gdańskim Towarzystwie Naukowym oraz lekcji prowadzonych przez w/w Mariannę Walewicz w ramach działalności Gminy Polskiej. Żadna inna działalność w/w nie była mi znana. Oświadczam, że z dniem zakończenia pracy na rzecz Marianny Walewicz ustały moje z nią kontakty.

Podpisano

Lotte Meier

W czasie przesłuchania byli obecni Obersturmführer Erwin von Moltke, Sturmbannführer Heinrich Auerbach i protokolant Kriminaloberassistent Jacob Woyke.

Podpisano

Erwin von Moltke

Heinrich Auerbach

Jacob Woyke

Lotte Meier stała w umywalni, oparta o wyłożoną kafelkami ścianę. Przez służbowy żakiet i płócienną bluzkę czuła chłód masywnych ścian, który nawet w upalne dni przenikał pomieszczenia rozległego gmachu prezydium policji. Dłonie trzymała pod strumieniem wody, który z drażniącym szumem spływał z mosiężnego, wytartego kurka i z głośnym pluskiem uderzał o ceramiczne dno umywalki. Miała wrażenie, że woda, dźwiękiem bardziej niż nieuchwytną strukturą zaznaczająca swą obecność w pustej łazience, uzdrowi to wszystko, co było w jej życiu gangreną, zmyje to, co z powodu młodszej nieporadności, naiwnej wiary w niewłaściwe autorytety sprawiło, że resztę życia postanowiła poświęcić odkupieniu. Tak bardzo pragnęła czynami zmazać to, co okazało się fałszywym bożkiem, uzurpującym sobie pozycję jedynej słusznej idei. Teraz okazało się, że to niemożliwe.

Zza uchylonego okna dobiegał gwar ulicy. Głuchy stukot kół przejeżdżającego tramwaju, głosy robotników kończących rozbiórkę

synagogi. Lotte czuła szybkie uderzenia serca, które tłuło się w jej skroniach i pulsowało w łydkach. Po bladej twarzy spływały drobne strużki wody, które pojedynczymi kroplami znaczyły rozpiętą pod szyją bluzkę.

Lotte Meier przeczuwała, że kiedyś nadejdzie ten dzień, że przeszłość w końcu wypełźnie jak oślizły robak, gryzący jej sumienie.

Bo to, co stało się w przeszłości, nie zniknie. Przeszłość naznaczy życie bez względu na to, ile wysiłku włożymy w to, by wymazać ją ze swej pamięci. Lotte żyła w nieustannym, podświadomym strachu, który pchał ją w stronę fanatyzmu, jakby jej skrajne poglądy mogły wymazać chwilę słabości, moment młodzieńczego zauroczenia.

Wszystko, co robiła w ciągu ostatnich lat, surowość i rygor wobec siebie samej, dyscyplina, z jaką wdrażała idee nowej religii, naprawdę miało tylko jeden cel. Pragnęła zaprzeczyć temu, co się wydarzyło, dowieść samej sobie, że to, co spotkało ją przed laty, było tylko krótkim potknięciem, doświadczeniem, które miało doprowadzić do miejsca, w którym znajdowała się teraz.

Ale strach, że wszystko wyjdzie na jaw, nigdy tak naprawdę nie ustąpił. Zagłuszała go działalnością społeczną, tymi wszystkimi zbiórkami na rzecz Pomocy Zimowej, szkoleniami partyjnymi, kursami pierwszej pomocy dla dziewcząt z Bund Deutscher Mädel, akcjami w NSV. Ale on powracał. Był z nią nocą, kiedy samotna przewracała się z boku na bok, wsłuchując się w kroki pojedynczych przechodniów zagubionych w nikłym świetle lamp stojących na Ring Strasse, i w czasie podróży zatłoczonym tramwajem linii numer 1, którym każdego poranka szeroką aleją burmistrza Gralatha przemierzała drogę z Langfuhr do Głównego Miasta.

Ciągle drżała na wspomnienie tamtych wydarzeń. Cienkie strużki potu znaczyły jej plecy, gdy zamykała oczy, a pod powiekami przebiegały wydarzenia, których była uczestnikiem. Była naiwna, jeśli myślała, że jej

udział pozostał niezauważony, że jej kontakty, jej zaangażowanie nie wzbudziły podejrzeń. Nienawidziła siebie za tamte uniesienia, za bezmyślność, z jaką dała się wciągnąć w grę, w której okazała się tylko marionetką puszczonej w ruch ręką wytrawnych manipulatorów. Nigdy nie czuła większego upokorzenia niż w chwili, kiedy zrozumiała, że jest tylko środkiem, który doprowadza do celu, pożądanym przypadkiem w labiryncie zdarzeń, elementem układanki, który może sprawić, że wszystko nagle zaczyna do siebie pasować.

Nienawidziła Marianny za to, że bez skrępowań wciągnęła ją w tę upiorną grę. Nienawidziła siebie za to, że dała się w nią wciągnąć. Nie mogła sobie wybaczyć tamtej nocy i wszystkiego, co się później stało.

Nienawidziła Henryka, tego ubranego w polski mundur łajdaka, który tak zręcznie wszystkim pokierował. I nienawidziła losu, który sprawił, że uwikłała się w tę przeklętą pajęczynę zdarzeń.

Poczuła, że zaraz zwymiotuje. Zaciśnęła palce na krawędzi umywalki. Starannie upięte nad czołem włosy zaplątały się w mosiężny kurek. Zimna woda spływała po twarzy, szeroką strugą wlewając się jej za dekolt. Kiedy wyrzuciła z siebie wszystko, co miała w żołądku, całą żółć, którą obryzgała białe kafelki, wyprostowała się, bezwiednie przyglądała włosy, po czym osunęła się bezwładnie na posadzkę.

– Panno Meier! Panno Meier!

Głos był znajomy. Dobiegał z oddali, ale słyszała wyraźnie swoje nazwisko. Otworzyła oczy. Tuż przy swojej twarzy zobaczyła okrągłą, gładko wygoloną twarz starszego mężczyzny, który znad zsuniętych na czubek nosa okularów w niemodnej, rogowej oprawie przyglądał się jej z niepokojem.

– Czy ja pana znam? – zapytała, odsuwając się. Uderzyła głową w umywalkę. – Co pan robi w damskiej toalecie? – zapytała z irytacją.

– To jest toaleta męska – odpowiedział mężczyzna, prostując się.

Pomógł jej wstać. – Wszedłem, a pani leżała bez przytomności na podłodze. Jak się pani czuje? Czy wezwać lekarza?

Zobaczyła swoje odbicie w lustrze i szybko odwróciła się od mężczyzny, zapinając guziki bluzki.

– Nie, dziękuję. To niepotrzebne. Na chwilę zrobiło mi się słabo.

To pewnie przez ten upał. – Próbowwała uporządkować sztywne pasma włosów powyciągane z warkocza upiętego nad czołem. – Ale bardzo dziękuję za pomoc, panie? – zawiesiła głos.

– Thiedtke. Komisarz Thiedtke – mężczyzna skłonił lekko głowę.

– A, tak. – Lotte nagle przypomniała sobie, skąd zna mężczyznę. – Spotkaliśmy się wczoraj na molo w Glettkau.

– Bardzo mi przykro z powodu pani znajomej – powiedział komisarz.

– Znajomej? – Lotte znowu poczuła narastający szum w uszach.

Zacisnęła dłonie na brzegu umywalki, by nie stracić równowagi.

– Denatki. Marianny Walewicz – przypomniał komisarz.

– A, tak. Oczywiście. To właściwie nie była moja znajoma, tylko dawna pracodawczyni – zaczęła się tłumaczyć. – Kilka lat temu pracowałam jako jej asystentka. Krótka – dorzuciła szybko.

– Obersturmführer von Moltke mówił mi, że złoży dziś pani zeznanie dotyczące jej tożsamości – powiedział komisarz Thiedtke, kiedy wyszli na pusty korytarz. Jego głos odbijał się od ostrołukowych sklepień i niósł w stronę klatki schodowej. Lotte rozejrzała się z obawą, czy nikt nie słyszy ich rozmowy.

– Tak, już potwierdziłam jej tożsamość – powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał naturalnie.

Widziała, że komisarz przyjrzał się jej uważnie. Zmieszała się tym spojrzeniem zza rogowych okularów. Spuściła szybko wzrok, rozejrzała się

nerwowo na boki, po czym zdecydowanym ruchem wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny.

– To chyba wszystko, panie komisarzu – powiedziała, przyjmując służbowy ton. – Dziękuję za pomoc. Do widzenia – odwróciła się w stronę schodów. Zrobiła kilka kroków, ale zatrzymała się i wróciła do Franza Thiedtke, który stał nadal pod drzwiami męskiej toalety. – Proszę nikomu o tym nie mówić. – Ściszyła głos. – O tym zasłabnięciu w łazience – dodała niemal szeptem.

– Oczywiście, panno Meier – zapewnił komisarz.

Przez bladą twarz Lotte przesunął się ledwo zauważalny uśmiech wdzięczności, a stalowoszare oczy nieco złagodniały.

– Gdyby potrzebowała pani jeszcze kiedyś pomocy, mój gabinet jest na drugim piętrze – powiedział komisarz równie cicho.

Dziewczyna skinęła lekko głową, po czym odwróciła się i odeszła szybko w stronę schodów. Stukot jej obcasów o kamienne płyty posadzki odbijał się z wielokrotnionym echem, które niosło się po pustym korytarzu.

– Panno Lotte, my wiemy, że pani wie, kim była Marianna Walewicz – usłyszała w swojej głowie głos Sturmführera Heinricha Auerbacha. – Wiemy też, co łączyło panią z majorem Henrykiem Malickim. – Czuła jego oddech tuż koło swojej twarzy. – No, chyba nie przypuszczała pani, że romans z polskim szpiegiem w Danzig umknie naszej uwadze? Panno Lotte, niegrzeczna z pani dziewczynka!

Otworzyła szybko okno i zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Tu jest wszystko. – W czasie przesłuchania Heinrich Auerbach pokazał jej teczkę wypchaną dokumentami. – Pani spotkania z majorem, pani wyjazdy do Polski, nawet pani raporty. Major to mężczyzna z fantazją, powiedzmy, że rozumiemy z Obersturmführerem von Moltke pani zauroczenie tym człowiekiem, ale żeby dać się zwerbować?

Moglibyśmy od razu kazać panią rozstrzelać za zdradę ojczyzny i Führera. Ale wiemy, jak bardzo się pani zmieniła w ciągu ostatnich lat.

Wzorowa członkini BDM, pracownica prezydium policji, córka zasłużonego SA-Haupttruppführera. – Wyliczając, Sturmbannführer Auerbach spacerował po pokoju, w którym odbywało się przesłuchanie.

Nagle zatrzymał się i spojrzał Lotte prosto w oczy. – A tak przy okazji, panno Lotte, czy ojciec wie o pani związku z majorem Malickim?

Nie odpowiedziała.

– Tak, tak właśnie myślałem.

Heinrich Auerbach wrócił do spokojnego przechadzania się po gabinecie Obersturmführera von Moltke, który siedział obok protokolanta, młodego SS-mana o twarzy pozbawionej wyrazu. Chłopak mógł mieć jakieś dwadzieścia lat, na czole miał jeszcze pryszcze, które znaczyły jego nieskazitelne nordyckie oblicze siatką czerwonych purchli.

– No, więc, panno Lotte. Sprawa wygląda tak. Pani podpisze zeznanie, poświadczy, że Marianna Walewicz zmarła na skutek utopienia i zapomni o naszej rozmowie. My nie powiemy nikomu, co mamy w tej teczce. Choć, oczywiście, tych akt nie możemy zniszczyć, bo to oficjalne dokumenty, a zniszczenie ich byłoby niezgodne z prawem Trzeciej Rzeszy. Sama pani rozumie. Podpisze pani zeznanie, a potem zapomni o zwłokach Marianny Walewicz. – Podsunął Lotte protokół, który młody protokolant napisał, zanim znalazła się w tym pokoju.

– Tak, Sturmbannführer. – Nie przeczytała nawet słów, które miały być jej zeznaniem. Podpisała się szybko i oddała kartkę Sturmführerowi.

– Proszę.

– Świetnie. – Mężczyzna z zadowoleniem popatrzył na podpis Lotte Meier. Złożyła go w równie pedantyczny sposób, w jaki wypełniała swoje urzędnicze obowiązki. – Wiedziałem, że pani w pełni rozumie, o co

chodzi. – Podał ramię, kiedy chwiejąc się, próbowała wstać z krzesła. Odprowadził ją usłużnie do drzwi. – A zatem nasze milczenie za pani milczenie. W tych niespokojnych czasach milczenie jest złotem, panno Meier! Heil Hitler! – Zasalutował na pożegnanie.

Obcasy czarnych oficerów trzasnęły o siebie.

– Heil Hitler!

Lotte nie miała siły, by wykonać jakiś gest, który wskazałby, że przecież jest po tej samej stronie, że tamte wydarzenia przydarzyły się żadnej barwnej przygód pannicy, która chciała tylko wyzwolić się z zaułka Schusterhof, a ona, Lotte Meier, sekretarka w prezydium policji, była wzorową obywatelką gotową na wszystko dla swego Führera. Może nie wysyłała mu pełnych miłości listów, jak czyniły to każdego dnia zapatrzone w wodza niemieckie kobiety. Niemniej gotowa była na więcej, byle jej tajemnica nie ujrzała światła dziennego.

Dotąd żyła w strachu, że ktoś mógł dowiedzieć się o jej romansie z Henrykiem. Teraz zastanawiała się, jak mogła być tak naiwna, by sądzić, że policja nie wiedziała o niczym. Henryk był w Danzig śledzony, mówił jej to wielokrotnie. Bawiło go to. Bawiło go drażnienie się z gdańską policją, która deptała mu tu po piętach. Zresztą nigdy nie krył się z tym, co robił w Wolnym Mieście. Był z tego dumny, a kiedy wypił za dużo Machandla albo Danziger Goldwasser, opowiadał o tym każdemu, kto chciał go słuchać. Lotte nie mogła tego zrozumieć, ale był czas, kiedy, jak to powiedział Heinrich Auerbach, fantazja polskiego majora robiła na niej niesłychane wrażenie.

Kiedy udało jej się wrócić do swego pokoju, kręciło jej się w głowie. Tego dnia nie mogła już skupić się na pracy. Była rozdrażniona i każdy szmer przyprawiał ją o nieznośny ból głowy.

Półokrągłe oparcie twardego krzesła wbijało się jej w plecy, nagle niedopasowane do jego wyprofilowanych gięć. Co kilka minut spoglądała na wiszący nad drzwiami duży zegar, starając się, by jej rozbiegane spojrzenie nie zwróciło uwagi siedzącej naprzeciwko Helgi, ale czarne wskazówki zdawały się nie posuwać naprzód. Miała wrażenie, że tego dnia czas złośliwie się wydłużył, drwiąc z niej i chichocząc w każdej przerwie między głośnymi uderzeniami przesuwających się wskazówek.

Gdy Helga podnosiła oczy znad swej czarnej maszyny Mercedes Superba, Lotte natychmiast przenosiła wzrok za okno, zza którego wpadało jasne, słoneczne światło, i skubała skórę wokół krótko obciętych, nie pomalowanych paznokci. Helga, z którą dzieliła sekretariat od trzech miesięcy, w milczeniu wybijała rytm na klawiaturze maszyny niczym pianista ćwiczący gamy na fortepianie. Lotte miała ochotę krzyknąć, by przestała, bo nieprzerwany ciąg uderzeń jej idealnie białych, długich palców o czarne, okrągłe klawisze przyprawiał ją o histeryczne spazmy, ale mokra bluzka wciąż klejąca się do jej piersi studziła emocje, przypominając, że Lotte nie powinna ich ujawniać.

Dopiero otwarcie drzwi przerwało stukot maszyny. Do pokoju weszła Ingrid Wolff. Otoczona niewidzialną chmurą ostrych perfum przywiezionych prosto z Londynu przez Willego Hanuscha, który kosztownymi prezentami starał wkupić się w łaski jej ojca.

Usiadła bez słowa na krześle, założyła nogę na nogę i otworzyła papierośnicę, którą wyjęła zza biustonosza, odznaczającego się koronkowym haftem pod jedwabną bluzką. Podsunęła papierośnicę Lotte, ale ta pokręciła tylko przecząco głową. Za to Helga skwapliwie sięgnęła po papierosa i wkrótce w pokoju unosiły się tańczące w słonecznych promieniach smugi wydmuchiwanego przez Helgę i Ingrid dymu.

– Lotte, co jesteś dziś taka nie w humorze? – zapytała Ingrid.

– Lotte ma dziś zły dzień – odezwała się Helga. – Tak, Lotte.

Przecież widzę, że nie możesz usiedzieć w miejscu. – Wzruszyła ramionami, gdy Lotte spojrzała na nią z przyganą, jakby chciała powiedzieć, że to nie jej sprawa, czy ona, Lotte Meier, kręci się dziś na swoim krześle, czy nie.

– Widziałam cię u Moltkego. Czyżby nasz przystojny Obersturmführer złożył ci jakąś propozycję, że jesteś taka naburmuszona, Lotte? – Dym podązał za czerwonymi paznokciami Ingrid. Na twoim miejscu nie zastanawiałabym się długo. Nawet gdyby złożył mi propozycję urodzenia małego von Moltke dla naszego Führera! – obie kobiety zaniosły się śmiechem.

– Nic ci do tego, Ingrid! – unosząc głos, Lotte uniosła się także zza swojego biurka. – Nie interesuj się tak czymś, co nie dotyczy ciebie.

A w ogóle to chyba masz swojego Sturmführera Auerbacha, prawda?

Zapewne nie chciałby dowiedzieć się, że nic nie robisz tylko marnujesz czas na paplaniu, kiedy on wychodzi z biura. – Lotte czuła drżenie palców, na których wspierała się o blat swego biurka.

Ingrid zgasiała szybko niedopalonego papierosa, wgniatając go pospiesznie w szklaną popielniczkę podsuniętą przez Helgę. Wstała, poprawiając spódnice, która opinała jej zaokrąglone biodra, i rzuciwszy słowo pożegnania Heldze wyszła z sekretariatu, trzaskając za sobą drzwiami.

– Dlaczego ją tak potraktowałaś? – zapytała po chwili Helga znad swej maszyny Mercedes Superba. – Przecież to tylko żarty.

– Niech się nie wtrąca w nie swoje sprawy.

Głos Lotte był szorstki. Jej ręce drżały, gdy nalewała sobie do szklanki wodę z butelki z białym, porcelanowym kapsłem. Bąbelki powietrza zawirowały, tworząc pianę, która opadała powoli z głośnym sykiem. Lotte

zawsze trzymała na biurku butelkę z wodą z gdańskiej wytwórni Otto Goetza.

Pracował w niej Herman Schenck, sąsiad Lotte z Ring Strasse w Langfuhr.

Lotte poznała Willego w czasie ćwiczeń, które zorganizował oddział partii z Langfuhr latem poprzedniego roku. Dzień był wtedy ciepły, prażące słońce łagodził cień drzew porastających zbocza pagórków w Gutenbergheim, a Herman był młody, uśmiechnięty i Lotte od razu mu wpadła w oko.

Wracali razem z ćwiczeń pieszo, a gdy minęli korty tenisowe przy restauracji Forsthaus Herman próbował nawet złapać Lotte za rękę. Lotte wiedziała, że był młodszy od niej. Tym wytłumaczyła mu, dlaczego ich związek nie był dobrym pomysłem, ale Herman często widywał się z Lotte, nawet wtedy, gdy zrozumiał, że ona nigdy nie zmienia raz powziętego postanowienia.

Chodzili więc razem na długie spacerunki na Königshöhe, siadali na werandzie na piętrze kawiarni na Zinglershöhe, skąd rozciągał się widok na strzeliste wieżyczki skrytych wśród drzew willi z czerwonymi dachami, a w sobotnie wieczory jeździli razem tramwajem linii numer 1, by w ogródku Cafe Reichskrone spotkać się z siostrą Hermana Emmą, cichą studentką seminarium nauczycielskiego w Langfuhr.

Lotte czuła się wobec rodzeństwa Schenck niczym starsza, bardziej doświadczona siostra, i lubiła te wieczorne spotkania, w czasie których rozmowy nie wybiegały poza marzenia Emmy o ukończeniu nauki i pracy w szkole. Nie było wówczas mowy o sprawach, które rozgrywały się przy Karenwall, a Herman i Emma nigdy nie zadawali Lotte niewygodnych pytań. Raz w tygodniu Herman przynosił do mieszkania Lotte na Ring Strasse skrzynki z wodą z rozlewni Otto Goetza, w której pracował.

– Żebyś gasząc pragnienie, myślała o swoim Hermanie – mówił, uśmiechając się szeroko.

I Lotte pamiętała za każdym razem, gdy sięgała po zieloną butelkę z porcelanowym kapslem, stojącą na jej biurku w sekretariacie w prezydium policji przy Karenwall.

– Lotte, nie wiesz, że ojciec Ingrid jest wielką szyczą? – Helga wyglądała na zatroskaną.

Lotte machnęła tylko ręką. Wiedziała doskonale, że Jens Wolff był bliskim współpracownikiem Fostera, a sama Ingrid bywała z nim w jego rezydencji w Wordel, gdzie podobno sam Führer projektował wnętrze drewnianego dworku, który sprezentował gauleiterowi na trzydzieste pierwsze urodziny. Jej ojciec Georg, który był wówczas tylko szeregowym członkiem partii, przyniósł tę nowinę do domu, bo cała gdańska NSDAP mówiła tylko o tym.

Wypiła łyk wody i drżącą ręką odstawiła szklanekę.

– I dlatego ona uważa, że wszystko jej wolno – powiedziała spokojnie. – A to nieprawda. I ty powinnaś o tym pamiętać!

Wiedziała, że Heldze, podobnie, jak Willemu Hanuschowi, zależało na przyjaźni Ingrid, bo ta mogła zaprowadzić ich na najważniejsze salony gdańskiej NSDAP, z których droga awansu na wyższe stanowiska w mieście stawała się znacznie krótsza i mniej skomplikowana. Ingrid zaś lubiła prezenty i pochlebstwa, nie trudno było więc kupić jej przychylność.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. – Helga wyduła wargi i pochyliła się nad kartką wsuniętą w maszynę. Podniosła leżący obok ołówek i udając, że sprawdza, co wcześniej napisała, przygryzła końcówkę ołówka.

Lotte usłyszała nagły trzask i Helga podskoczyła łapiąc się za policzek.

– Boże, chyba złamałam sobie ząb! – krzyknęła w stronę Lotte. – Widzisz, to wszystko przez te twoje fochy! – Wybiegła na korytarz,

pozostawiając za sobą niezamknięte drzwi.

Lotte wzruszyła ramionami. Helga sama była sobie winna. I doskonale wiedziała, co Lotte miała na myśli. Helga była Niemką w drugim pokoleniu, jej dziadkowie sadzili kapustę na kaszubskim polu, a rodzice przyjechali do miasta w poszukiwaniu szczęśliwszego życia i przekonawszy się o tym, że drogę do społecznego awansu ułatwi im niemieckie obywatelstwo, szybko zmienili przekonania, wiarę i narodowość.

Dla Helgi znajomość z Ingrid Wolff była kolejnym stopniem w drabinie społecznej, choć skrzętnie ukrywała to przed samą sobą, twierdząc uparcie, że Ingrid to osoba interesująca i dowcipna. Lotte zaś widziała tylko opięte spódnice Ingrid i jej czerwone paznokcie, których nie znosiła, zastanawiając się, jak ojciec Ingrid, bliski współpracownik samego gauleitera, mógł pozwolić na to, by niemiecka kobieta wyglądała tak wyzywająco.

Nalała sobie jeszcze jedną szklanekę wody Otto Goetza, wstała z biurka i podeszła do uchylonego okna. Otworzyła jedno skrzydło, by na zalaną słońcem ulicę wypuścić krążące pod sufitem sekretariatu smugi dymu papierosowego i upiwszy łyk wody, usiadła na szerokim, kamiennym parapecie.

Na zewnątrz załopotąła flaga wypuszczona na fronton budynku z okna na wyższym piętrze. Ulicą przejechał samochód. Chodnikiem po drugiej stronie szła starsza kobieta w czarnej, niemodnej sukni sięgającej kostek. W jednej ręce trzymała czarną, obszytą koronką torebkę, drugą ciągnęła za sobą kilkulatka w krótkich spodenkach na szelkach, który zauważył siedzącą na parapecie Lotte i przyglądał się jej zadartą jasnowłosą głowę. Lotte pomachała mu ręką, uśmiechając się, chłopiec wystawił język i pobiegł przed siebie, dorównując kroku prowadzącej go kobiecie.

Przymknęła oczy. W głowie znowu jej zahuczało. Przez chwilę miała wrażenie, że osunie się na podłogę. Przytrzymała się drewnianej ramy okna i wypięła do dna wodę ze szklanki. Szum w uszach zelżał i po chwili wróciła za biurko. Tego dnia udawała tylko, że pracuje.

Po kilku minutach Helga wróciła. Bez słowa usiadła za biurkiem i zaczęła stukać w swoją maszynę.

– Rzeczywiście złamałaś ząb? – zapytała Lotte.

– Nie – odpowiedziała krótko Helga, nie podnosząc wzroku. – Ale i tak nie podoba mi się to, co powiedziałaś. – Palce Helgi z wprawą uderzały w klawiaturę maszyny.

Lotte wyszła z pracy wcześniej. Ale zamiast pójść na przystanek tramwajowy linii numer 1 z Danzig do Langfuhr, ruszyła w stronę Kohlenmarkt. Minęła monumentalną, ponurą budowlę Bank von Danzig z wysokimi oknami na parterze. Wokół pomnika cesarza Wilhelma I panował zgiełk. Samochody trąbieniem oznajmiając swoje istnienie w jednym z najbardziej ruchliwych punktów miasta, objeżdżały konny pomnik cesarza, który z kamiennego postumentu spoglądał zasępiony w stronę Neugarten, gdzie z końcem poprzedniego wieku zbudowano centrum stołecznego miasta pruskiej prowincji West-Preussen, a w siedzibie Volkstagu, wzniesionej przez tę samą berlińską firmę Ende und Böckmann, która zbudowała unicestwowaną na oczach Lotte Wielką Synagogę stojącą tuż koło prezydium policji, urzędował jeszcze parlament miejski sławiący bohatera Danzig Paula Benecke freskiem umieszczonym ponad głównym wejściem do sali posiedzeń.

Obecność żeglarza, którego groote kraveel uwiecznił twórca obrazu wiszącego także w gabinecie Marianny, była w mieście znacząca.

Piętnastowieczny bohater stał się patronem młodzieżowego schroniska Hitlerjugend na Bischofsbergu. Codziennie w samo południe przy

dźwiękach carillonu można było obejrzeć tam wydarzenia sprzed wieków, gdy gdańska karaka doganiała galaidę z obrazem mistrza Memlinga na pokładzie, by, jak kiedyś, zwyciężyć, po czym zamiast odpłynąć do macierzystego portu, znikła we wnętrzu zbudowanej na niewielkim wzniesieniu wieży, należącej do schorniska dla młodzieży.

Lotte nieraz widziała to widowisko, które najwięcej emocji wzbudzało u przyprawdzanych tu po raz pierwszy dzieci, krzyczących, by dodać otuchy gdańskiemu kaprowi w czasie ataku, i klaszczących w dłonie, gdy wszystko szczęśliwie dobiegało końca.

Minąwszy bramę skręciła w prawo i korzystając z cienia, jaki dawały markizy zawieszane nad oknami restauracji hotelu Danziger Hof, weszła na plac przed teatrem miejskim. Tramwaj linii numer 3 wjeżdżał właśnie w Langgasse Tor, by z głośnym pobrzękiwaniem stalowych kół toczących się po torach wtopionych w granitową kostkę ulicznego bruku minąć Ratusz i potoczyć się dalej ponad wodami Motlau aż na Dolne Miasto.

W domu towarowym koło bractwa św. Jerzego, budowli, której architektura bliższa była radosnemu, klarownemu modernizmowi niż dostojnemu gdańskiemu neorenesansowi, drzwi wejściowe wydawały się nie zamykać nawet przez chwilę. W tę i z powrotem przelewały się fale ludzi spragnionych zakupów lub tylko ich namiastki w postaci godzin spędzanych na oglądaniu tego, co pokazywano na wystawach.

Wzdłuż zbudowanej na środku placu wysepki stał rząd taksówek czekających na klientów, a przed budynkiem zbrojowni ustawiono kilka drabiniastych wozów, z których robotnicy wyładowywali worki, wnoszone do ciemnego wnętrza. Konie zaprzężone do wozów rżały, strzygąc sterczącymi uszami i zniecierpliwione uderzały o bruk podkutymi kopytami.

Koło teatru minęła maszerujący w przeciwną stronę oddział SA. Przechodnie na widok mężczyzn w brązowych mundurach przystawali i wyciągając ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, salutowali. Lotte zrobiła to samo, a kilku mężczyzn z maszerującego oddziału przechodząc obok uśmiechnęło się do niej.

Wchodząc na Holzmarkt, Lotte zwolniła. Ciasna zabudowa miasta sprawiała, że takie dni, jak ten, gdy słońce grzało mocno, a na błękitnym niebie nie było widać żadnych chmur, w Danzig stawały się nie do zniesienia. Miasto z jednej strony otoczone wzgórzami, które porastały gęste lasy, z drugiej oblane wodami zatoki, nie odczuwało ani nadmorskiej bryzy, ani leśnego chłodu. Lotte miała wrażenie, że powietrze zawisło nieruchomo między kamienicami i chyba tylko nadejście Stolema mogłoby ochłodzić rozgrzane upałem ulice.

Na skwerze wokół Pomnika Niemieckich Zwycięstw, którego odsłonięcie przyszli obejrzyć na swym pierwszym wspólnym spacerze w pewne majowe popołudnie śliczna Liselotte Guttke i sztauer z portu na Motlau Georg Meier, spacerowało kilka osób.

Kobieta skryta przed słońcem pod koronkową parasolką szła szybkim krokiem w stronę Pfefferstadt, bosa w białym czepku kołysała niski wózek na resorach, z którego dobiegał płacz dziecka niosący się echem po całym placu, na ławce mężczyzna w kapeluszu z dużym rondem czytał gazetę.

Na przystanku przed sklepem skórzanym firmy Georg Bartling i synowie zatrzymał się autobus, z którego wysiadło kilka osób, a koło ustawionych jedna za drugą miejskich taksówek stała grupa kierowców, którzy w oczekiwaniu na klientów rozmawiali, paląc papierosy.

Koło budynku Danziger Sparkasse Lotte skręciła w Breitgasse. Dom, w którym mieszkali Walewicze, znajdował się na rogu Dam II8. Z okien narożnego salonu widać było wieże Marienkirche. Kilkadziesiąt metrów

dzieliło mieszkanie Walewiczów od Kaplicy Królewskiej, którą jako katolicy odwiedzali każdego niedzielnego poranka.

Marian Walewicz uchylając kapelusza, witał się z innymi Polakami wchodzącymi do tej dziwnie odróżniającej się od otaczającej ją zabudowy świątyni, która przycupnęła u stóp potężnego Marienkirche jak wystraszona mysz pod bokiem wielkiego kota, ale na tle surowych, gotyckich murów katedry pyszniła się barokową fasadą, którą sprezentował jej syn krawca z Utrechtu, miłośnik Palladia i właściciel polskiego tytułu szlacheckiego, sprowadzony do Danzig z polskiej stolicy.

Nie dochodził tu rybi odór, towarzyszący dniom targowym na niedalekim Fishmarkt. Słysząc było tylko stłumione syreny i dzwonki statków przepływających Motlau koło Żurawia, a na niebie zawsze unosiły się cienie mew polujących na resztki z rybackich ław, pod którymi zostawały resztki śledzi i dorszy, sprzedawanych przez przekupki z Bohnsack.

Weszła na pierwsze piętro narożnej kamienicy i tak, jak wielokrotnie czyniła to przed laty, zapukała mosiężną kołatką w masywne, dębowe drzwi, równie wypolerowane i pozbawione skaz, jak wówczas. I jak wtedy usłyszała dźwięk odsuwanych zasuw i otwieranych zamków, po czym drzwi uchyliły się i ujrzała w nich pokojówkę Ewę. Przez ułamek chwili na piegowatej twarzy pojawiło się zaskoczenie tą nieoczekiwaną wizytą, ale Ewa szybko opanowała emocje i uśmiechnęła się, otwierając szerzej drzwi.

– Panna Lotte? Dzień dobry, co za niespodzianka! – powiedziała, zapraszając Lotte do środka.

– Witaj, Ewo. Miło cię znowu widzieć. – Lotte weszła do mieszkania, choć właściwie nie bardzo wiedziała, dlaczego to robi. Tak jak nie wiedziała, po co w ogóle tu przysłała. – Czy jest pan Walewicz?

Chciałabym złożyć mu kondolencje. To straszne, co się stało. – Uznała, że to usprawiedliwi jej niezapowiedzianą wizytę.

Ewa popatrzyła na nią zmieszana i spuściła wzrok.

– To ja zidentyfikowałam zwłoki panny Marianny. – W mieszkaniu było zupełnie cicho. – Czy jest pan Walewicz? – dopytywała Lotte.

Ewa stała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Milczała.

– Ewo, policja już tutaj była, prawda? Wiecie, co się stało? – Lotte zaniepokoiła się, że w domu na Breitgasse nikt nie wie jeszcze, co stało się w Glettkau.

– Tak, byłam dziś w kostnicy zidentyfikować zwłoki. – Ewa odruchowo dygnęła, wciąż wpatrując się w końcówki własnych butów.

– Ty? – zdziwiła się Lotte. – A pan Walewicz?

– Wyjechał dwa dni temu.

– Czy już wie?

– Tak, nadano mu telegram.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem.

– A pogrzeb? Trzeba przecież pochować Mariannę.

– Ma się tym zająć sekretarz pana Walewicza.

– Sekretarz? Pan Podolski? – Lotte znowu była zaskoczona.

Ewa pokiwała głową.

– Dobrze. Wobec tego złóż ode mnie szczerze kondolencje panu Walewiczowi. To bardzo smutne, co się stało. – Lotte wyjęła z torebki mały notes, zapisała w nim numer telefonu do mieszkania przy Ring Strasse i podała pokojówce. – To jest mój numer. Zawsze ktoś odbierze, bo moja matka nie wychodzi. Zawiadom mnie, proszę, kiedy będzie pogrzeb.

Ewa wzięła karteczkę, zwinęła ją w rulonik i schowała do kieszeni wykrochmalonego fartuszka.

– Tak, panno Lotte! Oczywiście. – Dygnęła, nie podnosząc wzroku. Otworzyła drzwi. – Do widzenia, panno Lotte!

Lotte wyszła na korytarz. Wysunęła już stopę, by zejść po schodach, ale cofnęła ją i odwróciła w stronę pokojówki, stojącej w drzwiach do mieszkania.

– Horch panny Marianny stoi w podwórku? – zapytała nieoczekiwanie.

– Panna Walewicz zmieniła Horcha na mercedesa – odpowiedziała speszona Ewa.

– Stoi na podwórku? – powtórzyła z naciskiem Lotte.

– Nie. Panna Marianna pojechała nim wtedy... kiedy to się stało. – Pokojówka znowu spuściła oczy, a jej piegowata twarz lekko się zarumieniła.

– Rozumiem. Do widzenia, Ewo! – Lotte odwróciła się i zeszła schodami na parter kamienicy. Słyszała za sobą stłumione trzaśnięcie drzwi, a potem zgrzyt zamykanych zamków. Wokół zaległa cisza.

Zatrzymała się na chwilę. Wstrzymała oddech, jakby z ciszy można było odczytać, co naprawdę stało się z Marianną, ale nie usłyszała nic oprócz głosu Zarah Leander, który dobiegł z podwórka.

Po wizycie w domu Walewiczów wróciła do prezydium policji. Mimo późnej pory w budynku przy Karenwall kręciło się sporo ludzi, umundurowanych i cywilów. To poruszenie wydało się jej nieoczekiwane i zaskakujące, ale w tych niespokojnych czasach policja miała dużo pracy. A ona musiała wiedzieć o wszystkim, co działo się w neorenesansowym gmachu, którego fasadę z czerwonej cegły przysłaniały wielkie czerwone flagi ze swastykami, spuszczone z okien na najwyższych piętrach.

Weszła na drugie piętro i na końcu korytarza odnalazła gabinet komisarza Thiedtke. Zapukała i otworzyła drzwi. Przy biurku siedział

niepozorny, chudy mężczyzna. Miała wrażenie, że gdzieś już go spotkała, ale nie mogła sobie przypomnieć ani miejsca, ani czasu.

– Dzień dobry. Szukam komisarza Thiedtke. Nie wiem, czy dobrze trafiłam – powiedziała niepewnie.

– Jak najlepiej! – mężczyzna zerwał się z krzesła i podszedł w jej stronę. – Jestem Joseph Krupke, asystent komisarza. – Uścisnął jej dłoń.

Jego uścisk był oślizły.

– A tak, rzeczywiście. Teraz już pana poznaję. – Lotte cofnęła rękę.

– Panna Lotte Meier. Spotkaliśmy się wczoraj na moło w Glettkau, prawda? Proszę, niechże pani siada. – Podsunął jedno z krzeseł. – Paskudna sprawa z tą pani znajomą.

– To była moja pracodawczyni, panie Krupke. – Poprawiła Lotte chłodno. Odsunęła krzesło.

Krupke przyjrzał się jej uważnie, po czym jego bezbarwną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Tak, oczywiście. Przepraszam, panno Meier!

– Szukam komisarza Thiedtke – powtórzyła Lotte.

– Niestety, już wyszedł. – Krupke rozłożył ręce. – Komisarz za kilka dni przechodzi na emeryturę i właściwie już tylko porządkuje swoje sprawy.

– A czy mógłby mi pan podać jego adres? To sprawa pilna.

– Niestety, panno Meier, nie jestem upoważniony.

– Z pewnością nie miałyby nic przeciwko temu, panie Krupke.

– Nie mogę, przykro mi. Ale może ja mógłby pani pomóc? – Jego uśmiech był równie oślizły, jak jego zimna dłoń. – Komisarz Thiedtke odchodzi na emeryturę, a ja, rozumie pani, będę – chrząknął znacząco – jego następcą.

Lotte zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

– Nie, panie Krupke. To sprawa osobista. Tylko z panem komisarzem. –
Odwróciła się i położyła rękę na klamce. – No, cóż.

Widzę, że będzie musiała poczekać. Żegnam, panie Krupke!

Już miała ją nacisnąć, by wyjść na korytarz, gdy Krupke podbiegł do drzwi, chwycił jej dłoń, uniósł ją do ust i ucałował.

– Nie mogę podać pani adresu komisarza, ale mogę pani powiedzieć, że jutro rano, jak zawsze w niedzielny poranek, będzie łowił ryby naprzeciwko Brotbänkergasse Tor.

– Heil Hitler! – Lotte wyzwoliła rękę z uścisku.

– Heil Hitler! – Joseph Krupke wyprostował się, a z jego twarzy zniknął błakający się po niej dwuznaczny uśmiezek.

– Żegnam, panie Krupke.

– Do widzenia, panno Meier.

ROZDZIAŁ 7

– Przez najbliższą godzinę proszę nie wpuszczać do mnie nikogo!

– Sturmführer Heinrich Auerbach nakazał sekretarce.

– Tak jest. – Ingrid Wolf uśmiechnęła się tym przeciągłym, nieco obleśnym uśmiechem, który rezerwowała na chwile, gdy byli sami.

Heinrich Auerbach uważał, że była ponętna, choć nie w jego typie. Wiedział jednak, że ta córka najbliższego współpracownika Alberta Forstera gotowa była wykonać dla niego najbardziej wymagające zadania, nie okazywał więc jej braku swego zainteresowania.

Zamknął za sobą drzwi i zadowolony z obrotu spraw podszedł do szafy, w której trzymał akta prowadzonych przez siebie akcji. Otworzył ją i sięgnął po pękatą butelkę kształtem przypominająca małą baryłkę, na której umieszczono dużą etykietę w kształcie równoramiennego krzyża.

Butelka była do połowy wypełniona płynem koloru bałtyckiego bursztynu, który mienił się w promieniach słońca wpadającego przez otwarte okno, tak że różnokolorowe refleksy rozbiegły się po białych ścianach pomieszczenia jak niesforne szkiełka w kalejdoskopie. Sięgnął jeszcze po mały kieliszek z grubego szkła i kolanem zamknął szafę.

Dębowe drzwi zaskrzypiały. W jednej ręce trzymając butelkę i kieliszek podszedł do okna. Rzucił okiem na pracujących po drugiej stronie ulicy robotników, którzy kończyli rozbiórkę synagogi, i zamknął je.

W gabinecie zrobiło się cicho.

Usiadł na skórzanej sofie ustawionej obok drzwi wejściowych. Otworzył butelkę i napełnił kieliszek. Wypił powoli, pozwalając, by alkohol

spływał ciepłą falą, całe ciało obejmując powoli przyjemnym uczuciem odprężenia, po czym nalał jeszcze jeden kieliszek, zamknął butelkę i odstawił ją na niski stolik stojący obok.

Nigdy nie był zwolennikiem miejscowych zwyczajów picia machandla, a gdański ceremoniał spożywania go ze śliwką w ustach napawał go prawdziwym obrzydzeniem. Ze źle skrywanym wstrętem obserwował bywalców Reimannstube, którzy siadając przy prostych stolikach pod portretem Führera, zamawiali butelki machandla i talerzyki z suszonymi śliwkami nabitymi na wykałaczki. Śliwki umieszczali w ustach, rozgryzali, a następnie wlewali w siebie zawartość kieliszków, całość dopełniając łamaniem wykałaczki. Kiedy ktoś pomylił kolejność wymaganych czynności, reszta przyjmowała to z radosnym aplauzem, do niego należało bowiem postawienie następnej kolejki. I tak towarzystwo bawiło się do rana.

Heinrich Auerbach, który do Danzig sprowadził się latem trzydziestego piątego i nigdy nie poczuł się w tym mieście na swoim miejscu, lokalne zwyczaje przyjmował z pełną niesmaku wyższością, nie zawracał sobie jednak głowy miejscowymi dziwactwami. Nie interesował go ani sposób, w jaki pito machandla, ani metoda, jaką robiono go według niderlandzkiej receptury mennonickiego założyciela intratnej fabryki, ani tym bardziej Bernard Stobbe, który w miejscowości Tiegenhof pędził dzięki niemu dostatni żywot wraz ze swą liczną rodziną. Heinrich Auerbach wolał koniak, a Najstarszy Rocznic przypominał go tak barwą, jak i smakiem, więc pił Machandla, jak tysiące innych mieszkańców tego miasta, choć nie czuł przez to żadnej z nimi więzi.

Wyciągnął przed siebie nogi i oparł głowę o ścianę, przy której stała sofa. Był zadowolony, że jego misterny plan udało się zrealizować w każdym, najmniejszym nawet, detalu, choć wymagało to takiego

zaaranżowania wypadków, by w całym ciągu zdarzeń nikt nie mógł dopatrzeć się celowości ani wcześniej zamierzonego działania.

Nie miał wyrzutów sumienia wobec tamtej dziewczyny. Była tylko zwykłą dziwką, nieznaną prostytutką z Hakelwerku. Nie potrafiła zrobić użytku z życia, które jej dano, więc pozbawienie go jej było, zdaniem Heinricha Auerbacha, równie bezwartościowe, jak jej egzystencja.

Więcej, uwolnienie od portowych spelunek, cuchnących tanią wódką i oddawanym w ciemnych bramach moczem, od pijanych klientów, którzy zataczając się od jednej odrapanej, ściany do drugiej rzucali ją na skrzypiące łóżko przykryte brudną pierzyną, by za chwilę zasnąć wypełniwszy klitkę przy Jungfrauengasse odorem sfermentowanego alkoholu, który parował z ich spoconych ciał, uwolnienie jej od tego wszystkiego poczytywał sobie nawet za przysługę oddaną niewartej tego ulicznicy, potrafiącej tylko sprzedawać swoje ciało za parę gdańskich guldenów.

Obersturmführer Auerbach lubił myśleć o sobie jako o twórcy nowego porządku. Czuł się czasami jak nowoczesny alchemik, cudotwórca, który lada dzień odkryje tajemnicę przemiany piasku w złoto i sprawi, że nowy ład uporządkuje chaos, który niszczy świat wokół. Choć zwykle cechował go pragmatyzm, umiłowanie rozumu, chłodna kalkulacja, dzięki której wiedział, co należy robić. Gdyby nie jego racjonalizm i umiejętność przewidywania alternatywnych zdarzeń, Heinrich Auerbach na pewno nie doszedłby do własnego gabinetu, w którym skryty za drzwiami wystarczająco masywnymi, by oddzielić go od reszty świata, mógł w spokoju pić gdański machandel, rozkoszując się kolejnym sukcesem.

Kiedy jednak życie układało się nie tak, jak zaplanował, Heinrich Auerbach czuł irytację. Lubiał mieć kontrolę nad wydarzeniami, których kolejne sekwencje planował w długie, samotne wieczory. Bawił się

układaniem nieprawdopodobnych scenariuszy, a kiedy życie okazywało się zbyt nudne, by się nim ekscytować, inicjował to, co z pozoru tylko było nawet najbardziej nieprawdopodobne. Czuł się wtedy, jak sam wszechmogący, choć w Boga nie wierzył. Wierzył tylko w siebie, a Teuflem (Diabłem) Mariannę nazwał z wrodzonej przekory. Bo Marianna była, jak anioł, jak ulotna chwila, którą można spłoszyć nieostrożnym słowem.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy wśród tropikalnej zieleni berlińskiego ogrodu botanicznego, wyglądała jak efemeryczna zjawka, która zniknie, gdy tylko ktoś ją zauważy. Pochylała się nad okazem storczyka, który zwiesił wąskie, żółto-czarne płatki jak pies, łasy na słowa pieszczoty, i uśmiechała się do siebie, przyglądając się niemal przeźroczystym, blad różowym kwiatom, które wyciągały w jej stronę swe pojedyncze główki, spoglądając na nią równie ciekawie, jak ona przyglądała się im.

– *Paphiopedilum stonei*. – Podeszedł bliżej i nachylił się w jej stronę.

– Słucham? – Cofnęła się odruchowo.

– *Paphiopedilum stonei* – powtórzył, uśmiechając się. – Pochodzi z Borneo. Do Anglii przywiózł ją niejaki Hugh Low. Pierwszy raz zakwitła w 1861 roku, w świadkach tego zdarzenia wzbudzając taki sam zachwyt, jak w pani. Piękny okaz, prawda?

– Jest pan ogrodnikiem? – Rozluźniła się, a w jej niebieskich oczach zobaczył coś figlarnego, coś, czego obserwując ją długie godziny z daleka, nie był w stanie dostrzec.

– Nie, tylko miłośnikiem. – Skłonił się. – Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Heinrich Auerbach.

– Marianna Walewicz.

Uścisk jej dłoni był zadziwiająco mocny i zdecydowany. Wtedy po raz pierwszy pomyślał, że Marianna będzie partnerem, a nie tylko kolejną

marionetką w jego sprawnych rękach.

– Polka? Może mógłbym służyć jako przewodnik po Berlinie?

– Dziękuję, ale to zbyt wiele. Moja matka pochodzi z Berlina, a ja mieszkam tutaj od trzech lat. – Ruszyli razem w stronę wyjścia z Victoriahaus.

– Berlin, Berlin. Wszyscy do niego ciągną. Jest jak centrum naszego wszechświata, nie sądzi pani?

– W istocie lubię Berlin. A pan jest rodowitym Berlińczykiem?

– Nie, skądże! Pochodzę z Bawarii.

– To może ja mogłabym pokazać panu miasto? – W jej zmrużonych oczach było coś wyzywającego. Heinrich Auerbach roześmiał się.

– Co pani robi w Berlinie? – zapytał.

– Studiuję. Na Friedrich-Wilhelms-Universität.

– Na Friedrich-Wilhelms-Universität? Co za zbieg okoliczności! Ja też tam studiowałem. W czym się pani specjalizuje?

– W historii literatury i sztuki. A pan?

– Najpierw studiowałem prawo, ale to nudna rutyna, więc zająłem się językami obcymi. Angielskim, francuskim, włoskim i hiszpańskim.

No i łaciną, i greką, oczywiście.

– Miłośnik botaniki i do tego poliglota. Czy jest pan bezrobotnym nauczycielem, który w takich miejscach, jak to, werbuje bogate uczennice?

– znowu zmrużyła oczy. Tym razem roześmiali się obydwójce.

– Nie, bez obawy. Nie nadaję się na nauczyciela. Te wszystkie dzieci, które trzeba przekonywać, że znajomość obcych języków będzie im kiedyś bardziej potrzebna niż skakanie po drzewach, nie, nie, to stanowczo nie dla mnie. Jestem urzędnikiem w Ministerstwie Obrony.

– W Ministerstwie Obrony? Jest pan kimś ważnym? Kimś kogo powinnam się bać? – Znowu zmrużenie oczu.

– Nie, skądże. Jestem tylko skromnym urzędnikiem.

Przy Mariannie niemal zapomniał, że to spotkanie nie było przypadkiem, a banalna pogawędka w parku nie była tylko niewinnym flirtem. Po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, jakby świat stanął poza czasem, jakby to miejsce i ta rozmowa miały trwać wiecznie, bez początku i bez końca. Zdawał sobie sprawę, że realizuje tylko kolejny punkt swego planu, ale nagle nic innego nie miało znaczenia. Nigdy wcześniej nie czuł się tak dobrze w czyimś towarzystwie. Pomyślał nawet, że nikt nigdy nie docenił go za cokolwiek innego poza konsekwencją i dyscypliną.

Marianna poznała tylko mężczyznę w ogrodzie botanicznym. Poznała mężczyznę, który wyglądał jak on, nosił to samo nazwisko, ale nie miał żadnych cech, którymi Heinrich Auerbach na co dzień się chlubił. Przyszło mu nawet do głowy, że była tylko głupią, naiwną, rozkapryszoną pannicą z bogatego domu, która jak pierwsza lepsza ulicznica daje się upolować przypadkowo napotkanemu mężczyźnie, po pozorach oceniając jego wartość, ale natychmiast skarcił się za takie myśli, bo już w czasie tego pierwszego spotkania zobaczył w niej kogoś, z kim mógł współpracować. Kogoś, kto pod kruchą powłoką krył równie silny charakter i nie bał się sięgać po to, czego pragnął. Zobaczył równego sobie partnera, choć wcześniej nie przypuszczał, że Marianna wzbudzi w nim takie uczucia.

Kiedy podchodził do niej w ogrodzie botanicznym, kiedy działo się to, co wcześniej zaplanował tak starannie, jak wszystko w swoim życiu, wydawało mu się, że ta kobieta nie kryje przed nim żadnej zagadki. Wiedział wszystko na jej temat, przynajmniej tak sądził.

Zanim zdecydował się, by do niej podejść, obserwował każdy jej krok lub też kazał obserwować swoim podwładnym, którzy w dokładnych raportach zdawali relacje z tego, co robiła. Znał jej plan dnia, jej ulubioną kawiarnię przy Unter den Linden, gdzie siadywała każdego popołudnia po

zakończeniu zajęć na położonym tuż obok uniwersytecie. Wiedział, gdzie kupowała książki, ile papierosów dziennie wypalała i z kim spotykała się wieczorami. Znał przeszłość jej matki, choć ta libertyńska Żydówka z artystycznymi aspiracjami finansująca berlińską bohemę stanowiła tylko pretekst, klucz, który miał pomóc w otwarciu przygotowanej przez niego sprawy. Jej centrum miała stać się Marianna.

Za utworzenie tego misternego planu, którego efektem miało być jej zwerbowanie i odesłanie do Danzig, czekał na Heinricha Auerbacha awans.

W roku, w którym poznał Mariannę ten syn małomiasteczkowego lekarza z Bad Reichenhall, wnuk mistrza szewskiego z Lucerny, poliglota, który dzięki gorliwości partyjnej został studentem berlińskiego uniwersytetu, miał dwadzieścia siedem lat i głowę pełną planów dotyczących własnej przyszłości. Marianna Walewicz miała mu pomóc w tym, by plany stały się rzeczywistością.

W dniu, kiedy poznał ją osobiście, kiedy poczuł tę nieokreśloną przyjemność, jakby nagle odnalazł spokój w ciągłym wirze własnych zamierzeń, wrócił do swego pustego mieszkania, gdzie wieczorami słychać było pociągi z ciężkim skrzypieniem żelaznych kół wtaczające się na Potsdamer Bahnhof, i zaczął planować, a plany, które wtedy snuł, już obejmowały Mariannę.

Widział ją w roli współpracownicy, partnerki, udziałowca jego kariery, osoby, która zrozumie jego, Heinricha Auerbacha z Bad Reichenhall, zamierzenia i odda się im z równą gorliwością, jak czynił on sam. Dotąd wolny od takich uniesień nie zdawał sobie sprawy, że stan, w którym się znalazł, był zwykłym zauroczeniem, eksplozją emocji, które dotąd nie znajdowały ujścia. Czuł się podekscytowany. To było niepokojące uczucie, ale jak wszystko w swoim życiu postanowił zaprząć je do realizacji celu, co kontemplował z właściwą sobie precyzyjną konsekwencją. Wiedział, że w

jego życiu wiele się zmieni. Zdawał sobie sprawę, że to uczucie było ze wszech miar irracjonalne, a on w intuicję nie wierzył, jednak nie mylił się.

Przez te wszystkie lata, które minęły od spotkania w berlińskim ogrodzie, Marianna dała mu wiele. Zapewne więcej niż mógł oczekiwać, podchodząc do niej, gdy pochylała się nad delikatnym okazem storczyka. Z właściwą sobie racjonalnością szybko odnalazł się w tej nieoczekiwanej dla siebie sytuacji, jednak zawsze towarzyszyło mu uczucie tymczasowości, jakby wiedział, że przyjdzie moment zapłaty, że będzie musiał rozliczyć się z tego, co od niej otrzymał.

Nie zdziwił się więc, gdy moment ten wreszcie nadszedł. Właściwie czuł się do niego w pełni przygotowany. Wiedział, że życiem rządzi cyniczna zasada wymiany i dlatego ze spokojem oczekiwał tej chwili, wykorzystując to, co dano mu w zamian. I nie wahał się, gdy układając swój kolejny misterny plan znowu związany z Marianną, jego głównym elementem uczynił zabicie tamtej dziewczyny. Jej jedyną winą było podobieństwo do Marianny, ale to właśnie ono zapewniło zeznania sekretarki, które potrzebne były do tego, by cała sprawa została szybko zamknięta. Von Moltke dobrze wiedział, kim była Marianna i dlatego Heinrichowi Auerbachowi zależało, by mieć wiarygodnego świadka, który poświadczyłby tożsamość znalezionej kobiety.

Nie mógł lepiej ułożyć całej intrygi, choć miał niewiele czasu, by wszystko przygotować. Wystarczyło wysłać na miejsce Moltkego z jego sekretarką, której narodowy fanatyzm miał swoją genezę zapisaną w aktach policji, by mieć pewność, że tożsamość znalezionej ciała zostanie określona.

Dwóch chłopaków, którzy zajęli się prostytutką z Hakelwerku, było już na budowie w Stutthof, zresztą przyjechali do Danzig niedawno, nikogo tu nie znali, więc nie było niebezpieczeństwa, że cała sprawa wyjdzie na jaw.

Lotte Meier przekonała się, że jej przełożonym nie umknie żaden jej krok i zatrzaśnięta w potrzasku własnego strachu musiała odtąd żyć ze świadomością, że nigdy już żaden jej czyn nie pozostanie niezauważony.

Marianna była bezpieczna. Jego misja związana z Marianną Walewicz, pseudonim Diabeł, po sześciu latach została zakończona. Awans, którego spodziewał się przed laty w Berlinie, dawno osiągnięty.

Heinrich Auerbach czuł zadowolenie, choć świadomość, że nigdy więcej nie zobaczy Marianny, była dokuczliwa. Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek machandla i wypił go duszkiem do dna. Wstał i podszedł do szafy, w której schował butelkę i kieliszek. Spojrzał na zegarek i odruchowo poprawił czarną kurtkę munduru, która od siedzenia na miękkiej kanapie ściągnęła się wokół skórzanego pasa.

Miał przed sobą wizytę w Victoriaschule, kilka kroków od prezydium policji. Od maja Heinrich Auerbach pracował nad zadaniem, którego efekty miały być widoczne już niebawem. To było zadanie, które, jak planował, miało przynieść mu kolejny awans. I być może przeniesienie z powrotem do centrali.

Tym razem Marianna nie pomagała mu w przygotowaniu części opracowywanej przez niego listy. Przecież sama się na niej znalazła, choć nie była tego świadoma. Od czasu gdy przeszedł z Abwehry do SD, nie chciała się z nim widywać. Ale on i tak sprawował nad nią nadzór, jak za tamtych czasów, gdy jeszcze się nie znali.

Dzień wcześniej zwolniono z zajęć szkolnych wszystkie dzieci w Danzigu, by w ten sposób uczcić przyjacielską wizytę Schlezwiga-Holsteina, pancernika, który czekał już, zacumowany przy nabrzeżu w Neufahrwasser naprzeciwko polskiej strażnicy Westerplatte. Na myśl o tym Heinrich Auerbach nie mógł powstrzymać się od lekkiego uśmiešku, cichego

chichotu zazdrośnika żałującego, że to nie on wymyślił tę bezczelną wymówkę, w którą uwierzyli i mieszkańcy miasta, i mieszkańcy świata.

Wiedział, że Polacy też szykują się do tej wojny, wyprowadzili już do Gdyni kilka swoich statków z portu w Danzig, ale aresztowanie tego ich pilota, który nie chciał wprowadzić Schleswiga-Holsteina z redy do basenu portowego, zasłaniając się międzynarodowym prawem, zapobiegło rozniesieniu się informacji, czym dysponuje pod pokładem szkoleniowy okręt Rzeszy. Incydent, który wydarzył się na redzie portu w Danzig, wprowadził dowództwo Heinricha Auerbacha w niepotrzebną irytację. Choć aresztowanie polskiego pilota i jego kolegów było przecież wyłącznie kwestią najbliższych dni. Bo taki był plan. Heinrich Auerbach przygładził włosy, założył czapkę i wyszedł ze swego gabinetu.

ROZDZIAŁ 8

Tego wieczora Lotte nie pojechała tramwajem linii numer 1, by w ogródku Reichskrone Cafe spotkać się z Hermanem i Emmą Schenck.

Emma wyjechała na kilka dni do kuzynki do Ost Neufähr, skąd do Kalmaru i Sztokholmu z gładkiej tafli morza odlatywały ciężkie wodnopłatownice. Chciała wykorzystać ostatnie dni gorącego lata i wygrzać swoje blade ciało na jasnej nadbałtyckiej plaży, zanim przyjdzie deszczowa, nadmorska zima.

Herman miał ćwiczenia na zboczach Königshöhe, podobnie jak Georg Meier, który w swoim odczyszczonym przez Liselotte mundurze pojechał na strzelnicę Friedricha Wilhelma przy promenadzie, z której widać było panoramę całego Danzig z budynkami dworca u stóp.

Wydawało się, że wszyscy mężczyźni w mieście mieli tego wieczora ćwiczenia, apele i zbiórki. Gdy Lotte zostawiła śpiącą w fotelu matkę i wyszła na spacer, ulicami maszerowały oddziały SA i Hitlerjugend. Chłopcy nieśli flagi, a krok wybijali dobosze z przewieszonymi przez ramię pasami, podtrzymującymi werble i bębny.

Przechodnie zatrzymywali się i wyciągali ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, a okoliczne dzieciaki biegły obok maszerujących, naśladując ich krok i poważne miny.

Na chodniku po przeciwnej stronie ulicy Lotte zauważyła małego chłopca z bębenkiem na szyi, który w krótkich spodenkach na szelkach i białych kolanówkach zsuniętych na chude, wystające kostki, wybijał rytm zgodny z rytmem kroku, maszerujących. Zatrzymała się i patrzyła na

chłopca i jego bębenek, który podskakiwał z każdym ruchem swojego właściciela. Chłopiec zauważył ją i wybijając na bębenku własny krok, przeszedł na drugą stronę Ring Strasse. Stanął przed Lotte i uderzając w bębenek, patrzył jej w twarz natarczywie, nie wypowiadając ani jednego słowa.

– Pięknie grasz – uśmiechnęła się Lotte.

Chłopiec przyspieszył rytm.

– Jak ci na imię? – zapytała. – Ja jestem Lotte.

– Oskar. – Chłopiec uklonił się, nie przerywając. – Oskar z ulicy Labesweg. – Przekrzywił głowę, po czym odwrócił się i pobiegł za maszerującą grupą, która skręcała już w stronę lotniska.

Lotte patrzyła na coraz bardziej oddalającą się postać, której towarzyszył nieprzerwany dźwięk dzieciennego bębenka, po czym skręciła, mijając niskie domy otaczające zwartym szeregiem boisko nowoczesnej, kanciastej szkoły przy Pestalozzistrasse. O pracy w niej marzyła Emma Schenck.

Z otwartych okien domów, które ciągnęły się tutaj całymi przecznicami ulic, jak wymyślił to w swoim projekcie pan Althoff^[8], dobiegały głosy rozmawiających ze sobą ludzi. Mieszały się z muzyką płynącą z radia, nastawionego na gdańską rozgłośnię, radosnymi odgłosami dziecięcej zabawy i szczekaniem psa. Lotte słyszała szczęk sztućców dotykających porcelanowych talerzy i miarowe uderzenia nożem o drewnianą deskę. Ktoś się śmiał, gdzieś trwała kłótnia i słychać było podniesione, ostre głosy. Za jednym z okien matka kołysała w ramionach płaczące dziecko, zaś jej sąsiadka w oknie obok, ułożywszy sobie na parapecie haftowaną poduszkę, wsparta na niej łokciami, zawisała nad ulicą.

Lotte dotarła na Max Halbe Platz. Od gładkiej fasady półokrągłego domu okalającego jedną pierzeję placu odbijało się zachodzące słońce.

Skręciła w prawo w ulicę, na której mieszkał mały doboz, minęła Neues Markt z zielonym skwerem otoczonym szpalerem drzew, które z soczystej zieleni zmieniały barwę w ciepłą żółć zbliżającej się jesieni, i wróciła na Ring Strasse, gdzie w nowoczesnym mieszkaniu z własną łazienką mieszkała teraz z Liselotte i Georgiem.

Gdy zamknęła za sobą drzwi do mieszkania, Liselotte spała tak, jak pozostawiła ją przed wyjściem, w fotelu z wysokim oparciem, okryta lekkim kocem, który zsunął się na podłogę obok jej nieruchomych stóp.

Twarz kobiety poszarzała, choć w Langfuhr było więcej światła niż w zaułku Schusterhof, a powietrze niesione nad łąkami lotniska znad samej zatoki było czystsze i bardziej rześkie niż w Danzig.

Liselotte bała się mieszkania w Langfuhr, z niepokojem słuchała warkotu lądujących niedaleko samolotów, a kiedy ich silniki słyhać było zbyt długo, nieruchomiała i zamykając oczy, oczekiwała, że któraś z maszyn spadnie na dom, w którym mieszkali, w jego ruinach chowając ją, Georga i Lotte.

Tego dnia Georg wyszedł w swoich wypastowanych butach z wysokimi cholewami, zadowolony, gwizdząc pod nosem i powtarzając bez przerwy hasła, które wykrzykiwano w czasie wieców w Sporthalle i na łące pod Hagelsbergiem. Gdy zamknął za sobą drzwi, a w domu zrobiło się cicho, Lotte chciała usiąść u stóp matki, rozpuścić swe jasne włosy i, jak w dzieciństwie, poczuć jej drobne dłonie głaszczące ją po głowie. Miała ochotę opowiedzieć jej o wszystkim, zrzucić z siebie ten ciężar, który teraz uwierał jeszcze mocniej. Była przekonana, że matka zrozumiałaby jej zauroczenie Henrykiem. Wiedziała, że gdyby tylko opowiedziała jej o ich pierwszym spotkaniu, gdy w tamto parne popołudnie weszła do ogrodu ukrytego za wysokim parkanem, który otaczał sopocką willę

Walewiczów, Liselotte udzieliłaby jej rozgrzeszenia, odpuściłaby te winy, które teraz nie dawały jej spokoju.

Lotte przeklinała w myślach tamten dzień. Powietrze było parne, a wokół unosił się dźwięk argentyńskiego tanga, barbarzyńskiego, niepokojąco wyzywającego w swoim urywanym rytmie i powtarzającej się, wibrującej melodii, przywołującego na myśl portowe knajpy Neufahrwasser, a nie elegancką dzielnicę Zoppott, hipnotycznie wciągającego, zakazanego, w niewytłumaczalny sposób pociągającego.

Weszła wtedy żwirową alejką w głąb ogrodu, minęła krzaki herbacianych róż i starając się nie zrobić hałasu, okrążyła dom pokryty pnącym bluszczem, w którym brzęczały osy. Od strony rozciągającego się na tyłach trawnika znajdowała się przeszklona weranda, której szerokie drzwi były otwarte i wychodziły na duży taras.

Dźwięki muzyki dobiegały z wielkiej, muszlowatej tuby patefonu, który ustawiono na ogrodowym stole pośrodku tarasu. Wokół stołu tańczyli nieprzyzwoicie blisko obejmujący się Marianna i młody mężczyzna. Lotte nigdy wcześniej go nie spotkała. Marianna miała na sobie kremową suknię, u góry wyzywająco opinającą jej szczupłe ciało, obszerną na dole. Lekki materiał unosił się i oplatał ciało mężczyzny, zawsze o krok za właścicielką.

Partner Marianny, wysoki i szczupły, zdjął marynarkę i rozpiął pod szyją koszulę, tak że wyglądał, jakby zaraz miał pozbyć się i reszty ubrania. Marianna opierała swe gładkie czoło o jego opalony policzek i przymknąwszy oczy podążała za ruchami jego ciała.

Lotte, skryta za rzędem kwitnących magnolii, patrzyła na tę scenę urzeczona jej ulotną nieprzyzwoitością, gotowa w każdej chwili uciec.

Nie mogła jednak ruszyć się z miejsca, otumaniona widokiem, zapachem kwiatów i muzyką płynącą z patefonu.

I stałaby tam zapewne do wieczora, podglądając tę wirującą wokół stołu, unoszącą się w skupionych, oszczędnych ruchach nad posadzką tarasu parę, gdyby igła patefonu nagle nie podskoczyła na obracającej się, ebonitowej płycie, a w świergot ptaków nie wdarł się jej trzask.

Magia chwili umknęła. Muzyka umilkła. Mężczyzna podszedł do stołu, pochylił się nad patefonem i mówiąc coś po polsku, zatrzymał płytę. Marianna opadła na wiklinowy fotel i otarła czoło chusteczką. Na taras weszła pokojówka Ewa, niosąc srebrną tacę z kryształowym dzbankiem wypełnionym lemoniadą. Lotte wycofała się cicho i wróciła przed fronton willi. Stała przed wejściem i przycisnęła dzwonek. Po chwili drzwi otworzyły się i Lotte ujrzała Ewę w tym samym czarnym uniformie z białym fartuszkim, który nosiła.

– O, panna Lotte! Dzień dobry! – ucieszyła się pokojówka. – Panna Marianna niepokoiła się już o panią.

– Dzień dobry, Ewo. – Lotte weszła do środka i oddała Ewie mały neseser, z którym przyjechała do Zoppott.

Pokojówka zaprowadziła ją na werandę.

– Jesteś wreszcie, moja Lotte! – Marianna podbiegła do niej i swoim zwyczajem ucałowała w oba policzki. – Już bałam się, że coś ci się przytrafiło, bo miałaś być przed godziną.

Marianna szybko wyrzucała z siebie słowa, jeszcze zarumieniona i zgrzana od tańca. Nie słuchała tłumaczeń Lotte, tylko pociągnęła ją za rękę na taras i popchnęła lekko w stronę mężczyzny, który na widok Lotte wstał z ogrodowego krzesła. Był młody, wysoki i smukły. Miał drobne, ale męskie rysy. Lotte pomyślała wtedy, że o takim wyglądzie mówi się szlachetny.

– Lotte, pozwól. To jest Henryk Malicki, mój przyjaciel z Warszawy – powiedziała Marianna.

– Henryk Malicki. Miło mi. – Mężczyzna stuknął obcasami, jak salutujący żołnierz, i pocałował Lotte w rękę.

– Henryk będzie nam towarzyszył w czasie tygodnia sportu. Opisz w polskiej prasie, jakie tu mamy atrakcje w Zoppott. Żeby więcej Polaków przyjeżdżało zostawić w kasie mojego papy trochę gdańskich guldenów. – Śmiech Marianny był bardziej serdeczny niż w czasie oficjalnych spotkań w Danzig.

– Pamiętaj, Marianno, że pod bokiem rośnie wam Gdynia. – Henryk Malicki mówił po niemiecku z lekkim zaśpiewem, który sprawiał, że wypowiedane przez niego słowa były bardziej miękkie niż te artykułowane przez Lotte i Mariannę.

– Nigdy nie będzie, jak Wolne Miasto, stare i piękne. – Marianna machnęła ręką i podała Lotte szklanekę lemoniady. – A co ty sądzisz o Gdingen, moja droga?

– Słyszałam, że Gdingen to ciasne i brzydkie miasto – odparła Lotte sztywno. – Tak czytałam.

– Widzę, że jest pani typową ofiarą tej waszej niemieckiej propagandy. – Henryk wydał śmiesznie policzki.

– Uważaj, Lotte. Henryk jest gorącym patriotą. – Znowu zaśmiała się Marianna. – Nie wolno przy nim wypowiadać krytycznych opinii na temat Polski.

– Nie zapominaj, że ty też jesteś Polką – powiedział Henryk i zwrócił się do Lotte. – Przekonam panią, że jej zdanie jest fałszywe.

Zapraszam na wycieczkę do Gdyni. Co wy na to? – Wydawał się ucieszony własnym pomysłem.

– Wspaniale! – Marianna klasnęła w dłonie. – Jutro z samego rana weźmiemy mój samochód i pojedziemy do Gdyni!

Czerwony horch Marianny był widoczny na każdej, nawet najbardziej zatłoczonej ulicy. Masywna sylwetka limuzyny pomalowanej na wyzywający kolor budziła zainteresowanie nawet na Breitgasse, gdzie Marianna parkowała go zwykle przed kamienicą, w której mieszkali Walewicze.

Niemieccy strażnicy w budce na przejściu granicznym kilkakrotnie obeszlili samochód, przyglądając się podejrzliwie jego gdańskim numerom. Długo porównywali też zdjęcia w paszportach z twarzami siedzących w środku pasażerów. W końcu oddali dokumenty, szlaban pomalowany w biało-czerwone pasy z zawieszoną tabliczką z herbem Wolnego Miasta uniósł się i horch znalazł się po stronie polskiej.

Tu celnicy byli równie podejrzliwi. Jednak kiedy Marianna i Henryk odezwali się do nich po polsku, zasalutowali, oddając dokumenty. Lotte rozumiała trochę, gdy w Danzig rozmawiali ze sobą Polacy, ale strażnicy na przejściu granicznym mieszały polski i kaszubski, więc nie rozumiała nic z szeleszczących słów, które wyrzucali z siebie z dużą prędkością. Wcisnęła się w oparcie kanapy na tylnym siedzeniu i czekała aż Marianna ruszy.

Nie była przygotowana na to, co zobaczyła w Gdingen, w Gdyni, jak cały dzień poprawiali ją Marianna i Henryk. Dotąd nigdy nie była w Polsce, nie była nawet poza granicą Wolnego Miasta, bo zawsze uważała, że to, czego potrzebowała, znajdowało się w jego obrębie. To, co było poza nim, było obce, nieznanne, trochę przerażające, i wcześniej nigdy nie myślała, by przekroczyć tę barierę własnych obaw i przesądów, choć nawet nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia.

Teraz miała przed sobą nowe, pokryte białymi tynkami nowoczesne budynki z wielkimi oknami, szerokie, czyste ulice, wzdłuż których było jeszcze wiele wolnych placów, czekających na swe przeznaczenie. Na linii

horyzontu rysowały się zarysy portowych dźwigów, które zamykały perspektywę miasta, pachnącego nowością.

Marianna skręciła i samochód wjechał na promenadę. Jej koniec ginął w morzu.

– Widzi pani, panno Lotte? – śmiał się Henryk Malicki. – To właśnie jest to pani ciasne, brzydkie miasto.

Poczuła się wtedy zawstydzona i nie odpowiedziała na słowa Henryka, który patrzył na nią w lusterku przytwierdzonym do przedniej szyby samochodu. Czuła to spojrzenie, ich oczy spotkały się nawet na krótką chwilę, ułamek znaczącej sekundy, ale Lotte szybko odwróciła wzrok, speszona zuchwałym zachowaniem mężczyzny, którego ledwie dzień wcześniej poznała.

Minęli restaurację Casino i kino Morskie Oko. Marianna zaparkowała samochód przed zastawionym szczelnie stolikami tarasem kawiarni Bodega.

Lotte czuła na wargach słony smak morskiego powietrza, włosy rozwiewał jej wiatr, który wpadał tędy do samego centrum miasta, nie zatrzymywany po drodze, jak było to w Danzig, gdzie kamienice tłoczyły się, wpychając jedna na drugą. Na redzie stało kilka statków, których sylwetki Lotte dostrzegła, mrużąc oczy i przykładając dłoń do rozgrzanego czoła. Marianna nosiła ciemne okulary, co w tym mieście, w którym większość budynków pokrywały jasne elewacje odbijające promienie słońca, wydało się Lotte bardzo praktycznym rozwiązaniem.

Lotte nigdy nie lubiła ujawniać emocji. Już w tamtych czasach ćwiczyła opanowanie i spokojny chłód, który doskonaliła tylko po rozstaniu z Marianną. Ale wtedy, stojąc na skwerze koło tarasu polskiej kawiarni w Gdyni, miała ochotę cieszyć się jak dziecko, które znalazło się w

gigantycznej piaskownicy, oferującej nieskończoną ilość beztrudnej radości.

Tak bardzo pragnęła poczuć między palcami morski piasek i podbiec do migotliwej linii, która wyznaczała spotkanie lądu z wodą, tak bardzo chciała to zrobić, że trudno było ustać jej w miejscu, zachowując spokój, choć zdawała sobie sprawę, że jest tu tylko służbowo, jako asystentka wykonująca obowiązki wymyślone przez swoją pracodawczynię.

I właśnie wtedy, w tym momencie, gdy obowiązek walczył z prostą radością, zdarzyło się coś, co zmieniło całe późniejsze życie Lotte Meier, dziewczyny z Langfuhr, która w rzeczywistości pozostała ciągle tamtą zahukaną dziewczynką z zaułka Schusterhof. Poczula mocny uścisk dłoni Henryka, który bez ostrzeżenia złapał ją za rękę i pociągnął w stronę brzegu. Biegli w stronę morza, przeciskając się między rozstępującymi się ze śmiechem plażowiczami, którzy wykrzykiwali do niego po polsku.

– Zdejmuj buty! – jego głos brzmiał jak komenda.

– Co? – Lotte z trudem łapała oddech.

– Zdejmuj! – powtórzył, skacząc na jednej nodze i próbując rozsznurowywać letni but z cienkiej, cielejącej skóry. Kiedy go zrzucił, zdjął szybko skarpetkę, po czym powtórzył to samo z drugą nogą, podwinął nogawki i wszedł po kostki do wody. – No, czemu jeszcze nie zdjęłaś? – ponaglił ją, wyciągając rękę w jej stronę.

Lotte zaczęła się śmiać. Zsunęła z nóg letnie pantofle i trzymając je w jednej ręce, uniosła lekko dół sukienki. Nie bacząc na mokre pończochy weszła do morza. Poczula, jak chłodna woda obmywa jej stopy. Z zadowolenia przymknęła oczy. Henryk złapał ją za rękę i śmiejąc się, jak para nastolatków, którzy uciekli z nudnych zajęć, podskakiwali, uciekając przed miarowo napływającymi falami. Wtedy Lotte pomyślała, że nic na świecie nie ma znaczenia, istnieje tylko ta chwila, ten jeden przeświecony

słońcem odbijającym się od tafli morza moment, a to, co po nim nastąpi, może być nawet końcem wszystkich końców, bo wiedziała, że nic innego nie jest istotne. Patrzyła na Henryka, czuła wodę opływającą jej kostki i mocniej ścisnęła jego suchą, ciepłą dłoń.

Nie wiedziała już, czy tamta chwila była rzeczywista, czy tylko wykreowała ją jej własna wyobraźnia, kryjąca w swoich zakamarkach potrzebę taniego romansu, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Przypominając sobie morską wodę opływającą jej stopy przez cieliste pończochy, których na tej zatłoczonej, pełnej polskich turystów plaży nie zdjęła, przypominając sobie wzrok Henryka, którym dotykał jej niemal fizycznie, co przyprawiało ją o dreszcze, przypominając sobie własny, dziecinnie szczery śmiech, Lotte zastanawiała się teraz, czy ten moment był autentyczny, czy, jak wszystko inne, co wiązało się z Henrykiem, był tylko jego celową manipulacją, która ją, naiwną niemiecką dziewczynę miała wplątać w tę jego patriotyczną grę. Pragnęła wierzyć, że to, co mówił jej Henryk, było prawdą, ale kiedy nadchodził moment bolesnego otrzeźwienia, mówiła sobie, że nie powinna ulegać więcej własnym uczuciom, bo nie wyniknie z tego nic dobrego. Uczucia nie tylko wprowadzały chaos w jej wnętrze, ale burzyły wszystko to, co określało ją z zewnątrz.

– No, to się zabawiliście! – rzuciła Marianna, gdy wrócili na promenadę i włożywszy wcześniej buty, weszli na taras kawiarni Bodega, gdzie Marianna zajęła stolik pod dużym parasolem i obserwowała ich zza swoich słonecznych okularów.

– Czy zmieniłaś zdanie, Lotte? – zapytał Henryk, siadając koło niej. – Czy nadal uważasz, że to paskudne miejsce?

– Zapewne ci, co pisali o Gdingen, nigdy tu nie byli. Tak jak ja. – Lotte uznała, że to wymijająca odpowiedź.

– Lotte, to miasto powstało z marzeń. Czy wy, Niemcy, macie marzenia? – Henryk pochylił się w jej stronę. – Czy ty, Lotte, masz marzenia?

Znowu poczuła się zmieszana. Spuściła głowę i milczała, choć chciała powiedzieć, że Henryk się myli, że źle ocenia ją i wszystkich Niemców.

– Daj spokój, Henryku. – Marianna postanowiła rozładować napięcie, które zawisło nad kawiarnianym stolikiem.

– Nie, odpowiem – powiedziała stanowczo Lotte. – Źle pan ocenia i mnie, i moich rodaków. Zawsze mieliśmy marzenia i dlatego do tyłu osiągnąć doszliśmy.

– Lotte, słuchasz przemówień Hitlera?

– Henryk! – zdenerwowała się Marianna. – Lotte nie zajmuje się polityką. Skończ z tym!

– Ale ja tylko chciałbym wiedzieć, co panna Lotte myśli o Hitlerze.

– Wzruszył ramionami Henryk. – No, Lotte? Odpowiesz mi?

– On przywraca nam godność – wyrzuciła z siebie. – Zmniejszył bezrobocie. Życie Niemców znacznie się poprawiło po kryzysie sprzed kilku lat. To chyba najważniejsze dla takiego zwykłego człowieka jak ja, prawda?

– Lotte, przekonała się pani, przyjeżdżając tutaj, do Gdyni, że wasze gazety, powiedzmy oględnie, mijają się z prawdą. Skoro oszukują swoich czytelników, pisząc o Gdyni, to dlaczego nie miałyby oszukiwać, pisząc o innych sprawach?

– Henryk, daj spokój! – powtórzyła Marianna. – Lotte nie jest nazistką, jeśli o to ci chodzi. Poza tym mieszkamy w Wolnym Mieście, a nie w Rzeszy.

– Może Lotte chciałaby, żeby Gdańsk wrócił do Rzeszy? – Henryk zmrużył oczy, patrząc na Lotte wyzywająco. – No, dobrze, dobrze! Już

więcej nie będę! Obiecuję! – Roześmiał się i umilkł.

Tego dnia Lotte przekonała się, że to, co jej zdaniem, było prawdą, niekoniecznie musiało nią być, że to, co się wydaje, niekoniecznie musi być tym, czym rzeczywiście jest, a to, co opisywały czytane przez nią gazety, nie musiało być zgodne z rzeczywistością, i że tuż za granicą jej świata istniała rzeczywistość, której wcześniej nie mogła się nawet spodziewać. To, co obce, okazało się zadziwiające, i Lotte przez pewien czas pozostała w tym nieoczekiwanym zdumieniu.

W Danzig Polacy stanowili zdecydowaną mniejszość. Dzięki pracy u Marianny miała okazję poznać o wiele więcej miejscowych Polaków niż inni mieszkańcy miasta, którzy żyli zamknięci w kręgu własnej nacji, z daleka obserwując to, co obce, choć w Danzig ludzie różnych narodowości istnieli obok siebie od wieków. Ta pozorna w istocie integracja nie odbierała im jednak poczucia przynależności do tego miejsca, które dla wszystkich było wspólnym domem.

Wtedy, latem trzydziestego trzeciego, w mieście nie było jeszcze wykluczenia, izolacji, systematycznie pruskiego podziału na lepszych i gorszych. Choć tak, jak w domu Lotte, w którym o wyborach politycznych rodziny decydował Georg Meier, idee podziału ze względu na rasę kielkowały przy wieczornych spotkaniach przy skacie i kwitły w czasie porannych rozmów przy kawie.

Pani Konopke z Schidlitz tłumaczyła sąsiadkom, co miał na myśli Führer, gdy mówił o Lebensraum. Pan Schramm, nauczyciel gimnastyki z Zoppott, prowadził ćwiczenia z grupą szesnastolatków z Hitlerjugend.

Pani Malke z Schüsseldamm z dumą pokazywała zdjęcia męża Sigmunda, które zrobiono na samym norymberskim zjeździe partii jesienią poprzedniego roku, gdy Sigmund trzymał płonąca pochodnię oświetlającą

łopoczące flagi, które, jak wielki dywan, mówiła z przejęciem pani Malke, rozpościerały się u stóp samego pana Hitlera.

A na Ring Strasse, w mieszkaniu, do którego rodzina Meier przeprowadziła się zaledwie kilka tygodni wcześniej, Liselotte czyściła mundur Georga, zawsze gdy zbliżały się partyjne wiece.

W domu Lotte rzadko opowiadała o tym, co robiła u Walewiczów.

Ojciec nie chciał tego słuchać, krzyżąc, ilekroć Lotte wypowiedziała imię Marianny lub jej ojca w jego obecności. Liselotte, gdy drzwi za Georgiem zamykały się z głośnym trzaskiem, mówiła córce, by nie przejmowała się jego humorami, bo w gruncie rzeczy on przecież nie ma nic przeciwko ludziom, których nawet nie zna. A Lotte stawiała się prawdziwą damą, mówiła Liselotte, więc ta praca przynosiła jej nie tylko pieniądze, choć ważne było i to, że z końcem każdego tygodnia kładła je na kuchennym stole.

Lotte nigdy nie opowiedziała matce o wyprawie do Gdingen.

I nigdy nie powiedziała jej o Henryku, choć od tamtego dnia, gdy trzymając się za ręce, stali na gdyńskiej plaży, Henryk rzadko odstępował Lotte i to raczej Marianna pełniła rolę przyzwoitki, choć to Lotte była jej asystentką. I mimo iż nie zaprzestał denerwującego zwyczaju droczenia się z Lotte o narodowe wartości i otwarcie wyśmiewał przemówienia Führera, Lotte powoli przyzwyczajała się do jego uwag, zwłaszcza że Marianna powtarzała, iż Henryk zawsze lubił zachowywać się prowokująco, bo to jego zdaniem czyniło dyskusję bardziej interesującą, a on nie znosił poprawnej nudy.

W Zoppott wspólnie oklaskiwali młodą gwiazdkę z Berlina Hildę Gebühr, która na deskach miejscowej opery wystąpiła w lekkiej komedii, podziwiali gimnastyczki z Katowic, które przyjechały nad morze specjalnie po to, by zaprezentować się spragnionym rozrywki kuracjuszom, i wspólnie

słuchali koncertów orkiestry uzdrowskiej, która każdego wieczora o dwudziestej rozpoczynała koncert na scenie teatralnej przy moło. Bawili się tak dobrze, że Lotte niemal zapomniała, że jest tylko asystentką Marianny, zatrudnioną tak, jak pokojówka Ewa, choć w willi przy Rickertstrasse Lotte miała nawet własny pokój.

Tamtego lata spędzali ze sobą wiele czasu. Marianna znikła czasem na kilka godzin, nie mówiąc nikomu, gdzie idzie. Zostawiała czerwonego horcha na podjeździe przed domem i szybko wsiadała do anonimowej taksówki. Lotte, rozmarzona obecnością Henryka, wymyślała romantyczne koncepcje zakazanej miłości, którą zapewne musiała przeżywać Marianna ukryta za firanką obserwowała ją, gdy biegła na tajemną schadzkę, której przebieg wyobrażała sobie Lotte.

Czasem znikał też Henryk, ale on zawsze miał dla swojej nieobecności wytłumaczenie. Wiedziała, że jest dziennikarzem, musiał więc pracować i przesyłać artykuły do Warszawy. Kilka razy widziała go na tarasie hotelu Hortensja przy Seestrasse, ale wtedy, niczego jeszcze nie podejrzewając, uznała, że to spotkania związane z jego pracą.

ROZDZIAŁ 9

O tym, kim naprawdę był Henryk Malicki, Lotte dowiedziała się jesienią. Zadurzona po uszy, oczarowana jego szarmanckim sposobem bycia, uwodzicielskim spojrzeniem, prezentami, którymi bezustannie ją obdarowywał, kwiatami, które posłańcy przynosili na Ring Strasse, nie potrafiła oprzeć się jego urokowi. Miała wrażenie, że świat stał się bardziej nasycony barwami i zapachami, a wszystko wokół zastygło w oczekiwaniu na to, czego spodziewała się sama Lotte, która po raz pierwszy w życiu naprawdę czuła się kobietą.

Pożądaną, zmysłową kobietą, która była w stanie poruszyć serce tego nieokiełznanego, polskiego dziennikarza, mężczyzny o duszy wiecznego chłopca. Może nie tak piękną i zmysłową, jak Marianna, ale nie nosiła już w sobie poczucia niedoskonałości. Nie porównywała się do Marianny, z założenia przyjmując swoją odmienność, bo słowo niższość takie poczucie zapewne by wprowadziło, wobec jej arystokratycznej postawy, dumnie uniesionej głowy i tej niezbywalnej pewności siebie, która sprawiała, że nim Marianna wypowiedziała jakiegokolwiek zdanie, wszyscy byli przekonani, że ma rację.

Lotte cieszyła się, że Henryk Malicki spośród wszystkich kobiet, które go otaczały, wybrał właśnie ją, Lotte Meier. I chociaż dzieliło ich tak wiele, nagle przestała dostrzegać to, co mogło stać na przeszkodzie jej związkowi z Henrykiem. Wokół dyskutowano o przemianach w Rzeszy, a w czasie kwietniowych wyborów do gdańskiego Volkstagu na szklanych witrynach sklepów zaczęły pojawiać się nabazgrane białą farbą napisy „Jude”. Ale tak

jak wiosną nikt nie zwracał na nie uwagi, przechodząc obojętnie koło sklepu radiotechnicznego pana Grinspuna na Töpfergasse czy sklepu odzieżowego Luisa Israelskiego na rogu Junkergasse. Lotte także nie patrzyła na nagłówki gazet, gdy szła koło Cafe Lucas, ani na witryny sklepowe, kiedy obok hotelu Eden przebiegała na drugą stronę ulicy. Myślała tylko o pociągu wtaczającym się właśnie na peron gdańskiego dworca, tu, gdzie jeszcze kilka dekad wcześniej uderzane poranną bryzą marszczyły się wody otaczających miasto fos. Wskazówki na zegarze dworcowej wieży pokazywały południe. Cień skrzydlatego symbolu Deutsche Reichsbahn, który umieszczono na zwieńczeniu szczytu dwuspadowego dachu głównego budynku dworca, przesuwiał się powoli po czerwonych dachówkach sąsiedniej budowli.

Lotte weszła do sali kasowej i w chwilę później była na dworcowym peronie. Pociąg z Warschau stał już na stacji. Wokół kręcili się bagażowi, którzy pchali wózki zapakowane walizami i torbami podróżnymi. Ludzie witali się, obejmując i ściskając sobie ręce. Dama z twarzą przysłoniętą woalką, trzymając na rękach drżącego ze strachu i zimna pieska wielkości pluszowej zabawki, wskazywała bagaże, które mężczyzna w dworcowym uniformie ładował na swój wózek. Dwóch policjantów przechadzało się spokojnie wśród tego zgiełku. Zatrzymali się dopiero i wyprężyli umundurowane ciała, gdy z pociągu wysiadł oficer Wehrmachtu, za którym podążał mały, chudy adiutant.

Stanąła koło stalowego filara, na którym wspierał się przykrywający peron dach, i wzrokiem szukała Henryka. Zobaczyła go, gdy wysiadał z ostatniego wagonu, w brązowym garniturze, z płaszczem przewieszonym przez ramię. W dłoni trzymał neseser, który był jego jedynym bagażem. Zobaczył ją, stojąc jeszcze na stopniach wagonu. Na jego twarzy pojawił

się szeroki uśmiech. Zeskoczył szybko na peron i podbiegł do niej, trzymając w dłoni kapelusz.

– Cudownie znowu cię zobaczyć, Lotte – powiedział, gdy stanęli naprzeciw siebie.

Lotte wyciągnęła w jego stronę dłoń, którą on ucałował. Długo, zbyt długo, ale przechodzący obok, potrącający się wzajemnie podróżni wcale nie zwracali na nich uwagi.

Henryk zatrzymał się niedaleko dworca w hotelu Danziger Hof. Wzięli taksówkę i w kilka minut byli na miejscu. Najpierw zjedli obiad w hotelowej restauracji. Przez szklany dach sączyło się łagodne, jesienne światło. Wśród nakrytych białymi, krochmalonymi obrusami stołów ustawiono kwadratowe donice z pióropuszcami palm odbijających się w wielkich lustrach. Wokół słychać było szum cichych rozmów przetykany uderzeniami srebrnych sztućców o porcelanową zastawę.

Lotte z trudem mogła przełknąć to, co poruszający się bezszelestnie ober postawił na stole przed nią. Czuła pulsujące napięcie w skroniach, a mokre dłonie ślizgały się po srebrnym trzonku widelca, który z głośnym brzękiem zsunął się na podłogę. Młodszy kelner natychmiast podbiegł i podał jej nowe sztućce. Podziękowała skinieniem głowy, choć wcale nie miała zamiaru ich więcej używać. Nie była w stanie nic przełknąć.

Po obiedzie bez słowa poszli do pokoju, który zajął Henryk. I stało się to, o czym Lotte myślała od tygodni, czego bała się i pragnęła jednocześnie. Teraz smakowała ten zakazany owoc zawzięcie, początkowo z lekkim zawstydzeniem, udając zażenowany opór, by w końcu oddać się całą sobą, aż do tej niewidzialnej granicy, za którą jest całkowite zapomnienie.

Na hotelowym korytarzu pozostawiwszy to, co mówił w mieszkaniu na Ring Strasse Georg Meier, postanowiła bez wahania złamać wszystkie krążące wokół tabu. Liczyła się tylko ta jedna chwila, tak jak liczył się

tylko moment na gdyńskiej plaży. Była tu i teraz, w jedwabnej, obręzionej delikatną koronką pościeli, która pachniała ciałem Henryka. Nie chciała myśleć o tym, co stanie się, kiedy wyjdzie z hotelowego pokoju. Nie chciała myśleć o tym wszystkim, co działo się za zasłoniętym kotarą oknem, z którego rozciągał się widok na Karenwall i konny pomnik cesarza Wilhelma. W tym jednym momencie miała wrażenie, że są niczym Adam i Ewa, jedyni stworzeni przez Boga ludzie, którzy niewinni w ogrodach Edenu żyją po to, by przez wieczność kosztować swoje szczęście. Ale Adama i Ewę Bóg z raju wypędził, a ludziom zwykle dozował szczęście w zazdrośnie małych porcjach, jakby w obawie, że bez codziennego cierpienia, bez odpowiedniej dawki bólu zapomną o jego miłosiernej istocie.

Tego popołudnia z trudem wracała do rzeczywistości, przeciągając się leniwie jak wyrwany ze snu kot, i z łóżka obserwowała chodzącego po pokoju Henryka, który w milczeniu wkładał na siebie ubranie. Kiedy zapiął ostatni guzik białej koszuli, usiadł obok niej i całując, zapytał, kiedy zobaczy się z Marianną.

– Marianna! Marianna! – Lotte udała zniecierpliwienie. – Miałam nadzieję, że nie pojawi się w tym pokoju.

Henryk spoważniał i odwrócił się do niej plecami.

– Jest coś, czego zapewne nie wiesz o Mariannie – powiedział głucho.

Lotte uniosła się na łokciu.

– Pracuję dla niej. Znam jej sekrety i myślę, że nie ma nic takiego – powiedziała z przekonaniem.

– Marianna współpracuje z niemieckim wywiadem. – Słowa Henryka odbiły się zwielokrotnionym echem od obitych wzorzystymi tapetami ścian pokoju.

– Co?! – Usiadła na łóżku. – Nie, to absurd. – Zaczęła się śmiać. – Skąd o tym wiesz? To niedorzeczność! Bzdura! Kto ci to powiedział?

– Wiesz, co to jest Abwehra? Słyszałaś o Wilhelmie Canarisie?

A o zapędach Hitlera na wschód? – Henryk odwrócił się i wpatrywał się w jej twarz z taką intensywnością, że przestała się śmiać. – Marianna wróciła do Gdańska, żeby inwigilować gdańską polonię. Rozpoczęła współpracę jeszcze w Berlinie. Prowadzi ją oficer Abwehry, Heinrich Auerbach. Słyszałaś o nim?

Henryk wstał, podszedł do zawieszanej na oparciu krzesła marynarki, wyjął z kieszeni papierosa i zapalił. Lotte patrzyła, jak delikatnym dmuchnięciem gasi nikły płomień zapałki. Ogrody Edenu umknęły, przed nią zamiast Adama stał obcy człowiek.

– Nie rozumiem. – Opadła na jedwabną poduszkę. – A ty? Skąd o tym wiesz? Może ktoś to wymyślił, a ty w to wierzysz. Może to twoja dziennikarska wyobraźnia?

Henryk popatrzył na nią przeciągle, podszedł do łóżka i pocałował w czoło.

– Moja mała Lotte, ty naprawdę jesteś dziecięco naiwna. – Usiadł na obitym pasiastym adamaszkiem krześle i przyglądał się jej poważnie, paląc powoli papierosa. – W tym hotelu piętnaście lat temu odbyło się tajne spotkanie gdańskiej polonii. Przewodniczył mu Ignacy Paderewski.

Słyszałaś kiedyś o nim? – Lotte potrząsnęła przecząco głową. – Wielki pianista, poeta, król fortepianu. Polski pianista. – Dodał z naciskiem Henryk. – I polityk. Był polskim premierem. Krótko, ale był.

A wcześniej był tutaj, w hotelu Danziger Hof. Na spotkaniu, w czasie którego proklamowano powstanie niepodległej Polski. Z Paderewskim jako prezydentem. Na tym spotkaniu planowano też przyłączenie Gdańska do Polski.

Lotte zerwała się nagle spod jedwabnej kołdry. Odrzuciła ją w bezładnym splątaniu, pozbawionym już tego, co jeszcze niedawno wydawało się łączyć ją z Henrykiem.

– O, nie. Powinam była wiedzieć, że tutaj w Danzig Polak z Polski to tylko kłopoty. – Zaczęła nerwowo wkładać spódnice, przypinała podwiązki i usiłowała zapiąć guziki bluzki. – Ja się do polityki nie mieszam. Ale Danzig jest niemiecki i jeśli gdzieś powinien wrócić, to tylko do Rzeszy. Rozumiesz? Ja wiem, że wy chcielibyście się tutaj dostać, położyć swoją łapę na naszym mieście. O, polityką się nie interesuję, ale teraz widzę, że Führer ma rację.

– Lotte, uspokój się! – Henryk podszedł do niej, ujął jej dłonie w swoje i powtórzył. – Uspokój się, proszę cię! – Posadził ją na krześle obitym ciemnym adamaszkiem, zapalił jeszcze jednego papierosa i usiadł na krawędzi łóżka. – Czy ja powiedziałem, że Gdańsk powinien być polski? Ja tylko opowiadam ci, co wydarzyło się tutaj, w hotelu Danziger Hof. Nie chcesz posłuchać zakończenia?

Lotte nie odpowiedziała, ale nie zrobiła też żadnego ruchu, więc Henryk uznał, że może podjąć swoją opowieść.

– W tym spotkaniu brał udział również Marian Walewicz, ojciec Marianny, który, jak wiesz, nie kryje się z tym, że jest gdańskim Polakiem. Marian Walewicz miał nadzieję, że Gdańsk będzie polski, tak jak było to półtora wieku temu, zanim Fryderyk Wilhelm II, dziad Wilhelma I, którego pomnik możesz podziwiać przez to okno – Henryk wstał, podszedł do okna i odsunął ciemną kotarę z połyskliwego pluszu, a do pokoju wpadło popołudniowe słońce – nie dokonał rozbioru Polski do spółki z Rosją i nie zabrał sobie Gdańska.

Lotte nie patrzyła na niego. Znowu czuła pulsowanie w skroniach, ale tym razem to nie on, czy może raczej wyobrażenie Lotte o nim, to, jak

chciała go widzieć, i jak on starał się, by go postrzegła, a jego słowa, te prawdziwe, wypowiedane bez uwodzicielskiego uroku, którym epatował ją dotąd, wywoływały jej wzburzenie.

– Ale stało się inaczej. Gdańsk został Wolnym Miastem i od trzynastu lat trwa przepychanka, czy większe prawo mają do niego Polacy, czy Niemcy – ciągnął Henryk. – Ale ta przepychanka to nie tylko pokrzykiwania Führera z mównicy. To również działania. Realne działania, Lotte. Działania, które mają doprowadzić do tego, że Gdańsk znajdzie się w Rzeszy. Między innymi to kontrola tego, co dzieje się w gdańskiej polonii. Inwigilacja i donoszenie.

– Nie, nie wierzę w to, co mówisz! – Lotte sięgnęła po żakiet. – Dlaczego Marianna miałaby robić takie rzeczy?! I kim ty jesteś, żeby ją o to oskarżać?! – wzburzona zapinała guziki, tak drobne, że wyslizgiwały się z jej drżących palców. – Myślisz, że możesz tak sobie po prostu oskarżyć ją o donoszenie na własnych przyjaciół, na ojca?

Zresztą, oni nie robią nic, co mogłoby interesować policję czy kogokolwiek innego! Chodzę z nią na te wszystkie spotkania i wiem, co się tam dzieje. Nie spiskują, jak ten twój... pianista. Zresztą, po co Marianna miałaby to robić?! Nie! To niemożliwe. – Lotte skierowała się do wyjścia.

– Poczekaj, Lotte! – Henryk zastąpił jej drogę i ujął ramiona w swoje dłonie. – Nie kłamie. Po co miałbym kłamać? Po co miałbym cię oszukiwać po tym, co właśnie między nami zaszło? I wiem o tym na pewno. – Patrzył jej prosto w oczy.

– Nie wiem, po co w ogóle mi o tym mówisz. – Lotte wyswobodziła się z jego uścisku. – Ale właśnie dlatego, że między nami zaszło to, co zaszło, nie chcę tego słuchać. I nie chcę cię już widywać, Henryku. Zostaw mnie w spokoju. – Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Idąc w stronę schodów, myślała, że Henryk wybiegnie za nią, będzie prosił, by wróciła, tłumaczył, że to był żart, pomyłka, usłyszał coś od kogoś i chciał sprawdzić, czy Lotte wie coś na ten temat. Żeby wytłumaczyć, że to nieprawda, że ktoś się pomylił, że tak rodzą się plotki, fałszywe oskarżenia. Ale nic takiego nie nastąpiło. Henryk nie wybiegł za nią z pokoju, nie próbował zawrócić jej z hotelowego korytarza, nie przeproszał, nie tłumaczył. W ogóle go nie było.

Schodząc po marmurowych schodach, których cienkie żyłki nerwowo znaczące jasną powierzchnię kamienia przykryto czerwonym chodnikiem tak grubym, że obcasy pantofli Lotte zapadały się w miękką wełnę, czuła, jak łzy powoli zaczynają gromadzić się najpierw pod powiekami, by w chwilę potem spłynąć cienką, wąską strużką po policzkach, kapiąc na czubki bezszelestnie stawianych na grubym dywanie butów.

By nie rozszlochać się w pełnym ludzi hallu koło recepcji, gdzie jej zwielokrotniona postać odbijała się w kryształowych lustrach, którymi wyłożono ściany, wybiegła, ignorując lokaja w hotelowej liberii, gdy ten pospieszył, by otworzyć przed nią drzwi.

A potem biegła, biegła przed siebie, płacząc i roztrącając przechodniów na Kohlenmarkt. Czuła się jak bohaterka tanich romansów, papierowych śmieci, przed którymi przestrzegała ją czytająca Goethego i Manna Marianna, tych wszystkich opowiadań dla podkuchennych i służących, które wzruszały się scenami przypominającymi tę, w której Lotte była właśnie główną bohaterką.

Zresztą sama czuła się teraz jak służąca, głupia pomocnica kucharki, spragniona blichtru świata, który wykorzystał jej naiwny zachwyt nad sobą i próbował go obrócić przeciwko niej.

Przebiegła pasaż handlowy. Nie myślała o tym, gdzie zmierza. Chciała być tylko jak najdalej od hotelowego pokoju, w którym pozostał Henryk.

Bezwiednie skręciła w wąski przesmyk między niskimi kamienicami o łuszczących się ścianach a zimnym murem Marienkirche i tędy dotarła na tonącą już w półmroku Frauengasse.

Tutaj, w połowie drogi między gotycko wyniosłą ścianą katedry, gładką taflą czerwonych cegieł przeciętym ostrołukowym oknem zazdrośnie strzegącym sacrum jej wnętrza, a nieporadną bramą zamykającą ulicę od strony Motlau, zatrzymała się w końcu, obudzona z nieoczekiwanego koszmaru, który ogłuszył ją i sprawił, że oparłszy się o kamienną kulę przedproża, rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem, zaskoczona miejscem, w którym przyszło się jej przebudzić.

Ulica była cicha, choć kręciło się tutaj sporo przechodniów. Obok przejechał samochód, trąbiąc, by nie ruszyła pod jego koła. Zimno kamiennej kuli przenikające przez wełnę szarej spódnicy sprawiło, że uspokajała się powoli. Podszedł do niej nawet jakiś starszy mężczyzna, który zaniepokoił się znieruchomiałą na tle ulicznego przedproża postacią, i uchyliwszy kapelusza z szerokim rondem, zapytał, czy nie potrzebuje pomocy. Podziękowała cicho, by za chwilę ruszyć w stronę Motlau, słuchając ciężkiego stukotu własnych obcasów.

ROZDZIAŁ 10

Tego sierpniowego poranka tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku obcasy pantofli Lotte stukały o bruk Frauengasse tak samo, jak tamtego popołudnia, gdy spotkała się z Henrykiem na peronie Dworca Głównego. Teraz ulica była pusta. Minęła tylko starszą kobietę, która opierając się o laskę z ozdobnie rzeźbioną rączką, szła wolno na poranną mszę w stronę Marienkirche.

Słońce odbijało się w kwadratowych szybkach okien mieszkań na najwyższych piętrach kamienic. Lotte lubiła tę cichą uliczkę z szeregiem masywnych przedproży, które służyły kiedyś mieszkańcom gdańskich kamienic za miejsce letnich spotkań. Żałowała nawet, że w zdyscyplinowanej architekturze Ring Strasse, gdzie ulice wytyczono z matematyczną dokładnością, a fasady ciągnących się całymi kwartałami domów pozbawiono zbędnych ozdób w duchu obowiązującej nowoczesności, brak było miejsca na podobne spotkania, gdzie sąsiedzi mogliby zatrzymać się w codziennej wędrówce i wymienić parę zdań w ramach niezobowiązującej, sąsiedzkiej pogawędki, jak ciągle można było to robić, mieszkając przy Frauengasse.

Lotte nie zdawała sobie sprawy, że to, co uważała za unikatową specyfikę tej małej uliczki na tyłach Marienkirche, który swym cieniem milcząco zaznaczał obecność nad całą okolicą, te wyniesione ponad poziom ulicy przedproża, strzeżone przez kamienne lwy i toczone kule, było niegdyś codziennością tego miasta, jego biegnących w stronę Motlau ulic, a fakt, że zniknęły z krajobrazu, Danzig zawdzięczał nadgorliwości swego

nadburmistrza, który osiadł tu na dwadzieścia siedem długich lat i z pomocą mennonickiego inżyniera sprowadzonego z Berlina miasto skanalizował. To dzięki niemu Lotte nie brodziła teraz w wylewanych ukradkiem nieczystościach.

Nadburmistrz został upamiętniony honorowym obywatelstwem i placem z fontanną zwieńczoną neogotycką iglicą. Przy tym placu znajdowało się gimnazjum, w którym uczył się kiedyś brat Lotte, Rudi.

Choć fontannę ogrodzono niskim płotem, Rudi i inni chłopcy wbiegali na otaczający ją trawnik i ku irytacji szkolnego woźnego, kościstego pana Duschke, wychlapywali z niej wodę bez szacunku dla upamiętnionych nią budowniczych nowoczesnej kanalizacji w mieście.

Poranek był ciepły. Przysadzista Frauengassetor nie pozwalała, by ulicę omiatała poranna bryza znad rzeki i czerwone flagi z czarnymi swastykami, wywieszane w kilku oknach wąskich kamienic, zwisały bezwładnie jak niezrzucone z masztu żagle w czasie flauty.

Poczuła rześkie powietrze, gdy przeszedłszy wąskim przejściem bramy stanęła na nabrzeżu. Zatrzymała się i opierając o barierkę, wdychała chwilę to słodko-słone powietrze mieszające się nad miastem, które całą swoją historię tkwiło między zależnością od morza a naciskami z lądu, usiłując zachować własną niezawisłość, która tak je naznaczyła.

Lotte nie znalazła się tu jednak, by wspominać historię miasta. Zresztą jej wiedza dotycząca miejsca, w którym przyszła na świat, obejmowała zaledwie ostatnich sto lat, resztę Lotte dopełniała informacjami z partyjnych broszur. Nie przyszła też wdychać zapachu tego miejsca, który doprawiony drażniącym nozdrza odorem ryb sprzedawanych na Fischmarkt i skrzeczącą obecnością unoszących się nad dachami mew, przywoływał w jej pamięci bezpieczne lata dzieciństwa, kiedy przychodziła tutaj obserwować pracę ojca. Ale Georg Meier dawno przestał być sztauerem na

Motlau, a Lotte więcej czasu spędzała teraz na Karenwall i gładkich plażach Brösen niż nad rzeką, choć ciągle było to miejsce, do którego lubiła powracać, bo przywoływało czas, gdy czuła się naprawdę bezpiecznie.

Pozostawiła za sobą ceglany Żuraw z drewnianą konstrukcją dźwigu wzbijającą się w bezchmurne niebo, minęła pustą o tej porze przystań statków wycieczkowych, które dopiero za kilka kwadransów miały zacząć pojawiać się w zakolu rzeki koło Szkoły Nawigacji przy Karpfenseigen, by zabrać chwytających ostatnie chwile słońca tego lata mieszkańców Danzig do Glettkau i Zoppott.

Przeszła przez most i skierowała się w stronę ujścia Neue Motlau. Od wschodniej strony brzegi rzeki zabudowano sięgającymi szóstego piętra spichrzami. Ich płaskie fasady pocięte szachownicą pruskiego muru zwracały się w stronę Motlau, a z małych, prostokątnych okien wypełzały macki rur, którymi transportowano zboże. Rury zwisały teraz beczynn timer, unosząc się nad pustą ulicą, biegnącą wzdłuż nabrzeża.

Biura, w których urzędowali pracownicy spichlerzy, były zabite drewnianymi okiennicami, a ustawione na biegnących wzdłuż rzeki torach kolejowych zamknięte wagony, w ciszy oczekiwały powrotu robotników portowych. Pomost, przy którym cumowały statki, był pusty.

Lotte zdziwił bezruch, który panował na rzece, bo zwykle było tu tłoczno i hałaśliwie. Ładowano zboże na barki i do ładowni statków, które cumowały przy samych spichrzach. Wszędzie uwijali się sztauerzy, marynarze i robotnicy portowi. Z położonych w przyziemiu biurach dobiegały głosy urzędników, którzy dobijali targu z kapitanami statków, podliczali utarg albo targowali się, krzycząc w słuchawki swych telefonów. Pomyślała, że nigdy nie była tu w niedzielny poranek, nawet wtedy, kiedy rodzina Meier mieszkała w zaułku Schusterhof, a Georg pracował jako sztauer.

Franz Thiedtke siedział na rozkładanym, drewnianym krzeselku na skraju pustego pomostu i trzymając w dłoniach wędkę, wpatrywał się w mewy, które unosiły się nad marszczonymi poranną bryzą wodami rzeki. Komisarz nie spodziewał się zobaczyć tutaj asystentki Obersturmführera von Moltke, więc kiedy stanęła obok niego na pomoście, wydawał się bardzo zaskoczony.

– Pani tutaj? – Wstał. – Co za zbieg okoliczności! – Miał na sobie rozpiętą pod szyją poszarzałą koszulę i sprane spodnie.

Lotte pomyślała, że tutaj, w słońcu odbijającym się od rzeki i białych murów spichlerzy, pozbawiony autorytetu zasłużonego komisarza z prezydium gdańskiej policji, wyglądał na starszego niż tam w umywalni, gdzie przyjrzała mu się uważniej po raz pierwszy. Jego twarz była zmęczona i szara. Zawahała się nawet, zastanawiając ułamek sekundy, czy dobrze zrobiła przychodząc nad Motlau, i czy ten człowiek, tak nagle niepozorny i stary, był tym, któremu mogła opowiedzieć o swoich wątpliwościach.

Franz Thiedtke uśmiechnął się kącikiem ust, jakby odgadł myśli Lotte.

– Czy pani przyszła tu specjalnie? – zapytał.

– Tak. Przepraszam, jeśli pana nachodzę. Powiedział mi pana asystent, ten pan...

– Krupke – dokończył.

– Tak, właśnie. Byłam wczoraj w pańskim biurze w prezydium, ale pan już wyszedł. Pan Krupke nie podał mi pana adresu, ale powiedział, że spotkam pana tutaj. A ja chciałam zobaczyć się z panem jak najszybciej – wyrzuciła z siebie Lotte.

– Rozumiem, że coś się stało. Coś panią tak zaniepokoiło, że nie mogła pani poczekać do jutra albo powiedzieć mojemu asystentowi?

– Tak, właśnie. Byłam wczoraj w mieszkaniu Marianny Walewicz, wie pan...

– Tak, oczywiście. Panno Meier, proszę chwilę poczekać. – Franz Thiedtke odwrócił się, szybkim ruchem wyciągnął z wody koniec wędki, sięgnął po puste wiadro stojące koło drewnianego krzeselka, które jedną ręką złożył, i wyprostował się, mówiąc: – I tak dzisiaj nie brały. Myślę, że spokojniej będzie porozmawiać przy filiżance kawy. Tutaj niedaleko jest miejsce, gdzie dają prawdziwą – uśmiechnął się.

Ruszyli w stronę okazałego budynku banku przy Milchkannengasse i dalej przez kolejny most, który łączył wyspę z ulicą Langgarten. Kamienice ciągnące się po obu stronach szerokiej jezdni w stronę kościoła św. Barbary były mniejsze i mniej okazałe niż te, które pozostały po drugiej stronie rzeki. Czuło się tutaj spokój przedmieścia, choć od centrum dzieliło ich zaledwie kilkaset metrów.

Franz Thiedtke wskazał sklep i małą kawiarnię tuż za mostem.

– To kawiarnia mojego przyjaciela. – powiedział. – Tutaj będziemy mogli spokojnie porozmawiać, panno Meier.

Nad szklaną witryną unosiła się pasiasta markiza. W środku było pusto.

– Witaj, Franz. – Zza wysokiego, drewnianego kontuaru, na którym stała taca z maślanymi bułkami, wyszła wysoka kobieta o rozłożystych biodrach i obfitym biuście, który falował łagodnie przy każdym kroku swojej właścicielki. – Coś złapałeś? – Zajrzała do pustego wiadra i śmiejąc się głośno, uściskała komisarza.

– To panna Lotte Meier. – Franz Thiedtke wskazał na Lotte, która skinęła głową. – A to Trudi Ebner, żona mojego przyjaciela i właściciela tego miejsca.

– Miło mi, panno Meier. Proszę! Proszę! – Trudi Ebner zrobiła szeroki ruch, ramieniem zataczając koło obejmujące małą, jasną salkę z pustymi

stolikami, drewnianą ladę i maślane bułki ułożone w piramidkę. – Czego się pani napije? Mamy doskonałą kawusię.

Prawdziwą, nie jakąś tam Muckefuck^[9]. I bułeczki maślane. Palce lizać! Lotte ograniczyła się do kawy.

Franz Thiedtke zniknął na chwilę na zapleczu razem z Trudi, która, ciągle się śmiejąc, siłą chciała odebrać mu wędkę, drewniane krzeselko i wiadro, które cały czas trzymał w dłoniach.

Lotte usiadła przy stoliku pod oknem. Rozciągał się z niego widok na obrotowy most z drewnianym pomostem, który od XIV wieku ponad wodami Neue Motlau wiódł z Traktu Królewskiego na wschód. Ulica była pusta, mostem przejechał wóz zaprzężony w siwego konia i skręcił w stronę urzędu celnego.

Dziewczyna rozejrzała się po salce kawiarni Wilhelma Ebnera i jego żony Trudi. Na ścianie naprzeciwko niej wisiał obraz Führera.

Powędrowała za jego spojrzeniem i pomyślała, że swoim zasepionym wzrokiem wcale nie spoglądał w niepewną przyszłość ojczyzny, lecz wpatrywał się w stos maślanych bułeczek na drewnianej ladzie, za którą pojawili się Trudi Ebner i komisarz Thiedtke.

– Przepraszam, panno Lotte, że to tyle trwało. Już jestem do pani dyspozycji. – Komisarz usiadł przy stoliku.

– No, panno Meier, zrobiłam dla pani najlepszą kawusię na świecie. – Trudi Ebner postawiła na stoliku tacę z filiżankami, pękaty dzbanek, z którego unosił się delikatny zapach kawy, i mały dzbanuszek, w którym lśniło mleko. – Na zdrowie! – powiedziała i zniknęła na zapleczu.

– Panie komisarzu, nie narzucałabym się panu w niedzielny poranek, gdyby nie nasze wczorajsze spotkanie w prezydium, to znaczy w łazience – zaczęła Lotte, nie bardzo wiedząc, jak przekazać komisarzowi to, co miała

do powiedzenia. – Powiedział pan, że mogę do pana przyjść, gdybym potrzebowała pomocy.

– Tak, rzeczywiście, panno Lotte. Tak powiedziałem.

– No więc, ja chciałam to panu powiedzieć, to znaczy to tylko moje podejrzenia, takie głupie myśli zwykłej sekretarki...

– Słucham panią.

– Otóż ja byłam w mieszkaniu państwa Walewiczów. Na Breitgasse. Chciałam złożyć kondolencje panu Walewiczowi. Ale go nie było. Rozmawiałam ze służącą.

– Rozumiem. To znaczy nie rozumiem, dlaczego postanowiła pani mi to powiedzieć.

– Bo... bo jest w tej sprawie coś dziwnego. – Lotte w końcu wyrzuciła z siebie to, co dręczyło ją całą minioną, bezsenną noc.

– A dlaczego przyszła pani z tym do mnie? Sprawę prowadzi pani przełożony, Obersturmführer von Moltke. – Komisarz trzymał filiżankę z kawą na wysokości twarzy i dmuchał w unoszący się nad nią dym.

Zapach kawy wypełnił już całą kawiarnię.

Lotte pomyślała, że Franz Thiedtke ma drobne, gładkie dłonie, które nie pasowały do jego poszarzałej twarzy.

– Bo przecież powiedział pan... – zająknęła się wystraszona, że może się pomyliła, że komisarz wcale nie był osobą, która mógłby jej pomóc, że jego słowa w łazience prezydium były tylko pustą uprzejmością, fałszywym frazesem mówionym zwykle w takich sytuacjach, a ona odebrała je jako zainteresowanie, zatroskanie, chęć rzeczywistej pomocy.

– Spokojnie, panno Lotte. – Franz Thiedtke odstawił filiżankę na porcelanowy spodek, obrębiony złotym szlaczkiem. – Nie prowadzę tej sprawy, ale to nie znaczy, że nie postaram się pani pomóc.

Odetchnęła. Upiła szybko łyk kawy, która spłynęła ciepłym strumieniem przez przełyk, gardło, znacząc swą drogę aż do żołądka, skąd rozeszło się jej ciepło po całym ciele. Rozluźniła się nieco.

– No, więc słucham. Proszę opowiedzieć, co panią zaniepokoiło – zachęcił komisarz.

– Poszłam wczoraj do mieszkania Walewiczów na Breitgasse – powtórzyła. – Jak powiedziałam, chciałam złożyć kondolencje panu Walewiczowi. On bardzo kochał swoją córkę. Jego żona od lat mieszka w Berlinie i córka była najbliższą mu osobą. Sądziłam, że musi być zdruzgotany. To musiał być dla niego wielki cios. Myślałam, że będzie przygotowywał pogrzeb. A jego w ogóle tam nie było. Służąca powiedziała mi, że wyjechał i że pogrzeb zorganizuje jego sekretarz.

– I to panią tak zaniepokoiło?

– Tak. To niemożliwe, żeby pana Walewicza nie było na pogrzebie córki.

– Panno Lotte, to niespokojny czas. Może wyjechał, coś go zatrzymało i nie może wrócić.

– Nie, panie komisarzu. Jego nic nie zatrzymałoby wobec śmierci jego córki. Jestem tego pewna. I jeszcze jedno. Nie było jej samochodu.

– Czyjego? Marianny Walewicz?

– Tak. Nie było jej samochodu. Ona zawsze jeździła samochodem.

Służąca powiedziała mi, że zmieniła swojego horcha na mercedesa i że pojechała nim, kiedy to się stało. Czy zgłoszono jakiegoś porzuconego w Glettkau mercedesa, panie komisarzu?

– Nie, to znaczy nie wiem. Musiałbym sprawdzić.

– Czy mógłby pan to zrobić? Ona musiała być samochodem.

– Panno Lotte, czy to spowodowało pani zaniepokojenie?

Lotte miała wrażenie, iż komisarz wiedział, że mogłaby powiedzieć mu znacznie więcej, jednak bała się, by to zrobić. Była przekonana, że Franz Thiedtke chciał być pewien, że jej zasłabnięcie w łazience prezydium policji wiązało się z przesłuchaniem w sprawie Marianny. Utkwił wzrok w jej twarzy, więc spuściła oczy, wpatrując się w swoją filiżankę, by zbagatelizować odpowiedź na to pytanie.

– Tak – powiedziała w końcu, bo cisza stawała się nieznośna.

– Dobrze. Dowiem się, czy zgłoszono czarnego mercedesa. Albo czy zgłoszono jego kradzież. Zrobię, co będę mógł, ale nie wiem, czy wiele pani pomogę, bo, jak powiedziałem, to Obersturmführer przejął tę sprawę. Przejął i, zdaje się, zamknął. Czy pani złożyła zeznanie?

– Tak.

– Śmierć Marianny Walewicz to dla pani duże przeżycie.

– Dlaczego? – Lotte pomyślała, że komisarz nie powinien zauważyć jej zmieszania. – Nie, to była tylko moja pracodawczyni.

– Tak – mruknął komisarz Thiedtke. – Już to pani mówiła.

ROZDZIAŁ 11

Komisarz Franz Thiedtke podązał wzrokiem za Lotte, która sztywnym krokiem przemierzała Milchkanen Brücke. W jej jasnych włosach, upiętych ciasno wokół głowy, odbijały się promienie porannego słońca, co całej postaci nadawało niemal nierealny wymiar, choć komisarz wiedział, że Lotte nie była niezemskim aniołem, ale raczej całkiem zwyczajną dziewczyną, która, jak podejrzewał, uwikłała się w coś, o czym teraz nie chciała mówić. Chciała sprawiać wrażenie opanowanej, silnej kobiety, gotowej przyjąć na siebie każdy obowiązek i odpowiedzialność, ale Franz Thiedtke przesłuchał w swoim długim policyjnym życiu zbyt wiele pięknych, młodych kobiet, które napięciem mięśni twarzy, nerwowymi gestami albo nagle spuszczanym wzrokiem zdradzały nie do końca czyste sumienie. Nauczył się odróżniać to, co było tylko fasadą, od tego, co naprawdę kryło się pod powierzchnią.

Nie wiedział, jak wyglądało składanie zeznań przez Lotte, ale wnioskując ze stanu, w jakim znalazł ją w łazience na Karenwall, podejrzewał, że von Moltke odwołał się do metod, które stosowało raczej Gestapo niż Kripo.

Wiedział natomiast, że sprawa śmierci Marianny Walewicz nie była tak prosta, jak usiłował przedstawić von Moltke. Był przekonany, że Marianna Walewicz nie utopiła się w wodach zatoki koło mola w Glettkau. Bo zanim znalazła się pod unoszącymi żagłówki falami, została pobita, a to, co stało się z jej ciałem, nie było wynikiem zwykłego rozkładu. Ktoś pobił ją

śmiertelnie, a potem wrzucił do morza z mola w Glettkau albo z całkiem innego miejsca, bo wodne prądy bywają przecież nieobliczalne.

Jednak nie miejsce, w którym Marianna Walewicz została wrzucona do wody, nie deski mola w Glettkau czy chybotliwy pokład rybackiego kutra, który był środkiem jej ostatniej podróży, a motyw, dla którego ktoś to zrobił, był dla niego ważny. I to, kto się tego dopuścił.

Lotte Meier wiedziała o czymś, co mogło pomóc znaleźć odpowiedź.

Tego komisarz był pewien. Ale wiedział już, że starała się ukryć to, co mogło umożliwić mu dojście do prawdy, która być może byłaby bolesna i dla niej.

Franz Thiedtke postanowił, że sprawa śmierci Marianny Walewicz będzie ostatnią rozwiklaną w jego zawodowej karierze zagadką, choć nikt już nie oczekiwał, by zajmował się w policji czymkolwiek poza dokładnym wysprzątaniem biurka i przekazaniem akt dawnych, latami prowadzonych przez siebie spraw do policyjnego archiwum. Myśl, że oto stoi przed nim jeszcze jedno wyzwanie, jeszcze jedna niedokończona historia, której koniec może dopisać, sprawiła, że poczuł się lepiej.

Emerytura, której wyczekiwał od dawna, mieszkanie z ogródkiem w Langfuhr, które wybrali z Waltraud, spokój i długie, leniwe poranki straciły nagle na atrakcyjności, bo perspektywa dni spędzanych od początku do końca wyłącznie w towarzystwie żony zaczynała mu ciążyć tym dotkliwiej, im bliżej w kalendarzu znajdował datę pierwszego września.

Nie znaczy to, że nie kochał swej Waltraud. Nie, Franz Thiedtke kochał ją od pierwszego dnia, gdy ujrzał zaledwie osiemnastoletnią panienkę, która spacerowała nadmorską promenadą w Zoppott. Była wysoka i smukła, a Franz Thiedtke pomyślał, że z taką prezencją pochodzi zapewne z domu, do którego jego, biednego policjanta z Danzig, nigdy nie wpuszczą. Choć za nic by się do tego nie przyznał, w istocie nie posiadał się z radości, gdy

dowiedział się, że ta wyniosła dama była córką zwykłego urzędnika poczty przy Schulstraße w Zoppott i jako świeżo upieczona absolwentka gimnazjum realnego pracowała jako panna sklepowa w domu towarowym, który Otto i Ernst Fastowie odziedziczyli po swym ojcu.

Ich znajomość rozpoczęła się więc w dziale męskich kołnierzyków, w które ówczesna moda wbijała eleganckich dżentelmenów, robiąc z nich wyniosłych arogantów o łabędzich szyjach. Potem były wspólne spacery w towarzystwie owdowiałej sąsiadki pani Makowsky, która z ochotą przyjęła rolę przyzwoitki stojącej na straży honoru młodej panny, wspólne wyprawy na Brauershohe, gdzie z tarasu widokowego restauracji Alberta i Selmy Brauerów podziwiali leżącą u ich stóp panoramę miasta, którą gniewna panienka określała mianem kiczowatego landszaftu, i wycieczki do restauracji Stiewego, gdzie Franz Thiedtke, korzystając z krótkiej nieobecności pani Makowsky, wyznał Waltraud swe gorące dla niej uczucia.

Wkrótce panna Heine, bo tak nazywała się wówczas jego Waltraud, stała się panią Thiedtke i z panińskiego pokoju w mieszkaniu na pierwszym piętrze kamienicy przy Danzigerstrasse w Zoppott przeprowadziła się do mieszkanca, które Franz Thiedtke zajmował na Hundegasse w śródmieściu Danzig. Spędzili w nim dziesięć lat, by wraz z awansem komisarza przeprowadzić się do bardziej reprezentacyjnego apartamentu na Kohlenmarkt, gdzie minęło kolejnych dwadzieścia siedem wspólnie spędzonych lat.

Teraz przyszedł wreszcie czas, by wyprowadzić się w miejsce, gdzie było więcej zieleni, bo tej, jak mówiła całe życie Waltraud, najbardziej brakowało jej w Danzig. Dlatego pierwszego września planowali przeprowadzkę do mieszkania w niedużej willi otoczonej ogrodem przy Hermanshöferweg w Langfuhr, gdzie Waltraud mogła wreszcie założyć

ogród, nic wielkiego, ogródek właściwie, kilka grządek z marchewką i rabaty z kwiatami, ale nie mogła już doczekać się pierwszego popołudnia, gdy z nieodłącznym kotem Fufim na kolanach usiadła na ogrodowej ławce, otoczona śpiewem ptaków.

Franz Thiedtke, dopijając resztkę kawy przy stoliku w kawiarni Wilhelma Ebnera, policzył, że, wyłączając niedzielne popołudnie, które planował spędzić z Waltraud na pakowaniu tego, co przez te wszystkie minione lata zebrali, do przeprowadzki i ostatecznego rozstania z prezydium policji na Karenwall pozostały mu cztery dni. Cztery dni, w czasie których postanowił rozwiązać zagadkę śmierci Marianny Walewicz.

Nikt nie interesował się działaniami odchodzącego na emeryturę komisarza, więc pod pretekstem porządkowania akt Franz Thiedtke mógł podjąć pierwsze kroki swego prywatnego śledztwa już w poniedziałkowy poranek.

– Panie Krupke, czy mamy kopię protokołu z sekcji zwłok tej topielicy z Glettkau? – zapytał mimochodem znad teczek z dokumentami, które wyjął z obszernej biurowej szafy. – Tej z ubiegłego tygodnia, pamięta pan?

– Tej, co robił Hanemann? – upewnił się Joseph Krupke, podnosząc głowę znad stojącego naprzeciw biurka.

– Tak, właśnie tej.

– Sprawę przejął Obersturmführer von Moltke, panie komisarzu.

On ma wszystkie dokumenty tej sprawy.

– Aha, to dobrze.

Próbował przywołać z pamięci oświadczenie Hanemanna. Złamana żuchwa, kość potyliczna pęknięta i wbita w rdzeń mózdzku, złamana ręka. Ślady po pobiciu. Kto mógł tak zmasakrować ciało tej kobiety, a potem zadał sobie jeszcze trud, by upozorować utopienie? Czy Marianna Walewicz padła ofiarą nie znoszącego sprzeciwu oficera albo wysokiego

urzędnika partii, który chciał tego, czego ona dać mu nie zamierzała? A może wiedziała zbyt dużo i wobec spodziewanej wojny była zbyt niebezpieczna? W końcu sprawą zajął się von Moltke, a on był w prezydium policji Danzig odpowiedzialny za historie sięgające daleko dalej niż zwykłe pobicia i pospolite zabójstwa. Wreszcie może chodziło o zwykłe morderstwo, napad i zatarcie śladów? No, ale wtedy po cóż miałyby się w to mieszać policja polityczna?

– Czy mamy raport zaginięć z ostatnich dni? Jakies zgłoszenia rodziny?
– zapytał znowu.

– Nie, panie komisarzu. Te sprawy przejął komisarz Waldenberg.

– Panie Krupke! Mówiłem, że do momentu, kiedy nie odejdę z tego miejsca, jestem czynnym pracownikiem policji?! Chcę natychmiast zobaczyć wszystkie raporty z ostatnich dni. Zgłoszenia o zaginięciach, o kradzieżach, o wszelkich chuligańskich ekscesach i o skradzionych albo odnalezionych samochodach. Natychmiast, panie Krupke!

– Tak jest, panie komisarzu! – Joseph Krupke zdawał się patrzeć z politowaniem na przełożonego, który starał się podtrzymać pozory własnej służby, choć wszyscy wiedzieli, że już w prezydium się nie liczył. Odchodził razem ze swoim starym światem, na który w nowym ładzie nie było miejsca.

– Natychmiast, panie Krupke! – powtórzył Franz Thiedtke.

Joseph Krupke wstał zza biurka i wyszedł z gabinetu. Po kilku minutach wrócił i podał komisarzowi cienki plik pojedynczych kartek.

Franz Thiedtke szukał zgłoszeń sprzed tygodnia. Ciało leżało w wodzie około dwu, trzech dni, a zatem zostało wyrzucone do morza we wtorek lub środę, policzył. Ale nikt nie zgłosił zaginięcia podobnej kobiety. Zaginął, owszem, pan Hermann Kopke, lat pięćdziesiąt dwa, zamieszkały Danzig Stadtgraben. Urzędnik bankowy, wyszedł z domu, jak co dzień, do pracy o

godzinie siódmej czterdzieści pięć, i nikt więcej już go nie widział. I jeszcze Jutta Buschke, lat dwadzieścia pięć, zamieszkała przy Jungfrauengasse na Hakelwerku, zniknęła w nocy z wtorku na środę. Pewnie spakowała walizkę i uciekła z jakiejś ciemnej nory, których pełna była ta okolica, pomyślał komisarz. Nie było również zawiadomienia o kradzieży lub odnalezieniu mercedesa na gdańskich numerach. Nic, co mogłoby wiązać się ze sprawą Marianny Walewicz.

– Panie Krupke, wychodzę. Może pan odnieść raporty komisarzowi Waldenbergowi, a te akta – wskazał na stos ułożonych na biurku teczek z dokumentami – może pan oddać do archiwum. – Włożył filcowy kapelusz, zbyt ciepły na ostatnie dni sierpnia, i skierował się do drzwi. – A, i jeszcze jedno. Chciałbym dziś porozmawiać z sekretarką Obersturmführera von Moltke, panną... – udał krótkie zastanowienie.

– Lotte Meier – odpowiedział usłużnie Joseph Krupke, a na jego twarzy pojawił się ten rodzaj lubieżnego uśmiechu, który sprawiał, że jego bezbarwne oblicze stawało się odpychające.

– Właśnie, z panną Lotte Meier.

– Była tutaj, chciała dostać pana adres, ale powiedziałem, że to niemożliwe.

– Bardzo dobrze, panie Krupke! Bardzo dobrze. O szesnastej.

Niech przyjdzie do mnie o szesnastej.

Komisarz Franz Thiedtke wyszedł z gabinetu i skierował się w stronę klatki schodowej. Sięgnął do kieszeni marynarki i palcami wymacał zwiniętą w mały kwadracik karteczkę z cienkiego papieru, na której Lotte zapisała adres Walewiczów, kreśląc go nerwowym ruchem na stoliku w kawiarni Wilhelma Ebnera.

Klatka schodowa kamienicy przy Breitgasse, stopnie schodów obłożone marmurem, delikatnie wyprofilowane dębowe poręcze dopasowujące się

dyskretnie do wnętrza dłoni wspinającego się na piętro komisarza, solidne drzwi z mosiężnymi kołatkami, to wszystko dawało pewność, że lokatorami są spadkobiercy długiej patrycjuszowskiej linii zamożnych gdańszczan, którzy przez wieki wpływali na dzieje tego miasta. Nieważne, czy nazywali się Ferberowie, Gralathowie czy van den Blockowie, to oni sprawili, że miasto było tym, czym było, choć współczesna komisarzowi elita z Albertem Forsterem i Arturem Greiserem na czele zdawała się tylko nędzną karykaturą swoich poprzedników, przywłaszczając sobie tradycję tego miejsca i prezentując coraz mniej poskramianą butę wobec rzeczywistości.

Komisarz zastukał trzy razy starannie wypolerowaną kołatką w kształcie małej, lwiej głowy i wkrótce w drzwiach ukazała się rudowłosa służąca.

– Jestem komisarz Franz Thiedtke z policji kryminalnej – przedstawił się.

– Pana nie ma – odpowiedziała szybko kobieta.

– Chciałbym porozmawiać chwilę z panią. Jest jeszcze kilka rzeczy, które chcielibyśmy wyjaśnić w sprawie śmierci panny Walewicz.

– Franz Thiedtke nieznacznie pochylił się w stronę służącej, która postąpiła krok do tyłu, otwierając szerzej drzwi. – Nie zajmę pani wiele czasu. – Był już prawie wewnątrz ciemnego korytarza prowadzącego do wnętrza mieszkania.

– Proszę, niech pan wejdzie. – Służąca niechętnie zaprosiła go do środka.

– Czy to pani była w instytucie anatomii, żeby zidentyfikować ciało? – zapytał, gdy usiedli przy stole w dużej kuchni.

Wszystko było tu higienicznie wyczyszczone, puste blaty lśniły podobnie jak świeżo wypastowana posadzka z biało-czarnych kafli.

Wypiaskowane, miedziane rondle tkwiły milcząco zawieszane w równym szeregu na białej ścianie. Na oknie w porcelitowych donicach pomalowanych na biało pyszniły się czerwone pelargonie o kwiatach tak wielkich, jak kwiaty ogrodowych hortensji.

– Tak. Czy coś jest nie tak? – Franz Thiedtke nie mógł się zdecydować, czy służąca wyglądała na bardziej zaskoczoną jego wizytą, czy też wystraszoną pytaniami, które mogły paść z jego ust.

– Nie, skądże – uspokoił ją komisarz. – Czy pan Walewicz zechce zobaczyć ciało córki, zanim zostanie zabrane z kostnicy?

– Pan Walewicz jest za granicą. Nie może przyjechać na pogrzeb córki.

– Rozumiem. A kto będzie organizował pogrzeb?

– Jego sekretarz, pan Podolsky.

– Tak. To zapewne cios dla całej rodziny. A matka? Pani Walewicz będzie obecna na pogrzebie?

– Nie. Mieszka na stałe w Berlinie.

– No, oczywiście. To szmat drogi. Czy pamięta pani, którego dnia zaginęła panna Walewicz?

– To było ... – służąca zawahała się. – To było we wtorek. Wyszła z domu koło dziesiątej rano. Miała wrócić na kolację.

– A może mi pani powiedzieć, gdzie tego dnia poszła?

– Nie wiem. Nie pamiętam. To znaczy wiem, że była umówiona na obiad.

– Wie pani, gdzie?

– Chyba w restauracji Grosser Stern w Zoppott.

– A wie pani może, z kim miała się tam spotkać?

– Nie. – Służąca stanowczo zaprzeczyła.

– To ważne. Może pani sobie przypomni?

– Nie, nie wiem. Naprawdę.

– Czy podejrzewa pani, że panna Walewicz popełniła samobójstwo?

– Słucham?

– Marianna Walewicz utopiła się. Ale pytanie brzmi, czy popełniła samobójstwo, czy ktoś jej w tym dopomógł?

Służąca wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną i zagubioną. Skubała nerwowo koniec wykrochmalonej falbanki, złożywszy ręce na kolanach.

– Panowie, z którymi rozmawiałam w instytucie, mówili, że się utopiła. Nie zastanawiałam się, czy tak sama z siebie, czy ktoś to zrobił.

Może to był nieszczęśliwy wypadek?

– Tak, być może. Dlatego muszę wiedzieć, czy możliwe jest samobójstwo. Czy miała jakiś powód, by odebrać sobie życie?

Służąca zasepiła się. Ściągnęła usta, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Chyba nie – wydukała po długiej chwili milczenia.

– Nie otrzymaliśmy zawiadomienia o zaginięciu panny Walewicz.

Dlaczego nie złożyła go pani na policji?

– Bo... bo czasami panna Marianna nie wracała na noc. Więc się nie niepokoiłam, kiedy nie wróciła. Dopiero w piątek, kiedy przyszedł ten Sturmbannführer...

– Obersturmführer von Moltke – poprawił komisarz.

– Nie. To był Sturmführer, a nazywał się jakoś tak Arer...

– Auerbach? Heinrich Auerbach?

– Tak, właśnie! – ucieszyła się służąca. – To on przyszedł zawiadomić o tym, co się stało, i zabrał mnie do instytutu, żebym zidentyfikowała zwłoki.

– Zabrał panią do instytutu tego samego dnia, kiedy znaleziono zwłoki Marianny Walewicz?

– Tak – potwierdziła służąca. – Mówił, że trzeba szybko.

– Dobrze. – Komisarz wstał, podszedł do okna, rozsunął kwiaty pelargonii i wyjrzał na ciche podwórko. – Czy Marianna Walewicz pojechała tamtego dnia do Zoppott swoim samochodem?

– Nie. – Służąca potrząsnęła rudymi włosami. – Pojechała koleją, a na miejscu miała wziąć taksówkę.

– A co stało się z jej samochodem? Panna Walewicz jeździła samochodem, prawda?

– Tak, miała takiego pięknego horcha, wie pan, taką limuzynę.

– Co się z nią stało?

– Została sprzedana.

– I?

– I panna Marianna chciała kupić następne auto.

– Ale tego nie zrobiła?

– Nie, panie komisarzu. Nie zdążyła. – Służąca otarła końcem wykrochmalonego fartuszka spocone czoło.

– Zapewne panna Walewicz miała dużo swoich fotografii. Czy mógłbym pożyczyć jedną? Taką, na której dobrze widać, jak wyglądała.

Słyszałem, że była piękną kobietą.

– O, tak, panna Marianna była bardzo piękna.

– Mogę zatem pożyczyć jej fotografię?

– Tak, sądzę, że tak. – Służąca wstała z kuchennego stołka i szybko wyszła. Wróciła po kilku minutach niosąc w dłoni duże zdjęcie, na którym Marianna, ubrana w płaszcz z sobolowym kołnierzem, trzymając w rękach sztandar ozdobiony gdańskim herbem i polskim napisem Gdańsk, maszerowała w długiej kolumnie kobiet idących przez Kohlenmarkt na tle frontowej fasady domu towarowego braci Freymann.

– To zdjęcie z manifestacji przed wyborami w trzydziestym piątym roku.

– Tak, pamiętam. – Komisarz przyglądał się postaci na fotografii, która, śmiejąc się, patrzyła wprost w obiektyw aparatu. Manifestacja gdańskiej Polonii przetoczyła się wtedy pod oknami jego mieszkania. – A czy nie ma pani jakiejś fotografii, na której panna Walewicz jest sama? Tutaj za dużo się dzieje. I może trochę nowszej. – Oddał zdjęcie, a służąca wzruszyła nieznacznie ramionami i wyszła.

– Czy to będzie dobre? – zapytała z niechęcią, gdy wróciła z kolejną fotografią.

Tym razem Marianna siedziała w wiklinowym fotelu na tle letniego ogrodu. Miała na sobie jasny, męski garnitur, pofalowane włosy upięte gładko nad czołem, w dłoni trzymała firkę z papierosem, a na jej gładkiej szyi wisiał, wsunięty lekko za marynarkę, medalion, który Franz Thiedtke widział na moło w Glettkau. Patrzyła w obiektyw bez uśmiechu, nieco wyzywająco, choć komisarz miał wrażenie, że w jej oczach więcej było smutku niż prowokacji.

– Tak, doskonale. Kiedy zostało zrobione?

– W lipcu tego roku. W domu państwa Walewiczów w Zoppott.

– Świetnie. To wszystko. Dziękuję pani bardzo. Była pani bardzo pomocna. – Uścisnął dłoń kobiety i wyszedł z kuchni. – Jeszcze jedno. – Odwrócił się od drzwi na korytarz, które otworzyła przed nim służąca. – Kiedy pogrzeb?

– W środę.

– Na którym cmentarzu?

– Na Zentralfriedhof.

– Dziękuję bardzo, panno...

– Keller, Ewa Keller.

– Dziękuję, panno Keller. Żegnam.

Komisarz uchylił kapelusza i wyszedł na klatkę schodową. Ewa Keller zamknęła za nim cicho masywne drzwi.

Schodząc po schodach, do wewnętrznej kieszeni marynarki wsunął fotografię Marianny i sięgnął po ukryty w kieszonce kamizelki zegarek Omega Labrador, cud zegarmistrzowskiej precyzji ukryty w srebrnej kopercie, na której Waltraud w dwudziestą rocznicę małżeństwa kazała wygrawerować datę ich pierwszego spotkania, kiedy to Franz Thiedtke z dłońmi mokrymi z emocji stanął przed nią w dziale męskich kołnierzyków domu towarowego Fastów i łamiącym się głosem poprosił o wybrany naprędce, bez przemyślenia, ten, który leżał najbliżej, bo przecież nie o kołnierzyk mu wówczas chodziło.

Wskazówki na cyferblacie pokrytym rzymskimi i arabskimi cyframi pokazywały jedenastą. Komisarz wyszedł na ulicę, gdzie przed sklepem jubilerskim mieszczącym się naprzeciwko okien mieszkania Walewiczów zaparkował swojego prywatnego opla. Postanowił najbliższe pięć godzin spędzić w Zoppott.

Gdy mijał oliwski park z wieżami katedry, które unosiły się ku niebu ponad koronami przekwitających kasztanowców, pomyślał, jak zawsze, o babce Geszkau i lodach, które ober Mühler przynosił w kryształowym pucharku do stolika na tarasie kawiarni Königsgarten.

Nic nie mogło równać się ze smakiem lodów czekoladowych przenikniętych zapachem różanego olejku sukien babki, bo nic nie może dorównać wspomnieniom wyniesionym z dzieciństwa.

Franz Thiedtke coraz częściej przyłapywał się na tym, że powracał myślami do dawnych chwil, gdy pełen był jeszcze ufności do świata, a na twarzy Waltraud nie pojawiły się te drobne pajęczynki zmarszczek, które z czasem zaczęły sobie uzurpować prawo do coraz szybszego rozprzestrzeniania się po jej jasnej skórze.

Czasem gdy Waltraud zasnęła już głębokim snem owinięta szczelnie wysoką pierzyną, siadał przy stole w pokoju jadalnym w ich mieszkaniu przy Kohlenmarkt i rozsunięty zasłony, patrzył na światła ulicznych latarni, które tworzyły na bruku mozaikę jasnych plam i mrocznych cieni kryjących się obok. Patrzył na oświetlony budynek teatru, zamknięty o tej porze na głucho, patrzył na spóźnionych przechodniów, których cienie, nerwowe i migotliwe, błąkały się po ścianach kamienic, jakby chciały oderwać się od swych właścicieli i umknąć przyznając sobie prawo do własnego życia, i na przejeżdżające czasem samochody zagubione w ciszy miasta, które zapadło już w sen.

W takich chwilach zastanawiał się nad tym, gdzie minęło jego życie, gdzie podziały się te wszystkie lata, tak wypełnione pracą, życiem z Waltraud, wszystkimi tymi drobnymi czynnościami, które sprawiały, że nie zauważał mijającego czasu. Lata mijały, świat się zmieniał, a on ciągle trwał, pełen przeświadczenia, że nic nigdy się nie zmieni. Niemal każdego dnia obcował ze śmiercią, wzywany na miejsca morderstw, samobójstw, bójek i wypadków. W aktach zamknął setki historii ludzi, którzy pewnego dnia po prostu zniknęli z życia. Jego zadaniem było odtworzenie momentu, w którym przyszło im na ten niedoskonały, ale przecież jedyny świat spojrzeć po raz ostatni.

A jednak on sam, otoczony zewsząd cudzą śmiercią, o własnej nigdy nie myślał. O tym, że i jemu przydarzy się ta chwila, kiedy nic już nie będzie można zmienić, zacząć od nowa. Tym bardziej bolesne okazało się przejście na emeryturę, przyznanie się do tego, że jego czas już minął, że nie będzie kolejnych spraw do rozwiązania i kolejnego sukcesu.

Bo kiedyś Franz Thiedtke słynął przecież ze swojej skuteczności. Komisarz Franz Thiedtke był niegdyś w gdańskiej policji symbolem skuteczności i sprawnego działania. Był autorytetem. Ale zbyt zadowolony

z tego, co udało mu się osiągnąć, nie zauważył, że oto przyszły nowe czasy, w których on nie będzie już uczestniczył.

Zepchnięty na margines policyjnego świata, który zapełnili wysocy, płowowłosi młodzieńcy z Berlina i Norymbergi, Franz Thiedtke z niecierpliwością wypatrywał pierwszego września, choć z obawą myślał o życiu pozbawionym pracy. Ostatnie dni miał spędzić spokojnie, porządkując to wszystko, co pozostawi po sobie, zamknięte w salach archiwum.

Tymczasem sprawa Marianny Walewicz jeszcze raz zelektryzowała jego policyjną duszę. Oto, ciesząc się ze swobody, jaką dał mu status odchodzącego na emeryturę reliktu mijającej epoki, mógł zająć się nią bez obawy o zewnętrzne naciski. Zdawał sobie sprawę, że wkracza na niepewny grunt, nie wiedział bowiem, co kryło się za sprawą, do której włączyła się policja polityczna, ale nie obawiał się już ani von Moltkego, ani samego doktora Troegera, który w ostatnich dniach i tak wydawał się zajęty innymi sprawami.

Rozmyślając o swoim umykającym życiu i o babce Geszkau, której życie dawno zniknęło z pamięci wszystkich prócz jego własnej, dotarł do drogi prowadzącej do leśnej restauracji Grosser Stern. Szosa wiała się coraz wyżej i wyżej wzdłuż malowniczych wąwozów, które ciągnęły się między łagodnymi wzniesieniami, otaczającymi Zoppott. Lasy wokół były gęste, ciągle zielone, choć czuło się już w powietrzu schyłek lata.

Przy restauracyjnych stolikach, które ustawiono przed drewnianym budynkiem opasanym przeszkloną werandą, siedziało kilka osób.

Kelnerka ubrana w bawarski strój kręciła się niespiesznie, roznosząc tacę z pękatymi kufkami piwa. Chodziła między stolikami z profesjonalnym wdziękiem i gawędziła z klientami, przed którymi stawiała kufle.

Franz Thiedtke usiadł niedaleko wejścia na werandę, pod drzewem, z którego spadały powoli pierwsze żółknące liście. Zamówił szklanę lemoniady i lody czekoladowe. Ciągłe czuł tę śmieszna nostalgię, którą wywoływały myśli o babce, i nie mógł odmówić sobie drobnej przyjemności, która plątała się w jego wspomnieniach.

– Pracuje tu pani codziennie? – zapytał, gdy kelnerka stawiała przed nim szklanę z lemoniadą.

– Codziennie – przytaknęła kobieta, strzepując ze stołu kilka opadłych liści.

– Niedużo dziś gości. Zawsze tak jest czy to wyjątkowo?

– Różnie, proszę pana.

– Bo wie pani, ja szukam pewnej damy, wiem, że ona była tutaj tydzień temu. To był wtorek. Może będzie pani pamiętać?

– A pan kto jest? – Kelnerka odsunęła się z niesmakiem i przyjrzała mu się krytycznie.

– Wolałbym nie ujawniać swojej tożsamości, proszę pani. – Franz Thiedtke spuścił znacząco głowę.

– A, rozumiem. – Kelnerka roześmiała się, właściwie zachichotała cicho, mrugając porozumiewawczo, jakby chciała dać do zrozumienia, że owszem, ona takie sprawy dobrze rozumie. – A jak wyglądała ta dama, której pan szuka?

– Wysoka, szczupła, długie, jasne włosy, jasna cera. Elegancka dama. Miała na sobie białą sukienkę, a na szyi złoty medalion.

– Biała sukienka i złoty medalion. – Zastanowiła się kobieta. – Tak, chyba sobie przypominam. Nie, ona miała na sobie biały garnitur.

Tak, biały garnitur. Bardzo elegancko wyglądała. Jak gwiazda filmowa. Na pewno miała złoty medalion.

– Czy to ona? – Komisarz sięgnął po zdjęcie.

Kelnerka wzięła je w dłonie i przyjrzała się uważnie.

– Tak, to na pewno ona. Wyglądała zupełnie, jak na tym zdjęciu – powiedziała z przekonaniem. – Tylko nie wiem, czy to było we wtorek.

Ale ją pamiętam. Spotkała się z panem oficerem. Oboje przyjechali własnymi autami. Usiedli przy tamtym stoliku. – Wskazała najbardziej odległe miejsce na restauracyjnej polanie.

– Byli bardzo wzburzeni – ciągnęła. – Siedzieli tu jakiś czas, potem ten pan oficer zostawił mi hojny napiwek i sobie poszli.

– Razem? – Franz Thiedtke schował fotografię do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Nie, każde odjechało swoim autem.

– I mówi pani, że to był oficer?

– Tak, no, był w mundurze, a nie sędzę, żeby taka elegancka dama spotykała się ze zwykłym szeregowcem. – Kelnerka wzruszyła ramionami w bufiastej bluzce.

– Przypomina pani sobie, jak wyglądał?

– No, wie pan. Oni teraz wszyscy tacy przystojni, a w mundurach to jeszcze przystojniejsi. – Rozmarzyła się kelnerka. Przymknęła oczy, a na pełnych policzkach pojawił się delikatny rumieniec. – Przepraszam, muszę już iść.

Ze stanu krótkotrwałego zapomnienia wyrwały ją krzyki grupy Jungvolku, która wmaszerowała na polanę wprost z lasu otaczającego restaurację Grosser Stern. Choć chłopcy zajęli tylko kilka stolików, ich hałaśliwa obecność wypełniła polanę po brzegi. Kelnerka musiała przyspieszyć tempo swej pracy, a z wnętrza restauracji wybiegł drugi kelner, niosąc wielką tacę, na której podskakiwały, chlupocząc, szklanki wypełnione lemoniadą.

Franz Thiedtke zjadł powoli lody czekoladowe, myśląc o tym, jak upływ czasu dodawał smakowi lodów z przeszłości tej mitycznej mocy, której brakowało współczesnym odpowiednikom, czyniąc z nich tylko cień dawnej szczęśliwości, i próbując umościć się na niewygodnym, ogrodowym krześle, popijał zimną lemoniadę. Kiedy opróżnił szklanę, zostawiając na dnie kilka kropel mętnego osadu, zawołał kelnerkę i sięgnął do kieszeni po portfel.

Nagle, wśród śpiewu ptaków krążących wokół stolików, odezwał się wysoki, cienki głosik jednego z chłopców, który zaintonował marsz Die Fahne hoch, die Reihen fest geschlossen, i nad okolicą złowrogo zawisły słowa Horsta Wessela. Chłopcy, którzy natychmiast umilkli, przerywając przepychanki i pokrzykiwania, przyłączyli się do śpiewu i wstali wyciągając ręce w faszystowskim pozdrowieniu.

Franz Thiedtke zauważył, że goście restauracji siedzący przy sąsiednich stolikach także przerwali rozmowy, unieśli się z krzeseł i dołączyli do chłopców. Kelnerka zmierzająca w stronę stolika, przy którym siedział, stanęła w pół kroku i uczyniła to samo. Komisarz, choć nie lubił propagandowych gestów czyniących z Niemców mechaniczne lalki automatycznie reagujące na zaszczerpione w nich bodźce, pomyślał o Waltraud i mieszkanku przy Hermanshöferweg w Langfuhr, o emeryturze i własnym spokoju, i także wstał, choć rękę unióśł niedbale, bo nie lubił przesady, a tym właśnie wydało mu się tkwienie w środku lasu na wzgórzach otaczających Zoppott ze sztywno wyprostowaną ręką uniesioną przed siebie, jak uczynili to wszyscy wokół.

Miał wrażenie, że pieśń, którą śpiewali chłopcy z Jungvolku, trwała i trwała, duch Horsta Wessela unosił się nad lasami porastającymi wzgórza otaczające Zoppott coraz bardziej znudzony własnymi słowami, a on, Franz Thiedtke odchodzący właśnie z gdańskiej policji na zasłużoną emeryturę,

czuł odpływającą z uniesionej dłoni krew. Jeszcze krótka chwila, jedna zwrotka z refrenem, i ręka opadłaby pozbawiona czucia. W końcu jednak chłopcy umilkli i świat, zatrzymany na chwilę dźwiękami z dziecięcych gardeł, znowu ruszył naprzód.

Komisarz zapłacił kelnerce, zostawiając spory napiwek, i wrócił do opla zaparkowanego w cieniu drzew. Zanim przekręcił kluczyk w stacyjce, wyjął z kieszeni kamizelki zegarek i ocenił, że pozostało mu dość czasu, by wybrać się jeszcze na krótki spacer mołem w Glettkau.

ROZDZIAŁ 12

Milczenie za milczenie. Odpuszczenie za zapomnienie. Lotte wciąż słyszała słowa Heinricha Auerbacha, czuła na swoim policzku jego oddech przesiąknięty machandlem. Gdy przymykała oczy, pod powiekami pojawiała się jego doskonała, aryjska twarz z sarkastycznym uśmiechem znaczącym kąciki ust.

Lotte bała się takich idealnych twarzy, odkąd chłodna twarz Marianny okolona złotymi lokami spiętymi diamentową spinką nad łagodnie sklepionym czołem nabrała złowrogich, semickich rysów.

Idealnie aryjska twarz Marianny była jej przepustką do lepszego świata, solidnym zapewnieniem właściwych korzeni, niepisanym manifestem wartości przejętych od germańskich przodków.

Lotte przekonała się, że idee pana Rosenberga, który cechy biologiczne uważał tylko za zewnętrzny przejaw ducha rasy, to fałszywe założenie, któremu kłam zadawał przecież i sam Führer, dużo mniej aryjski w swym wyglądzie na przykład od Reinharda Heidricha, o którym krążyły złośliwe plotki, że jest Żydem, choć prezentował sobą taki właśnie idealny nordycki typ. Lotte wiedziała, że wygląd nie mógł być dostatecznym dowodem pochodzenia. Wiedziała, że ci, którzy otrzymali przywilej posiadania go, mogli w rzeczywistości okazać się oszustami wykorzystującymi to, co niesłusznie dostali od łaskawego losu, by ukryć swe prawdziwe pochodzenie. Tak jak zrobiła to Marianna.

Przez te wszystkie lata, które minęły od ich rozstania, Lotte chciała, by Marianna przestała żyć, by przestała oddychać tym samym, gdańskim

powietrzem, by ona, Lotte Meier, nie musiała dłużej obawiać się, że ujrzy na jednej z gdańskich ulic jej czerwonego horcha. Bała się, że w końcu ktoś kiedyś odkryje, co łączyło się z jej pracą u Marianny, a cały ten złudny domek z kart, który zbudowała na chwiejnym fundamencie partyjnej skwapliwości, runie w ciągu kilku chwil.

Jednak od momentu, gdy ujrzała zmasakrowane zwłoki na molo w Glettkau, nie czuła radości. Raczej dziwną pustkę, która pojawiła się z myślą o utracie punktu życiowego odniesienia, którym przez lata stała się dla niej Marianna. Była mentorką, nauczycielką, radosną czarodziejką wprowadzającą w życie, a potem przeobraziła się w ciągły wyrzut sumienia, w moralny wrzód, którego nie mogła usunąć ani działalność Lotte w Bund Deutscher Mädel^[10], ani jej partyjna nadgorliwość.

Dotąd swą siłę do zmian, które wprowadziła w życiu, Lotte czerpała z nienawiści do Marianny. Moralną nieugiętość, surową dyscyplinę i fizyczną siłę przeciwstawiała jej dekadencji, próżności i semickiej chwiejności charakteru. Swoje oddanie partii i Führerowi jej egoistycznemu zapatrzeniu w samą siebie.

Teraz kiedy nie było już Marianny, Lotte poczuła nagły brak sensu we wszystkim, co robiła. Czuła niepokój i zastanawiała się, jak było możliwe to, że ktoś tak dla niej znaczący zniknął tak niepostrzeżenie. Po raz pierwszy Marianna nie zaprzętnęła uwagi wszystkich wokół. Po raz pierwszy jej nagłe pojawienie się w słonych wodach zatoki nie wywołało wrażenia, jakie wywierała pojawiając się na balu gdańskiego senatu lub w drzwiach każdej restauracji w mieście. Była osobą znaną, a jednak Lotte nie znalazła wzmianki o jej śmierci w żadnej gdańskiej gazecie. Miała wielu przyjaciół, a jednak zdawało się, że nikt jej nie opłakiwał.

Zniknęła bezszelestnie, jak biedak pozbawiony rodziny, o którego nikt nie dba, całe życie pozostawiając własnemu losowi. Dlatego Lotte

postanowiła, że z pomocą komisarza Thiedtke dotrze do prawdy, odpowiadając na pytanie, co naprawdę przydarzyło się Mariannie w ostatnich chwilach jej życia. Przyrzekła sobie, że dowie się tego, co sam Sturbannführer Heinrich Auerbach chciał ukryć przed światem.

Przed drzwiami gabinetu, w którym urzędowali komisarz Franz Thiedtke i jego zastępca Joseph Krupke, Lotte stanęła trzy minuty przed czasem. Lubiła precyzyjną punktualność, więc postanowiła poczekać, aż na małym zegarku oplatającym skórzanym paskiem przegub jej dłoni minie szesnasta. Powolne uderzenia obcasów o kamienną posadzkę odbijały się głośnym echem od wysokich ścian, wędrując aż do krzyżowego sklepienia zamykającego przestrzeń korytarza. Czas mijał powoli. Śledziła wskazówki odmierzające kolejne sekundy. Jedna sekunda, jeden krok. Jedna sekunda, jeden krok. Czują zdenerwowanie.

Zastanawiała się, co usłyszy od komisarza i jednocześnie bała się, czy może mu zaufać. Wiedziała jednak, że było już za późno, by się wycofać, pozostawało więc tylko wierzyć w to, co mówiono o komisarzu. I czekać.

Minęła szesnasta. Poprawiła warkocz i wyciągnęła rękę, by zapukać do drzwi.

– Panno Meier! Panno Meier! – usłyszała za sobą zdyszany głos komisarza.

Odwróciła się. Franz Thiedtke, trzymając w dłoni kapelusz, z twarzą świeżo zaróżowioną od sierpniowego słońca, szedł korytarzem w jej stronę.

– Witam, panno Lotte! – uściśnął jej dłoń i białą chusteczką otarł pot z czoła. – Chciałbym spotkać się z panią poza prezydium – powiedział niemal szeptem. – Jest taka mała restauracja w podziemiach przy Jopengasse. Nazywa się Tiefer Keller. Jopengasse 15. Wie pani, gdzie to jest?

– Tiefer Keller? – powtórzyła i potrząsnęła przecząco głową.

– Jopengasse 15 – powtórzył komisarz. – Znajdzie pani. Spotkajmy się tam za pół godziny.

Restauracja Tiefer Keller znajdowała się w piwnicy jednej z kamienic. Schodziło się do niej kamiennymi schodkami, wypolerowanymi tysiącami uderzeń stóp klientów, którzy zbierali się tu, by wypić kufel Jopenquella przywożonego w dębowych beczkach prosto z Langfuhr, gdzie w browarze przy ulicy Labesweg ważono je w ponurym budynku z czerwonej cegły. Wnętrze lokalu tonęło w półmroku, a twarze ludzi siedzących przy stołach z grubo ciosanego drewna rozmywały się w kłębach papierosowego dymu.

Lotte znalazła wolne miejsce w najbardziej oddalonym od wejścia kącie sali, z którego, skryta za filarem, mogła obserwować to, co działo się wokół. Zamówiła szklanekę lemoniady Brause i nerwowo spoglądała na zegarek, obracając go wokół nadgarstka. Komisarz Thiedtke zjawił się nim ocieężała kelnerka w przekrzywionym czepku zdążyła przynieść jej zamówiony napój.

Komisarz zdjął kapelusz, odłożył go na bok, chustką otarł wilgotne czoło i poprosił o kufel gdańskiego piwa. Lotte próbowała zachować niewzruszony spokój, czuła jednak, jak drżą jej kolana.

– Panno Meier, rozejrzałem się trochę w wiadomej nam sprawie – odezwał się komisarz, gdy kelnerka postawiła przed nim kufel. Biała piana spłynęła wąską stróżką na drewniany blat stołu. – Powiedziała pani, że panna Walewicz miała mercedesa?

– Tak. Służąca powiedziała mi, że sprzedała horcha i kupiła mercedesa.

– I jest pani tego pewna?

– Tak, panie komisarzu. Przecież nie wprowadzałabym pana w błąd.

– Oczywiście, oczywiście.

– Czy znaleziono jakiegoś porzuconego mercedesa, panie komisarzu?

– Nie, panno Meier, nie znaleziono. Tak pytam, żeby być pewien marki.
– Komisarz wypił duży łyk Jopenquella. – Czy wie pani, kto zawiadomił rodzinę? Ktoś zadzwonił albo poszedł do mieszkania Walewiczów?

– Miał to zrobić Obersturmführer von Moltke, tego samego dnia, kiedy znaleziono zwłoki na molo. Pamięta pan. Ale Sturmbannführer Auerbach powiedział, że to za niego załatwi. Podałam mu adres zamieszkania państwa Walewiczów i z tego, co wiem, to zawiadomił służącą i zabrał ją, żeby zidentyfikowała zwłoki.

– Pani także je identyfikowała, prawda?

– Tak. – Lotte spuściła wzrok. – Choć tak naprawdę to zidentyfikowałam ją po tym złotym medalionie. Widział pan jej ciało...

– Tak, widziałem, oczywiście. To musiał być dla pani szok, zobaczyć dawną znajomą w takim stanie. – Komisarz znowu pociągnął łyk piwa.

– Panie komisarzu, ja staram się nie ulegać emocjom w czasie służby. – Lotte nagle wyprostowała się, jakby przypomniawszy sobie o fasadzie, którą tak skrupulatnie tworzyła.

– Tak, tak. Jest pani bohaterką nowych czasów. – Komisarz uśmiechnął się lekko. Lotte poczuła, że oblewa się rumieńcem. – No, no, proszę się nie gniewać. Ja jestem już stary i nie rozumiem tych nowych czasów. Nie rozumiem też, dlaczego ktoś miałby z premedytacją zabić Mariannę Walewicz. Dla zysku, żeby ją okraść, zabrać samochód, to owszem. Ale pani chyba uważa, że ktoś zrobił to celowo. Czy pani coś wie o panie Walewicz? Coś, co pomogłoby znaleźć motyw?

– Ja? Nie, panie komisarzu. – Lotte zaprzeczyła gwałtownie. – Może ktoś napadł ją na plaży?

– Byłem dziś w Glettkau. Chciałem sprawdzić, czy nie ma tam jakichś śladów, które mogłyby naprowadzić na trop tego, co się stało.

Zdaje się, że pani przełożony Obersturmführer von Moltke nie dopełnił tego podstawowego elementu dochodzenia?

– Obersturmführer razem ze Sturmbannführerem Auerbachem stwierdzili, że to był wypadek. Utonięcie. Tak napisał lekarz, który robił sekcję zwłok.

– Pani widziała raport z sekcji?

– Nie, mówił mi Sturmbannführer Auerbach.

– Kiedy panią przesłuchiwał?

– Kiedy składałam zeznanie, panie komisarzu.

Lotte czuła się coraz bardziej zdenerwowana. Miała wrażenie, że komisarz postanowił ją przesłuchać, chociaż to ona chciała przecież rozwiązania tej sprawy. Zaczęła zastanawiać się, czy słusznie zrobiła, udając się ze swoimi wątpliwościami do Franza Thiedtke.

– Tak, czytałem raport z pani zeznania. Czy pani wiedziała, że matka panny Walewicz była Żydówką?

Lotte niemal podskoczyła na twardej ławce.

– Nie, panie komisarzu – powiedziała twardo. – Tak jak zeznałam.

Nie wiedziałam, że pani Walewicz jest Żydówką. Nie pracowałabym tam jako asystentka panny Walewicz, gdybym wiedziała, panie komisarzu.

– No, tak, oczywiście, panno Meier. A kiedy pani zaczęła tę pracę?

– Na początku trzydziestego trzeciego. Zostałam polecona pannie Walewicz.

– I pracowała pani do...

– Do trzydziestego piątego.

– A może mi pani powiedzieć, dlaczego przestała pracować u panny Walewicz?

– Panna Walewicz nie potrzebowała więcej moich usług.

Zastanawiała się, czy nie wyjechać do Berlina. W Berlinie mieszkała jej matka, a ona ukończyła tam Friedrich-Wilhelms-Universität. Uwielbiała to miasto, a o Danzig mówiła, że to prowincja. Tak też twierdziła jej matka.

– Pani ją poznała?

– Matkę panny Marianny? Nie, oczywiście, że nie.

Lotte miała wrażenie, że w piwnicy Tiefer Keller zrobiło się duszno. Czowała cienką strugę potu spływającą po plecach.

– Panno Meier, przepraszam, że tak panią męczę pytaniami – powiedział Franz Thiedtke pojednawczo. – Ale skoro zwróciła się pani do mnie, żeby sprawdzić, czy nie stało się coś ponad to, co ustalił pani przełożony, to chciałbym dowiedzieć się możliwie najwięcej o panie Walewicz.

– Tak, rozumiem, panie komisarzu.

– I nadal chce pani, żebym sprawdził, czy nie stało się nic więcej?

– Tak. – To nie zabrzmiało przekonująco. Lotte powtórzyła więc dobitniej. – Tak, panie komisarzu. Jej rodzina zachowuje się dziwnie.

– Czy pani coś podejrzewa?

– Ja? Nie. Ale wydało mi się to dziwne.

– Panno Meier, czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? Coś, o czym powinna mi pani powiedzieć?

– Ja? Co? Nie, skądże. – Potrząsnęła przecząco głową i spuściła wzrok, wbijając go w szklankę lemoniady Brause.

Komisarz wychylił do dna kufel piwa i odstawił go na bok.

– Panno Meier, nie mam na razie żadnych wskazówek, które potwierdziłyby pani przypuszczenia, że panna Walewicz... hm, nie utopiła się... – powiedział, wycierając usta białą chusteczką – Ale rozejrzę się jeszcze, jeśli pani sobie tego życzy. Wie pani, odchodzę za dwa dni na emeryturę i nie mam już nic do roboty.

– Dziękuję, panie komisarzu. Jeśli tylko będę mogła panu jakoś pomóc...

– Tak, oczywiście. Jeśli na przykład przypomni pani sobie coś, co mogłoby wskazać motywy, dla których ktoś mógłby chcieć pomóc pannie Walewicz odejść z tego świata...

– Natychmiast pana zawiadomię, panie komisarzu.

– Najbliższe dwa dni jestem jeszcze obecny w prezydium policji, więc wie pani, gdzie mnie szukać.

Komisarz wstał, skłonił się lekko, po czym nałożył kapelusz i pożegnał Lotte, która odprowadziła go wzrokiem, aż zniknął na schodach prowadzących na ulicę.

Zamówiła jeszcze jedną szklankę oranżady i wyjęła z torebki papierośnicę. Włożyła w metalową firkę papierosa i wsunęła ją lekko w kącik ust. Zapałka trzasnęła w jej białych dłoniach. Wciągnęła głęboko w płuca dym z papierosa. Przyglądała się chwilę wąskiej smużce, którą wypuściła z lekko uchylonych ust. Dym uleciał pod niskie, krzyżowe sklepienie i zmieszał się z dymem wydmuchiwanym przez klientów siedzących przy innych stolikach.

Przymknęła oczy i uśmiechnęła się do siebie. Znowu poczuła się, jak ktoś, kim kiedyś przez chwilę chciała być, ktoś, w czyjej skórze tak dobrze się poczuła, choć później znienawidziła siebie za to szczególne uczucie. Co ona sobie wtedy myślała?

Wyobrażała sobie, że jest współczesną Matą Hari, femme fatale, kobietą szpiegiem, która przeżywa przygodę swojego życia u boku mężczyzny, który tym życiem zawładnął?

Tamtych kilkanaście miesięcy żyła z ciągłym poczuciem zagrożenia, które przyprawiało każdy dzień o ekscytujący dreszcz emocji. Bała się, że zostanie zdemaskowana, że Marianna odkryje jej obłudną dwulicowość, a

ojciec i jego partyjni koledzy dowiedzą się o jej związku z Henrykiem. Jednocześnie miała wrażenie, że w końcu udało się jej przekroczyć tę niewidzialną granicę między zaułkiem Schusterhoff a całym tym bogatym miastem, które znajdowało się zawsze na wyciągnięcie ręki. Przez ulotną chwilę była przekonana, że odnalazła swoje miejsce w tym lepszym świecie, który wcześniej oglądała tylko w odbiciach sklepowych witryn, tęsknie spoglądając na krążące w nim kobiety i towarzyszących im dżentelmenów.

Z dumą prostowała plecy, widząc w szybach eleganckich sklepów przy Langegasse kobietę, którą się wtedy stała, wysoką, sprężystym krokiem przemierzającą świat leżący u jej stóp, w powiewnej sukience z dekoltem odsłaniającym więcej, niż pozwoliłaby na to jej ewangelicka skromność, którą odrzuciła jednym zdecydowanym ruchem dłoni o czerwonych, wypiełgnowanych paznokciach. To wtedy nauczyła się palić papierosy w fifce, którą wystudiowanym, zmysłowym ruchem umieszczała w pomalowanych szminką ustach, czekając, aż pojawi się przed nią ręka Henryka podająca jej ogień.

Henryk. To on sprawił, że poczuła się kobietą, to dla niego malowała usta i paznokcie, dla niego ścięła włosy, które poddawała trwałej ondulacji ołowianymi wałkami przyprawiającymi ją swoim ciężarem o ból głowy, trwający nawet kilka kolejnych dni. Dla niego odrzuciła to wszystko, czego w domu uczył ją ojciec. Nie zrobiła tego otwarcie, nie miała odwagi, by sprzeciwić się Georgowi, jednak z upływem czasu to podwójne życie i skrajne wartości panujące w każdym z dwóch wcieleń męczyły ją coraz bardziej, przyprawiając w końcu o swoistą schizofrenię, rozdwojenie osobowości, z których każda zdominowana była lękiem, by nie zostać zdemaskowaną przez tę drugą stronę.

Jednak przez te miesiące, gdy była związana z Henrykiem, gdy każda jej myśl krążyła wokół niego, czuła się lepiej niż kiedykolwiek w życiu, ciągle podekscytowana, niesiona tą ekscytacją przez kolejne dni i tygodnie, pozbawiona tchu, wciąż czujna, by nie przeoczyć momentu zdemaskowania, obmyślająca słowa wyjaśnienia, a jednocześnie upajająca się poczuciem nieoczekiwanej wolności, jaką dała jej ta nerwowa konspiracja. Choć później uznała, że nie była wówczas w niczym lepsza niż ulicznice z Hakelwerku, które ubierały się krzykliwie, by zwrócić na siebie uwagę szukających ich towarzystwa mężczyzn.

Wiele razy zastanawiała się później, jak Henrykowi udało się ją przekonać, by szpiegowała Mariannę? Wiedziała, że nie musiał się bardzo wysilać, tak naprawdę poddała się bez większego oporu. Kupił ją swoją fantazją, niespotykaną w mieszczańskim Danzigu, kwiatami rzucanymi pod jej nogi z jadącego samochodu, orkiestrą, która w środku nocy zagrała tylko dla niej, wreszcie uporem i cierpliwością, z jakimi powtarzał to, co powiedział jej tamtego dnia w hotelu Hansa.

Szybko zaczęła kopiować notatki z polonijnych spotkań, które robiła dla Marianny, przeglądała wszystkie jej listy, nim wrzuciła je do skrzynek pocztowych, z czasem zaczęła też pisać sprawozdania z wszelkich mniej i bardziej oficjalnych spotkań, które odbywała u boku Marianny, podając listę nazwisk osób w nich uczestniczących, a nawet przytaczając całe ustępy rozmów, które toczyły się w ich trakcie.

Jako osobista asystentka bez przeszkód mogła kontrolować każdy dzień Marianny, przygotowując jej towarzyski kalendarz. Wiedziała, kiedy spotyka się z członkami Związku Polaków, a kiedy wizytuje ochronkę Macierzy Szkolnej, kiedy odwiedza dentystę pana Filarskiego, a kiedy z panem prokurentem The British and Polish Trade Bank z Danzigu wybiera nuty na próby chóru Lutnia.

Początkowo Lotte nie wierzyła słowom Henryka, nie brała poważnie tego, co mówił o Mariannie. Patrzyła na jej bladą twarz złotowłosego anioła i w myślach zaprzeczała jego pomówieniom, temu, że – jak twierdził – Marianna przekazuje Niemcom informacje o tym, czego dotyczą jej prywatne rozmowy z gdańskimi Polakami. Zresztą Lotte nie uważała za godny potępienia fakt współpracy z III Rzeszą, już bardziej naganne wydawało się jej kolaborowanie z Polakami, którego sama się dopuszczała, wszystko to jednak miało dla niej wymiar młodzieńczej zabawy, szalonej przygody, której bohaterką stała się dzięki Henrykowi.

Nie interesowała się polityką, choć Georg Meier coraz więcej dyskutował o niej od czasu, gdy jego partia zwyciężyła w wyborach do Volkstagu, jednak z ulgą słuchała prezydenta Rauschninga, który głosił pojednanie ze stroną polską, bo jego słowa znaczyły, że to, co mówił Henryk, było tylko przesadą polskiego fantasty. Początkowo uważała nawet, że Henryk to wszystko wymyślił. Lubiła bawić się myślą, że zrobił to tylko po to, żeby zbliżyć się do niej, Lotte Meier, prostej, niemieckiej dziewczyny z Danzig, która stanęła nagle oko w oko ze swoimi ambicjami oderwania się od portowej przeszłości Georga, od starego wózka Liselotte terkoczącego na kamiennych kostkach miejskiego bruku i od polci mięsa dyndających nad jej głową w sklepie pana Thiele.

Obracała się wokół własnej osi przed wytartym kryształowym tremo, które zajmowało honorowe miejsce w halu mieszkania pani Schulze, nowej sąsiadki z Ring Strasse, i uśmiechała się do własnego odbicia, które nagle nabrało blasku i lekkości. Pani Schulze klaskała w dłonie, śmiejąc się razem z nią i bezustannie dopytywała, czy Lotte promienieje z powodu tego miłego Lothara Topolskiego, który ciągle kręcił się pod ich oknami.

Lotte wzruszała tylko ramionami, bo cóż ten Lothar, pomocnik sklepowy w składzie kolonialnym przy skrzyżowaniu ulic Bärenweg z

Posadowskiweg, tam gdzie pewnego lipcowego dnia rozpedzony na swym nowiutkim motocyklu NSU, spieszący się na partyjne zebranie SA-man rozjechał przechodzącą przez ulicę do sklepu kolonialnego Ruth Birenbaum, cóż więc ten nieopierzony młokos z ledwie wyklutym zarostem na bezbarwnej twarzy, mógł ją, kobietę w pełni rozkwitłą, interesować.

Jednak z czasem Lotte zaczęła odczuwać niepokój. W tak starannie przygotowywanym i kontrolowanym przez nią planie Marianny zaczęły pojawiać się luki, których ona, Lotte Maier, jej skrupulatna asystentka, nie potrafiła wytłumaczyć.

Któregoś dnia poszła więc za Marianną, kazała wieźć się taksówką za jej horchem, nad którym unosił się szyfonowy szal Marianny owinięty wokół jej białej szyi. Na tle szeregowych domów pana Bielefelda, ustawionych jasnymi, pozbawionymi wszelkich ozdób fasadami wzdłuż ulicy prowadzącej nad samo morze, czerwona bryła samochodu Marianny wyglądała niczym partyjne flagi, które zalały miasto po majowych wyborach.

Lotte poznała już tę nową część miasta, kilka kroków dalej, wzdłuż pasów startowych lotniska, ciągnęła się Ring Strasse, przy której od kilku miesięcy mieszkała z Liselotte i Georgiem. Jeździła czasem tramwajem linii numer pięć, który z Ostseestrasse skręcał koło Christuskirche i mijając Max Halbe Platz, gdzie jego droga krzyżowała się z linią numer dziewięć przeznaczoną dla spragnionych nadmorskiego słońca gdańszczan, dowoził pasażerów aż do samej Ring Strasse.

Jednak tamtego dnia taksówka nie skręciła, ale pojechała dalej w stronę Brösen. To tam, na tarasie Strandhalle, przy stoliku z widokiem na zatokę i zatłoczone molo, Lotte po raz pierwszy ujrzała Mariannę z nieznanym sobie wówczas mężczyzną.

ROZDZIAŁ 13

Lotte nie od razu powiedziała Henrykowi o spotkaniu Marianny w Brösen. Choć wydawało się jej tajemnicze, może nawet zakazane, skoro ona nic o nim nie wiedziała, ale wiodło to raczej jej rozmarzone myśli w stronę zakazanego romansu, który Marianna ukrywała przed innymi z sobie znanych powodów, niż w kierunku szpiegowskiej działalności, o którą oskarżał ją Henryk.

Może chodziło o mezalians, choć Marianna nie przejmowała się zdaniem postronnych ludzi, a może nie chciała, by o tym związku dowiedział się jej ojciec. Jakkolwiek było, Lotte stworzyła w wyobraźni romantyczną historię skrywanego uczucia, jakie sama przeżywała. To jeszcze bardziej zbliżyło ją do Marianny, nadając jej cech bardziej ludzkich, bo Lotte, mimo pozornej zażyłości z pracodawczynią, obdarzyła ją mocą niemal nadprzyrodzoną, tak jak czyniły to nieopierzone uczennice, idealizujące piękną wychowawczynię.

Niemal wszystkie pieniądze, które zarabiała szpiegując Mariannę, przeznaczała na taksówki, którymi ją śledziła, bo Marianna zawsze jeździła swoim horchem, a Lotte nigdy nie wiedziała, gdzie odbędzie się kolejne spotkanie. Nie chciała, by Henryk płacił jej za przekazywane informacje, ale on upierał się, że tylko w ten sposób może wynagrodzić jej działalność, nie narażając się na zarzut wykorzystania jej uczuć w stosunku do siebie.

Czasem Marianna jechała do Brösen, czasem spotykała się w kawiarni Renk w małym domku z czerwonej cegły z pasiastą marikizą od frontu w

Heubude, czasem wreszcie w zagubionej w sopockich lasach restauracji Grosser Stern, gdzie Marianna omal nie zobaczyła śledzącej ją Lotte.

Kiedy dni zrobiły się chłodniejsze, a podmuchy wiatru znad zatoki stawały się coraz bardziej przejmujące, Marianna zniknęła w hotelu Nötzels w Glettkau, nieświadoma tego, że całkiem niedaleko od tego miejsca przyjdzie jej ostatni raz spojrzeć na świat, który kochała w sposób zachłanny i nieustępliwy, i miasto, uważane przez nią za nudną prowincję, na którą skazało ją miejsce urodzenia i lojalność wobec ojca.

Kiedy na sezon zimowy zamknięto sopocką willę Walewiczów, Marianna wślizgiwała się do niej czasami, by przyjąć tajemniczego mężczyznę bez obecności pokojówki czy niepokojących ją telefonów.

Kiedy Henryk pytał Lotte o nowe zdarzenia w życiu Marianny, o spotkania z ludźmi, których dotąd nie widywała, kręciła tylko przecząco głową, kładąc przed nim zapiski z oficjalnych spotkań i przytaczając treść listów wysyłanych przez Mariannę za jej pośrednictwem.

Lotte spotykała się wówczas z Henrykiem w hoteliku Seffers w Neufahrwasser, zawsze w skromnym pokoju z porcelanową umywalką przytwierdzoną do pomalowanej na biało ściany. Ciągłe pamiętała plusk ciężkich kropli, które uderzały o dno wielkiej muszli, w ciszy nocnej mieszając się z syrenami statków stojących na redzie.

Z okien pokoju rozciągał się widok na przystań. Odpływały z niej promy do położonego po drugiej stronie kanału Weichselmünde i dalej koło doków stoczni Schichaua, gdzie wielki żelazny żuraw, przez robotników nazywany familiarnie Der Grossvater, dominował nad panoramą miasta, aż do samego Danzig.

Henryk przyjeżdżał teraz bardzo często. Mieszkał niedaleko od Danzig, w polskim Brombergu, który nazywał Bydgoszczą. Lotte zaśmiewała się do łez, kiedy wymawiał tę nazwę, szeleszcząc i świszcząc, jak stary parowóz.

Kiedy ona próbowała naśladować wydawane przez niego dźwięki, twarz Henryka aż czerwieniała z radości, a on sam zasłaniał jej usta dłonią, krzycząc, by przestała profanować jego delikatne polskie uszy kanciastą niemiecką wymową.

Wtedy ona trochę się dąsała, bo w głębi serca czuła wyrzuty sumienia, które wywoływało to podkreślanie narodowości, jakby Henryk uważał, że bycie Niemcem było czymś gorszym niż bycie Polakiem, a przecież ona, by być z nim, porzuciła wszystkie przesady, które w domu zaszczepił jej Georg, bo ojciec w swoim mundurze SA, paradujący po ulicach Danzig z Mein Kampf pod pachą, czytujący w niedzielne poranki „Der Stürmer” i rozrzucający ulotki z chybotających się platform partyjnych ciężarówek, które krążyły po mieście w trakcie sobotnich agitek, uważał, że bratanie się z Polakami było prawie tak niebezpieczne, jak zbliżanie się do Żydów.

Lotte nie próbowała ojcu niczego wyjaśniać ani tłumaczyć. Pochylała tylko głowę w milczeniu, gdy przy niedzielnym obiedzie wytykał jej pracę u Marianny.

– Polka! Polka! Moja córka pracuje u Polki! – powtarzał, rozgniatając widelcem kartofle. – Zobaczysz! Jeszcze ona będzie pracować u ciebie!

– Daj spokój, Georg – uspokajała go matka. – Lotte dostaje za tę pracę dobre pieniądze, a poza tym mówiłam ci tyle razy, że matka panny Walewicz jest Niemką.

– Ale zeszmaciła się z Polakiem! – Georg unosił widelec oklejony resztkami kartofli, by podkreślić swoje słowa. – Berlińska panienska!

Tacy, jak ona, doprowadzili ten naród do zmurzynienia. I teraz my musimy wprowadzić moralną odnowę, Liselotte! – Pukał palcem w swoją pierś tak zapamiętale, że na jego koszuli pozostawało pomięte wgniecenie. – A gdyby nasza córka nie była taka uparta, to ja załatwiłbym jej jakąś przyzwoitą posadę.

Zawsze tak kończył, choć Lotte wiedziała, że mimo ambicji i planów ojca, jego pozycja w partii nie była znacząca, więc praca, którą zachwalał, ograniczyłaby się do liczenia partyjnych składek lub buchalterii w warsztaciku jednego z jego kolegów. A Lotte chciała przecież od życia więcej, chciała wszystko, chciała, by życie było szalone i piękne, nieprzewidywalne i niebezpieczne. Miała własne ambicje, choć jej plany zmieniały się z każdą wizytą Henryka.

Kiedy postanowił wynająć w Danzig mieszkanie, Lotte nie posiadała się z radości. Położona za kanałem Radaune uliczka Bischofsberg nie była zbyt reprezentacyjna. Obok schludnych, kilkupiętrowych kamienic stały tu stare, niskie rudery o małych, brudnych okienkach, w których pojawiały się zmęczone twarze o grubych rysach.

Lotte widziała zazdrosne spojrzenia śledzące ludzi na ulicy, zwykłych przechodniów, obwoźnych handlarzy, którzy po okolicy rozwozili warzywa i owoce, zabłąkanych w tej okolicy obcych.

Wiedziała, że tych, którzy skrywali się za brudnymi oknami, nie stać było na kupno czegokolwiek oprócz starych ziemniaków i brukwi.

Jednak mimo współczucia, bo ciągle pamiętała niedawne czasy w zaułku Schusterhof, odwracała głowę, gdy wypełzali ze swoich nor i wyciągali w jej stronę brudne dłonie prosząc o datek. Widywała ich później na skwerze przed Prezydium Policji, gdzie w ciepłe popołudnia pili najtańszą wódkę kupioną za wyżebrane pieniądze w sklepie kolonialnym Johannes Möllera.

Ulica Bischofsberg, choć położona kilka minut od centrum, była cicha i rzadko można było tu spotkać obcych, którzy zapuszczaliby się w te podejrzane rejony miasta. Nieczęsto widywano tu również samochody, każdego dnia o tej samej porze pojawiał się tylko konny beczkowóz z mlekiem, a kilka razy w tygodniu na nierówno ułożonej kostce brukowej

podskakiwał mały wózek szmaciarza, który swoje przybycie ogłaszał długim dzwonieniem.

Henryk wynajął dwupokojowe mieszkanie od frontu kamienicy pod numerem trzecim. Schludnie urządzone i czyste wyglądało tak, jakby nikt w nim nie mieszkał, bo Henryk z pedanterią dbał o porządek.

Lotte lubiła przychodzić tu rano, zanim rozpoczynała pracę dla Marianny. Po korytarzu rozchodził się zapach świeżych Knüppelchen, które chłopcy z piekarni wieszali w specjalnych woreczkach na klamkach drzwi wejściowych do mieszkań.

Kiedy Henryk golił się nad zlewem w kuchni, Lotte kroїła je na równe połówki i smarowała marmoladą z truskawek, którą kupowała po drodze w sklepie Artura Karstena. Jedli je potem, siedząc razem przy stole w pokoju i obserwując głowy przechodniów przesuwane się za oknem.

Szybko poznali sąsiadów, bo Henryk potrafił z każdym nawiązać szybki kontakt, rozmawiał z kapelmistrzem Czoską i fotografem Hoffmanem, żartował ze starszą panią Schodrowską i z wdową Heidemann, a dla bawiących się na ulicy przed domem dzieciaków zawsze miał poupychane po kieszeniach małe tabliczki czekolady Anglas z fabryki w Oliwie, które kupował w sklepie kolonialnym pan Möllera.

Ludzie lubili Henryka i być może dlatego nikt nie zadawał mu nigdy kłopotliwych pytań. Tylko rzeźnik Sommer, który w swoim sklepie bardziej od kiełbas dbał o portret Führera, patrzył z ukosa na tego Polaczka, który miał w Danzig podejrzone interesy.

Kiedy do Henryka przychodziła Lotte, sąsiedzi uśmiechali się do niej uprzejmie, pan Schwabe uchylał kapelusza, a fotograf Hoffman nagabywał, by została jego modelką. Choć okolica nie cieszyła się dobrą sławą, było tu spokojnie i bezpiecznie, a Lotte nie spotkała nigdy żadnych podejrzanych typów, żadnych Mochum ani Luisów, ani nawet pijanych Luntrusów i

Leidacków, bo pan Karsten, który obok sklepu kolonialnego prowadził mały lokal z wyszynkiem, dbał, by nie dochodziło do pijackich awantur.

Lotte była tak szczęśliwa na ulicy Bischofsberg, że nie zauważyła nawet czarnego opla, który pojawił się tutaj pewnego dnia i odtąd stał w tym samym miejscu zawsze, gdy Henryk przyjeżdżał do Danzig. On sam też nigdy nie zwracał uwagi na auto, które toczyło się powoli za nim, gdy ulicą Bischofsberg szedł w stronę mostu nad Radaune i nad torami kolejowymi, by koło szkoły powszechnej skręcić w stronę centrum.

Lotte zwróciła uwagę na czarnego opla stojącego przed bramą dopiero pewnego wieczora, gdy Henryk po krótkich poszukiwaniach zapalek wyjrzał przez okno na ulicę i wyszedł, rzucając krótko za siebie, że zaraz wróci. Lotte zza firanki dostrzegła, że podszedł do zaparkowanego przy krawężniku samochodu, nachylił się w stronę kierowcy, z którym wymienił kilka słów, po czym z zapalonym papierosem w ustach wrócił do mieszkania.

– Skąd wiedziałeś, że ktoś będzie na ulicy? – zapytała, gdy usiadł przy stole, wypuszczając z ust dym.

– Zawsze są, kiedy tu jestem – odparł niedbale Henryk i uśmiechnął się do niej.

– Jak to? Ty ich znasz? Wiesz, kto to jest? – Lotte z niepokojem wyjrzała przez firankę na ulicę. Opel stał ze zgaszonymi światłami.

W nikłym świetle latarni zauważyła, że w środku siedziało dwóch mężczyzn.

– Oczywiście – roześmiał się Henryk. – I ja wiem, że oni wiedzą, że ja wiem. Nie miałem zapalek, więc nareszcie na coś się przydali. – Położył się na łóżku i nie zdejmując butów, założył nogę na nogę.

– Kto to jest, Henryku? Oni cię pilnują?

– Raczej śledzą. Albo obserwują, co robię, kiedy jestem w Gdańsku. Ale to jakieś płotki. Nadają się tylko do siedzenia w samochodzie. I podawania zapalek. – Zaciągnął się głęboko.

– To policja? Co ty zrobiłeś, że cię śledzą? I jak możesz mówić to takim tonem?

– Lotte, przecież oni wiedzą, co ja tutaj robię.

– Jak to, wiedzą? Wiedzą, czym naprawdę się zajmujesz? I ty przyjmujesz to tak bez troski?

Lotte zrzuciła atlasowy szlafrok i zaczęła nerwowo wkładać spódnice, drżącymi rękoma, próbując zapiąć suwak. – I wciągnąłeś w to mnie, wiedząc, że policja z Danzig...

– Wywiad, nie policja... – poprawił ją rozbawiony.

– Wywiad z Danzig wie o tobie? I jeszcze się tym zupełnie nie przejmujesz? Jak mnie wsadzą do więzienia za zdradę, to też powiesz, że nadawałam się tylko do podawania zapalek? – Nie mogła poradzić sobie z guzikami bluzki.

– Ależ, Lotte! Uspokój się! – Henryk zerwał się z łóżka, stanął przy niej i ujął w swoje dłonie jej rozbiegane ręce. – Tobie nic nie grozi!

Jeśli cokolwiek będzie ci groziło, to ja się tobą zajmę. Ze mną jesteś bezpieczna, słyszysz? Poza tym oni nie interesują się Marianną, bo to im ona przekazuje informacje, a my chcemy tylko wiedzieć, co oni wiedzą na temat gdańskiej polonii od Marianny. Rozumiesz? Oni interesują się mną, chcą wiedzieć, co ja tutaj robię.

– Więc wiedzą, że jestem twoją kochanką. – Lotte ciągle nie mogła się uspokoić.

– Lotte, to nie znaczy, że ze mną współpracujesz! A chyba nikt nie będzie się dziwił, że uwiodła mnie twoja uroda? – Zaczął całować jej szyję.

– No, powiedz sama, moja śliczna, mała Lotte!

Choć od tamtego wieczoru minęło już kilka lat, ilekroć Lotte przypominała sobie słowa Henryka, zawsze zaczynała nerwowo dygotać.

Jak mogła być tak naiwna? Wierzyć, że Henryk rzeczywiście ją kocha?

Że będzie ją chronił? Że przy nim i dzięki niemu będzie bezpieczna?

Nie miała żadnego doświadczenia z mężczyznami i nie potrafiła odróżnić tego, co było zwykłym kłamstwem, od rzeczywistych uczuć.

Żyła fantazjami cnotliwej pensjonarki, która wkradła się w dorosłe życie i niczym dziecko wpuszczone do sklepu ze słodyczami nie mogła powstrzymać chęci, by zjeść wszystko od razu.

Z czasem zaczęła nawet odczuwać perwersyjną przyjemność, wiedząc, że kiedy wychodzi na ulicę Bischofsberg, obserwujący Henryka policjanci odnotowują ten fakt, zaś ona sama jest niczym heroina szpiegowskiej powieści, których zresztą nie czytywała.

Szybko doszła do wniosku, że Henryk miał rację. Cóż znaczyło to, że się z nim spotykała? Mogła widywać się z kim chciała, była dorosła, a pracując z Marianną, poznała wielu Polaków, więc nikt nie powinien się być dziwić, że znała i jego. Henryk miał wszak wielu znajomych wśród gdańskiej Polonii, nawet mieszkanie wynajął dzięki polskiemu znajomemu, który pracował w ponurym gmazysku, gdzie mieściła się siedziba dyrekcji polskich kolei.

Pan Turczyński był cichym człowiekiem o twarzy, którą z wolna zaczynały znaczyć zmarszczki i bruzdy. Nigdy nie zamienił z Lotte jednego choćby zdania. Kłaniał się tylko, a gdy spotykali się w mieszkaniu Henryka, u którego często bywał, natychmiast kończył rozmowę i wychodził. Lotte uważała go za dziwaka i odludka, sądziła jednak, że był w swoim dziwactwie zupełnie nieszkodliwy. Pan Turczyński mieszkał sam w mieszkaniu na drugim piętrze i Lotte nie zauważyła, by ktokolwiek składał mu wizyty. Czasem widywała, jak w ciepłe wieczory siedział na ławce

ustawionej pod rozłożystym orzechem, który rósł na podwórku, przysłaniając rząd komórek należących do mieszkańców kamienicy. Palił wolno papierosa i przyglądał się w milczeniu temu, co działo się wokół.

W czasie jednej z wizyt w siedzibie polskich kolei, w której towarzyszyła Mariannie jako jej oficjalna asystentka, widziała pana Turczyńskiego na jednym z korytarzy. Ale on, ściskając pod pachą teczkę, wpatrzony w czubki własnych butów, przeszedł obok, nawet jej nie zauważając. Kiedy opowiedziała o tym spotkaniu Henrykowi, on tylko machnął lekceważąco ręką.

– Nie przejmuj się nim – powiedział. – To tylko nadgorliwy urzędnik, który zaprzedał życie polskim kolejom. Od czasu kiedy zmarły jego żona i córka, mieszka w Gdańsku. Przysłali go tu na jego własną prośbę w dyrekcji w Warszawie. Nie zauważył cię, bo jest zajęty swoimi papierami.

Lotte nie zaprzętała sobie nim więcej głowy, zajęta Henrykiem, Marianną i ukrywaniem swego podwójnego życia.

ROZDZIAŁ 14

Victoria Schule była szkołą dla dziewcząt. Mieściła się w jednym z tych neorenesansowych budynków z czerwonej cegły, które znaczyły architektoniczna mapę miasta, nadając mu wygląd tyleż nobliwy, co posępny. Od prezydium policji przy Karenwall dzieliło ją kilka niespiesznych kroków wzdłuż Vorstädischer Graben.

Heinrich Auerbach wybrał się na krótki spacer, by dokonać inspekcji klas przeznaczonych na sale przesłuchań. Ich przygotowanie ograniczało się do wyniesienia ławek, które na korytarzach szkolnych mieli ustawić krzepcy chłopcy z oddziału SS, przydzielonego do Auffanglager Victoria Schule^[11]. Wybrał sale, które przeznaczono na miejsce ewidencjonowania i przesłuchań, i te, które zamieniono w prowizoryczne cele z przygotowanymi dla więźniów siennikami.

Victoria Schule, podobnie jak sześć innych obozów przejściowych, miała być tylko pierwszym etapem selekcji przewidzianych do aresztowania Polaków.

Główną siedzibą miały być koszary w Neufahrwasser, ale nadal były własnością Polaków, którzy urządzili tam mieszkania, salę sportową i kaplicę, więc do momentu przejęcia ich przez niemieckich żołnierzy nie można było przygotować pomieszczeń do przyjmowania więźniów. Natomiast Victoria Schule miała być gotowa do natychmiastowych działań.

Heinrich Auerbach miał już listy Polaków, którzy rankiem pierwszego września mieli się tutaj znaleźć. Byli na nich celnicy, kolejarze, nauczyciele, polscy księża, pracownicy Komisariatu Generalnego RP. Była

też Marianna Walewicz i jej ojciec, znani działacze miejscowej polonii. Działalnością polskich agentów miał zająć się osobiście.

Zrobił kilka notatek do raportu, który jeszcze tego popołudnia miał trafić na biurko SS-Obersturmbannführera Maxa Pauly'ego, mianowanego szefem Komendantury Obozów Jenieckich w Danzig, i wrócił do prezydium policji. Przez chwilę zdawało mu się, że idąc korytarzem do swego gabinetu skrytego za ciężkimi, dębowymi drzwiami, w blasku słońca wpadającego na policyjne korytarze przez wysokie okna, zamajaczyła mu sylwetka Lotte Meier. Jednak stukot jej obcasów zagłuszyły kroki urzędników płaczących się wokół, co nawet lekko go zirytowało, bowiem postać zniknęła, zanim upewnił się, że była rzeczywiście tym, za kogo ją wziął.

Lotte Meier, zastraszona ofiara polskiego wywiadu, oddana sprawie z nadmierną gorliwością. Córka SA-mana, który przebył kolejne stopnie partyjnego awansu i przygotowywał się właśnie do kierowania oddziałem SA, oddelegowanym do operacji przejęcia budynków w Neufahrwasser. Zasadnicza i sumienna, pozbawiona służbowego wyrazu twarzy mogła uchodzić nawet za niepozbawioną urody kobietę, choć wiele brakowało jej do zmysłowo pociągającej Ingrid Wolf.

Wyglądała jednak na solidną Niemkę i trudno było odgadnąć jej przeszłość, patrząc na skupione oblicze bez makijażu, całkiem ładne, choć zawsze ubrane w oschły wyraz niezadowolenia.

Heinrich Auerbach dowiedział się o istnieniu Lotte Meier, czytając raporty dotyczące Henryka Malickiego. Kapitan polskiego wywiadu nigdy nie ukrywał, że działa na rzecz oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Często pokazywał się w towarzystwie szefa ekspozytury numer 3 w Brombergu, majora Żychonia.

Żychoń, dobrze znany w Wolnym Mieście, słynął z ekscesów i demonstracji urządzanych na jego ulicach, alkoholowych libacji i ostentacyjnych spacerów w mundurze Wojska Polskiego. Zawsze o krok przed agentami niemieckiej Abwehry, doprowadził do odwołania ze stanowiska szefa ekspozytury w Danzig pułkownika Oskara Reile, który po jedenastu latach został usunięty, gdy prowadzony przez Żychonia i Malickiego Kofer, asystent samego szefa gdańskiej placówki SA, wymknął się i uciekł do Polski.

To wtedy Heinrich Auerbach przyjechał do Danzig wraz z agentami gestapo, którzy zostali oddelegowani z Berlina, by złapać Kofera. Śledząc Kofera, śledzili też Malickiego. Szybko trafili na jego niemiecką kochankę, z którą spotykał się w wynajętym mieszkaniu przy zapyziałej ulicy Bischofsberg. Równie szybko okazało się, że jest nią asystentka Marianny Walewicz, którą od początku prowadził sam wprost z Berlina.

Zaalarmowany sprawą, osobiście przesłuchał Mariannę, która słysząc o romansie swej pracownicy z Malickim, podniosła tylko nieznacznie jedną wyskubaną brew i poprosiła o ogień.

Zza wydmuchiwanej długo smugi tytoniowego dymu zaprzeczyła, by cokolwiek o tym romansie było jej wiadomo.

– Marianno, naprawdę nie wiedziałaś, że ona ma z nim romans? – zapytał mniej oficjalnie, gdy zamknęły się drzwi za bladym oberem, który z hotelowej restauracji mieszczącej się dwa piętra niżej przyniósł zamówioną wcześniej kolację.

Marianna stała przy oknie, z którego rozpościerał się widok na pociemniałe jesiennym chłodem wody zatoki, obmywające słupy podtrzymujące opustoszałe molo. Drzewa uginały się pod ciężarem wiatru, w bezładnej szarpaninie gubiąc pożółkłe liście. Wypiła łyk szampana, ledwie dotknąwszy brzegu delikatnego kieliszka, i odwróciła się od okna,

stając naprzeciw Heinricha Auerbacha, który patrząc wprost w jej chłodne, błękitne oczy poczuł falę gorąca, rozlewającą się po całym ciele. Marianna podeszła do niego i pocałowała w usta, po czym dopiła resztę szampana, odstawiła kieliszek i usiadła na sofie.

– Nie, mój drogi. Zupełnie nie miałam pojęcia, że moja mała Lotte i Henryk mają romans – powiedziała, zsuwając ze stóp pantofle koloru neorenesansowych gdańskich kamienic. – To nawet zabawne. – Zdjęła z gładko upiętych włosów diamentową spinkę i wsunęła ją do jednego z pantofli. Jasne włosy spłynęły jej na twarz. – Romansują za moimi plecami. Pomyśl, ukrywają się zupełnie, jak my. – Wyciągnęła w stronę Heinricha swą długą, smukłą dłoń i uśmiechając się, delikatnie skinęła palcem, by podszedł do niej.

– To wcale nie jest zabawne, Marianno. – Nie uległ jej. Odwrócił się nerwowo, podszedł do nakrytego do kolacji stołu, nalał szampana do dwu kieliszków i podał jeden z nich Mariannie. – Boję się o ciebie.

Dobrze wiesz, że Malicki jest niebezpieczny – powiedział, patrząc w ciemność za oknem. – Może cię zdekspirować. Polacy mogą cię przechwycić. Jeśli cię złapią, ja nie będę mógł ci pomóc. Musiałem cię dziś przesłuchać, bo inaczej zrobiliby to gestapo. Oni nie wiedzą, że z nami współpracujesz. Jeśli przez Malickiego i tę twoją Lotte zainteresują się tobą, dotrą do twojej matki... Wolę nie myśleć, co będzie się działo.

– Ach, mój Heini... – Marianna wstała z sofy, podeszła do niego i objęła, przytulając się do jego pleców. – Jesteś taki troskliwy. – Położyła głowę na jego karku. Poczuł łaskotanie, gdy jej włosy dotknęły jego skóry. – Ale nie ma się czego obawiać. – Odwróciła go powoli w swoją stronę. – Znam Henryka od lat. On nawet przez chwilę nie pomyślał, że mogłabym z wami współpracować. Przecież jestem Polką.

Co więcej, moja matka jest Żydówką. A wy nie lubicie Żydów. – Wypowiadała każde słowo, stawiając w tym samym rytmie stopy.

Pociągnęła Heinricha Auerbacha za sobą i obydwójce znaleźli się na obitej aksamitem sofie.

Sturmbannführer Auerbach po latach, które minęły od tamtego wieczoru w pokoju Casino Hotel w Zoppot, ciągle czuł pod palcami miękkiego aksamitu w kolorze pociemniałego złota. Skóra Marianny na jego tle wydawała się jeszcze bledsza i delikatniejsza niż w rzeczywistości, zaś jej perfumy, ciężkie i zmysłowe, pozostały na nim długo po jej wyjściu. Ten zapach, zapach Marianny, obezwładniał go i sprawiał, że tracił swą zdolność racjonalnego rozumowania.

Być może dlatego nic wtedy nie zauważył. Niczego nie podejrzewał. Wierzył, gdy Marianna mówiła, że Henryk Malicki to tylko przyjaciel. Przecież przez dom Walewiczów przewijało się tylu Polaków, że nie było niczego zastanawiającego w ich znajomości. Przecież sam Żychoń bywał przy Breitgasse. Ci Polacy byli bezczelni i sprawiali wrażenie, że całe to szpiegowanie było dla nich dobrą zabawą. Ale funkcjonariusze z Abwehrstelle Danzig z trudem nadążali za ich działaniami na terenie Wolnego Miasta.

Kiedy Heinrich Auerbach przeniósł się z Abwehry do SD, Marianna przyjechała do Berlina, by powiedzieć mu, że nie będzie się z nim więcej spotykać.

– Mam nadzieję, że zachowasz się honorowo. Tyle mówicie o honorze w tym waszym SS. – Na miejsce spotkania wybrała ogród botaniczny. – Nadal będę ci zdawać raporty i oczekuję, że ty nadal będziesz ochraniał moją matkę. Tak, jak się umówiliśmy. – Jej słowa były twarde. – Ale na nic więcej już nie licz.

Nie próbował jej przekonywać. Wiedział, że skoro Marianna raz coś postanowiła, nic nie mogło już zmienić jej zdania. Decydując się na przejście do służby, Heidrich liczył się przecież z taką reakcją z jej strony. Wciąż wzbudzała w nim tamto niepokojące uczucie, które ze zdziwieniem odkrył, gdy spotkali się po raz pierwszy nad okazem *paphiopedilum stonei*. Jednak kładąc na szali uczucia w swym niezachwianym racjonalizmie, doszedł do wniosku, że Marianna nie była warta tego, by przerywać karierę, której postanowił poświęcić swe życie tamtego słonecznego dnia w czerwcu dwudziestego czwartego, gdy samotnie wyjeżdżał z rodzinnego Bad Reichenhall. Marianna miała pomóc w jej rozwoju. To, co wydarzyło się między nimi, było tylko nieoczekiwanym dodatkiem, premią służby dla Trzeciej Rzeszy, która potrafiła odwdzińczyć się takim, jak on, zdesperowanym biedakom z prowincji.

Bo swoje miejsce w życiu Heinrich Auerbach odnalazł właśnie dzięki partii, dzięki jej wsparciu i pieniądзом, które dostał, by z zagubionego w Alpach miasteczka wyruszyć do Monachium, a potem do Berlina. Karierę zrobił dzięki swej ambicji, stawiając sobie ciągle nowe wyzwania, tak że każdego dnia mógł potwierdzać swą wartość w oczach innych. Zrobił ją także dzięki pracowitości, która skłaniała go do poświęcania całego czasu stawianym przez partię zadaniom, i pozwalała na ciągłe doskonalenie własnego talentu.

Heinrich Auerbach czuł wdzięczność wobec swego kraju, w którym mógł budować porządek zgodny z własnymi poglądami, kraju, wobec potęgi którego czuł się niczym mały trybik wielkiej maszyny.

Wiedział jednak, że to dzięki takim jak on jego kraj, jego dumna Rzesza Niemiecka, coraz szybciej zmierza do celu, jakim było przekonanie reszty świata o słuszności porządku, który jej obywatele wybrali, głosując na partię. Wiedział, że moment, gdy Europa ze swą dekadencją i zepsutym

hedonizmem ukłęknie przed ideami niesionymi na czerwonych sztandarach ozdobionych swastyką, jest coraz bliżej, i czuł dumę, że ma swój udział w tym wielkim przedsięwzięciu.

Odczuwał to rosnące napięcie, które dawało się wyczuć na ulicach miasta wybranego, by tę przemianę rozpocząć.

Choć chciał wrócić do Berlina, cieszył się, że w sierpniu trzydziestego dziewiątego znajdował się właśnie w Danzig. I mimo iż nie chciał przyznawać się do tego nawet przed samym sobą, zastanawiał się, jak to możliwe, że Marianna wybrała inną drogę. Pomógł jej, bo na wspomnienie o niej ciągle odczuwał tamte fale uniesienia, może stłumione nieco minionymi latami, ale ciągle pojawiające się wraz z dźwiękiem jej imienia.

To, co zrobiła dla niego, pozwalałoby na zrehabilitowanie jej, gdyby tylko wyraziła skruchę, zapewniła, że jest wierna Führerowi i oddana idei narodowego socjalizmu. Jednak ona stanęła ostatecznie po przeciwnej stronie, co Heinrich Auerbach postanowił wytłumaczyć sobie jej polsko-żydowskim pochodzeniem, które uniemożliwiło jej podjęcie racjonalnej decyzji, jedynej możliwej, jego zdaniem, by nie przejść na niewłaściwą pozycję.

Skoro Marianna tak zdecydowała, postanowił spłacić swój dług wobec niej, by ostatecznie sentyment do niej przenieść do przeszłości i nie czuć się nim już więcej obciążonym. Kiedy znalazł jej nazwisko na liście gdańskich Polaków, którzy pierwszego września mieli znaleźć się w obozach przejściowych w Wolnym Mieście, skontaktował się z nią i w restauracji Grosser Stern w Zoppot przedstawił swój plan, a właściwie tę jego część, która nie odnosiła się do tego, co zlecił dwóm młodym esesmanom, wysłanym na Hakelwerk.

Tam, pod wskazanym przez niego adresem przy Jungfrauengasse, odnaleźli Juttę Buschke, tak łudzaco podobną do Marianny, że uczyniło to z

Heinricha Auerbacha jej stałego klienta.

Jutta miała twarz anioła, delikatne rysy nie współgrały jednak z jej cokolwiek aroganckim i wyzywającym zachowaniem, którego nauczyło ją życie na ulicy. Jedynym celem Jutty było zarobienie takich pieniędzy, by mogła zabawić się w gospodzie i sama wybrać kochanka na najbliższą noc. Gdy miała gest, następnego dnia potrafiła mu zapłacić, czując w ten sposób ludzącą satysfakcję wcielania się we własnych klientów, którzy dając więcej lub mniej, tym samym oceniali jej usługi.

Nie czytywała książek, ledwie potrafiła się podpisać, gdy trafiała na komisariat policji, a liczba dokonanych przez nią nielegalnych aborcji sprawiła, że Jutta Buschke nie mogła uprawiać swego procederu w ośrodkach Lebensborn pod hasłem, które głosił Himmler – „wodzowi podarować dziecko”, bowiem dzieci już mieć nie mogła.

To jeszcze bardziej upewniło Heinricha Auerbacha, że życie Jutty Buschke nie miało w sobie wartości, która przekonywałaby go do podjęcia innej decyzji. Dlatego stała się częścią jego planu. Chciał mieć pewność, że Marianna będzie bezpieczna, a jako martwa nie stanowiła już zagrożenia dla Rzeszy.

– Czy możesz podarować mi swój medalion? – zapytał, siedząc w restauracji Grosser Stern, w której umówił się z nią ten ostatni raz.

– Medalion? – Marianna odruchowo dotknęła wygrawerowanego w złocie herbu Danzig. – To jest moja rodzinna pamiątka. Nie mogę ci jej dać, Heini. Przykro mi.

– Marianno, chciałbym mieć jakąś pamiątkę po tym wszystkim, co nas łączyło. – Pochylił się w jej stronę nieznacznie, jeszcze raz usiłując zatopić się w spojrzeniu jej błękitnych oczu.

– Heini, ty nie jesteś sentymentalny. – Roześmiała się głośno, odsuwając od niego. – Po co ci on? Chcesz zapłaty?

Cofnął się.

– A ty nie jesteś cyniczna – rzucił krótko. – Powiedzmy, że ten medalion pomoże mi w tym, że nie będą cię szukać.

– Co ty planujesz? – Teraz ona pochyliła się w jego stronę, ścisząc głos, choć szum liści na drzewach, pomiędzy którymi rozstawione były stoliki, zagłuszał ich słowa.

– Marianno, to nie twoja sprawa. Postanowiłem, że skoro nie chcesz przyjąć mojej propozycji, by pozostać w Danzig, by pozostać tutaj ze mną – zawiesił na chwilę głos, ale Marianna patrzyła na niego nadal z tym prowokującym wyrazem twarzy, jakby chciała rzucić mu wyzwanie do pojedynku – pomogę ci uciec, żebyś nie trafiła do więzienia. Mogę cię zapewnić, że jeśli mnie nie posłuchasz, znajdziesz się tam niebawem.

– Co wy chcecie zrobić? Zająć Danzig? Wiesz, że to oznacza już prawdziwą wojnę.

– Czy Danzig naprawdę jest wart, by wywoływać o niego wojnę? – Był już zniecierpliwiony tą rozmową. – Jeśli nie przyjmujesz do wiadomości faktu, że mamy słuszość, to wyjedź stąd. Natychmiast.

Tylko zostaw mi swój medalion.

Marianna jednym ruchem zdjęła go z szyi i położyła przed nim, po czym wstała i nie mówiąc słowa, szybkim krokiem skierowała się do zaparkowanego kilka metrów dalej czarnego mercedesa, który w przeciwieństwie do jej czerwonego horcha nie zwracał uwagi na gdańskich ulicach. Wtedy widział ją po raz ostatni.

ROZDZIAŁ 15

Kiedy komisarz Franz Thiedtke dotarł na ulicę Jungfrauengasse, szarżało. Minął podejrzany lokal Tante Anna, gdzie dziewięć lat wcześniej wezwano go do morderstwa dwóch angielskich marynarzy, których zasztyletował gdański sztauer, niejaki Lewandowski, nożownik nazywany Der Löwe aus Ohra^[12].

Teraz jednak przed Tante Anna stał tylko stolik, przy którym partie skata rozgrywali dwaj ubrani w niedbałe, znoszone ubrania posiwiali mężczyźni i grający przeciwko nim SA-man w starannie wyglansowanych butach z cholewami. Jego kompan pochylał się nad nim i paląc papierosa, rozmawiał z rywalami, głośno wytykając im nieumiejętne posunięcia w kartach. Kiedy minął ich zasapany listonosz w polskim mundurze spieszący w stronę Heveliusplatz, gdzie w zwalistym gmachu z brunatno-czerwonej cegły mieściła się siedziba oddziału 1 Poczty Polskiej w Danzig, SA-man wyprostował się i skandując w rytm kroków listonosza, zaczął krzyczeć:

– Danzig bleibt Deutsch! Danzig bleibt Deutsch!^[13]

– Cicho, Herman! – jeden ze starszych graczy próbował go uciszyć, ale rozbawiony SA-man tylko poklepał się po udach i roześmiał głośno. – Wynocha, polska świnió! Uciekaj do Gdyni!

Listonosz nie odpowiedział na zaczepki i pobiegł dalej. Jungfrauengasse była małą, boczną uliczką wyłożoną nierówną kostką brukową, na której umorusane dzieciaki mimo późnej pory grały w piłkę małą, gumową piłeczką, podskakującą na wyboistych nierównościach stanowczo zbyt

wysoko jak na ersatz imitujący skórzaną, profesjonalną piłkę, o której mogły tylko pomarzyć.

– Napastnik Preussen zbliża się do bramki – rudy, piegowaty chłopak zwijał dłonie i przykładał je do ust, komentując to, co działo się na wyimaginowanym boisku – ale nagle pojawił się zawodnik klubu Hansa, już przejął piłkę i zmierza do bramki przeciwnika! I gol! Gol!

Z niedotkniętego jeszcze mutacją gardła wyrwał się piskliwy wrzask. Gumowa piłeczka wpadła między dwa kamienie ułożone na ulicy i potoczyła się wprost pod nogi Franza Thiedtke. Komisarz przytrzymał ją pod podeszwą buta i podniósł z ziemi.

– Znacie Juttę Buschke, chłopcy? – Podeszedł do rozwrzeszczanych dzieciaków, które wodziły wzrokiem za dłonią trzymającą piłkę.

– Tak, tak! – odezwał się piegowaty rudzielec.

– A wiesz, gdzie mieszka Jutta Buschke?

Rudzielec pokiwał głową.

– Powiem, jak pan odda piłkę – powiedział, ukazując szparę po brakującym z przodu zębie.

– Łap! – Komisarz odrzucił piłeczkę, która, podskakując, potoczyła się w stronę graczy. Chłopcy z głośnym krzykiem rzucili się za nią w pogoń. – No? To gdzie mieszka panna Jutta Buschke? – powtórzył.

– Tam. Pod numerem piątym, na pierwszym piętrze. – Chłopiec wskazał palcem bramę. – Ale moja mama mówi, że to nie żadna panna, tylko zwykła lafirynda. – Odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę grających, zwijając dłonie przyłożone do ust. – Zawodnik Hansy przy piłce! Biegnie w stronę bramki i będzie gol? O, nie! Spudłował!

Komisarz Thiedtke pozostawił za sobą gwar ulicy i wszedł we wskazaną bramę. Uderzył go odór stęchlizny unoszący się między odrapanymi ścianami, z których po kawałku odpadała farba w

nieokreślonym kolorze. Wspiął się na piętro po drewnianych, trzeszczących przy każdym stawianym kroku schodach i stanął przed drzwiami, na których kredą wypisano numer pięć. Zapukał, ale po drugiej stronie panowała cisza. Nacisnął klamkę, ta stawiała mu jednak opór.

– Pan klient? – usłyszał za plecami. Odwrócił się. W uchylonych drzwiach mieszkania naprzeciwko stała kobieta o zniszczonej twarzy w chustce zawiniętej wokół głowy.

– Jestem komisarz Franz Thiedtke z gdańskiej policji. – Wyjął legitymację policyjną, ale kobieta nie rzuciła na nią nawet okiem. – Szukam Jutty Buschke.

– Nie pan jeden – zarechotała kobieta. – Więcej tu przychodzi takich, co ją szukają. A panu ona na co?

– Zgłoszono jej zaginięcie. Wie pani coś o tym?

– A co ja mam tam wiedzieć, psze pana. – Kobieta cofnęła się za drzwi.

– Ja cały dzień pracuję, to nie wiem, co się tu dzieje.

– Ale zna ją pani?

– Znam, znam. Całe miasto ją zna. Tutaj różni do niej przychodzą, nawet jeden taki pan oficer, bardzo elegancki. Ja to się nawet zastanawiałam, co taki pan oficer robi z taką zwykłą uliczną. No, ale widać taki miał kaprys. – Wzruszyła ramionami.

– A kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– A... – zastanowiła się chwilę. – To chyba było jakoś tydzień temu, w poniedziałek albo we wtorek. We wtorek, wracałam wtedy od pani Hofmann, a zawsze chodzę do pani Hofmann we wtorki o siedemnastej.

– Pamięta pani to spotkanie? To było tu, na schodach?

– Tak, psze pana. A gdzie miało być. Ja stałam tak, jak pan, tutaj. – Uchyliła szerzej drzwi i wyszła na korytarz. – I wtedy otworzyły się drzwi

od mieszkania Jutty i wyszła ona i jeszcze jakichś takich dwóch młodych chłopaków.

– Rozmawiała pani z nią?

– Nie, tylko powiedziałyśmy sobie „dobry wieczór”. Ona była już chyba trochę wstawiona i pomyślałam, że idzie z tymi chłopakami do Tante Anna. Godzinami tam przesiadywała.

– A dlaczego myśli pani, że była – komisarz zrobił krótką pauzę – wstawiona?

– Bo się tak głośno śmiała, a ona zawsze się tak głośno śmiała, jak sobie wypić.

– A ci chłopcy? Znała ich pani?

– Nie, ale do niej przychodziło tylu, że nie mogłam wszystkich spamiętać.

– Była ładna?

– O, śliczna, psze pana. Jak z obrazka. Stąd też klientów miała na pęczki.

– A może ją pani opisać? Jak wyglądała?

– Wysoka, psze pana, i szczupła. Miała takie jasne włosy, zupełnie, jak aniołek. Ale aniołkiem to ona nie była. Nie daj Bóg, jak się odezwała. Ale jak nic nie mówiła, to wypisz wymaluj, jak ta aktorka z filmu, no, wie pan, ta, co to pojechała do Ameryki. A Jutta to pasjami lubiła oglądać filmy. Jak przyjechała do Danzig dwa lata temu, to nawet poleciała na taki pokaz, pamięta pan, takie coś, nazwali to jakoś tak, nie mogę sobie przypomnieć, ale cud techniki, a pokazywali film z olimpiady, co to się w Berlinie odbyła.

– A może wie pani, kto zgłosił jej zaginięcie?

– No, to mój Otto, znaczy mąż – kobieta odchrząknęła aż zaszkliły się jej oczy – poszedł do rewiru, jak nie było jej do czwartku.

Przychodzili tu różni do niej, walili w drzwi, hałas się zrobił okropny i Otto się wściekł, że spać nie może, bo Otto pracuje na noce, a potem śpi. No i poszedł zgłosić, że tu burdy są. Ale co potem, psze pana, to ja już nie wiem.

– I nie ma pani żadnych podejrzeń, co się z nią mogło stać? Może gdzieś wyjechała? Do rodziny albo do znajomych?

– Nie, psze pana. Ja nic nie wiem. Ale ona z rodziną w ogóle nie utrzymywała kontaktu. Jak tu przyjechała, to nigdy u nich nie była i nigdy nic o nich nie mówiła. A przyjaciół to miała w Tante Anna, ot, tacy to przyjaciele.

– A ci dwaj mężczyźni, z którymi ją pani widziała po raz ostatni? To byli jacyś jej stali klienci? Widziała ich pani wcześniej?

– Nie, psze pana. Tyle ich tu przychodziło, że może i byli wcześniej, ale ja, mówiłam, nie pamiętam wszystkich. Dwóch takich młokosów, może mieli ze dwadzieścia lat, wysocy byli, szczupli, zwyczajni. Nie rzucali się jakoś w oczy.

– No, dobrze. Dziękuję, pani – komisarz zawiesił głos.

– Gerda Müller. – Kobieta znowu skryła się bezpiecznie za drzwiami do swego mieszkania. – Ale pan nie będzie nikomu mówił, że ja to wszystko powiedziałam? Bo ja to się nawet dziwię, że pan tutaj przyszedł, bo kto by się taką Juttą w policji przejmował. Nawet powiedziałam Ottonowi, że on niepotrzebnie tylko czas w rewirze stracił, bo i tak nikt Jutty szukać nie będzie.

– Pani Müller, gdańska policja czuwa nad wszystkimi mieszkańcami swojego miasta. – Komisarz Thiedtke skłonił się uroczyście, jakby w ten sposób chciał podkreślić ważkość słów, które wypowiedział, i pożegnał się lekkim skinieniem głowy.

Mimo późnej pory z ulicy Jungfrauengasse udał się wprost na Delbrückallee, pnącej się łagodnie wśród kamienic o spadzistych, czerwonych dachach wprost do głównego budynku szpitala miejskiego, oddzielającego od ulicy swą zwalistą bryłą z frontonem zwieńczonym cebulastą wieżyczką rozległy teren szpitala zabudowanego prostymi, nowoczesnymi pawilonami, w których mieściły się oddziały lecznicze.

Zaparkował auto przed jedną z sąsiednich kamienic i minąwszy główny budynek skierował się do bocznego wejścia, którym zwykle wchodził, odwiedzając to miejsce służbowo. Z małej stróżówki wyszedł strażnik. Franz Thiedtke pokazał mu policyjną odznakę, która otwierała takie miejsca bez dodatkowych tłumaczeń, i dobrze znaną sobie ścieżką wśród równo przyciętych trawników poszedł do szpitalnej kostnicy.

Przebył tę drogę setki razy, jako komisarz policji kryminalnej ciągle trafiając do prosektorium, gdzie dokonywano sekcji zwłok ciał znalezionych w miejskich krzakach, w lasach porastających morenowe wzgórza wokół miasta, zawieszonych na sznurach pod stropem strychów domów w Schiedlitz, zasztyletowanych w miejscach takich, jak Tante Anna na Hakelwerku, i porzuconych między pustymi skrzyniami do transportu ładunków na statkach przyprawiających do Neufahrwasser.

W zimnych salach prosektorium, przesiąkniętych ostrym zapachem formaliny, która przenikała płaszcze, marynarki i kapelusze, tak że Waltraud nie mogła później poradzić sobie z pozbyciem się go z ubrań komisarza, w przygnębiających salach, które stanowiły ostatni przystanek na ziemskiej drodze tych wszystkich topielców, wisielców, ofiar ulicznych bójek, rozpędzonych samochodów i małżeńskiej zazdrości, Franz Thiedtke wielokrotnie przekonał się, czym w istocie jest ludzka śmierć, którą wizyta w tym miejscu odzierała z wszelkiej tajemnicy i wiary w inną rzeczywistość.

Rozcięte brzuchy, poderżnięte gardła, ciała rozkładające się wolno, acz systematycznie, począwszy od zieleniejącej plamy pod prawym żebrem, gdzie żywiące się odpadami w ludzkim jelicie bakterie rozpoczynały swą pośmiertną posługę, nabrzmiałe wodą ciała topielców i zwęglone szczątki pogorzalców, wszystko to stanowiło tylko materialny dowód dokonanych czynów, fakty zabezpieczone w ludzkich zwłokach, które nie mogły już zaświadczyć o tym, co się zdarzyło, martwe szczątki pozbawione świadomości i mocy, jak puste butelki po gdańskim machandlu wyrzucone na śmietnik po opróżnieniu.

Franz Thiedtke nie opowiadał nigdy Waltraud o tym, skąd brał się odór nieustępujący pod jej troskliwymi dłońmi zanurzonymi w balii z mydlinami, którymi próbowała go przepędzić. Smród formaliny złamany zapachem lekko rozkładających się zwłok unosił się długo w kuchni ich mieszkania przy Kohlenmarkt, a Waltraud w milczeniu tarła i tarła, jakby to miało przepędzić zapach śmierci z ich szczęśliwego domu.

Ciężkie drzwi do pawilonu, w którym znajdowała się kostnica, skrzypnęły przeciągle, gdy wchodził do środka.

– Komisarz Thiedtke z policji kryminalnej – powiedział do portiera, siedzącego przy wejściu w nikłym świetle małej lampki. – Chciałbym wejść do kostnicy.

– Nie wolno. Już zamknięte. – Głos portiera uniósł się echem pod wysoki sufit korytarza.

– Chyba mnie pan nie zrozumiał. Prowadzę śledztwo i muszę obejrzeć zwłoki, które macie w swojej kostnicy.

– Jutro, panie komisarzu.

– Proszę pana, ja nie mogę czekać do jutra. To pilna sprawa. Proszę mnie wpuścić.

– A nakaz pan ma?

– Powiedziałem, że to pilne. Nakaz dostarczę jutro.
– Nie, nie. Wykluczone. Bez nakazu nie wolno.
– To nie wolno czy za późno? – zdenerwował się Franz Thiedtke.
– Nie wolno, bo za późno – odparł poirytowanym tonem portier i odwrócił głowę.

– Proszę sprowadzić lekarza – zażądał komisarz.

– Jakiego lekarza?

– Dyżurnego. Jest chyba ktoś na dyżurze?

– Oczywiście, jest doktor Kunze. – Portier wzruszył obojętnie ramionami.

– To niech pan sprowadzi doktora Kunze.

Portier wykręcił numer na czarnym, ebonitowym aparacie i powiedział do słuchawki:

– Panie doktorze, jest tu pan, który przedstawia się jako komisarz policji. Chce natychmiast wejść do kostnicy. Mówi, że prowadzi śledztwo i to pilne. – Na chwilę zamilkł. – Nie, mówi, że nie może poczekać do jutra.
– Znowu pauza. – Nie, nie ma nakazu. Ale on nie chce wyjść, panie doktorze. On chce rozmawiać z panem osobiście. – Odłożył słuchawkę na widełki i spojrzał na komisarza. – Pan doktor Kunze zaraz tu będzie.

Doktor okazał się przedwcześnie łysiejącym młodym mężczyzną o podłużnej twarzy i małych, zmrużonych oczach krótkowidza.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał sucho.

– Jestem komisarz Franz Thiedtke z gdańskiej policji kryminalnej.

– Franz Thiedtke pokazał mu legitymację policyjną. – Prowadzę śledztwo i doprawdy nie rozumiem, dlaczego czyni mi się takie trudności. Byłem tu wielokrotnie i nigdy nie miałem takich problemów – mówił spokojnie, choć był wzburzony.

– Proszę się uspokoić, panie komisarzu. A kogo dotyczy pańskie śledztwo?

– Marianny Walewicz. Utopiła się przy moło w Glettkau. Doktor Hanemann robił sekcję.

– Doktor Hanemann? – Lekarz podrapał się w pozbawioną włosów potylicę. – No, to na pewno ma pan wszystko w protokole, panie komisarzu. W największym porządku,

– Owszem, doktorze. Wszystko jest w porządku w protokole. Ale ja chciałbym zobaczyć denatkę – odparł z naciskiem komisarz.

– Obawiam się, panie komisarzu, że to niemożliwe. Ciało Marianny Walewicz zostało zabrane dziś po południu. Rodzina zabrała, jutro pogrzeb. Przykro mi. Życzę miłego wieczoru, panie komisarzu... – lekarz zawiesił głos.

– Thiedtke. Franz Thiedtke.

– Panie komisarzu Thiedtke. Żegnam pana. – Lekarz skłonił się, po czym odwrócił na pięcie i zniknął za dwuskrzydłowymi drzwiami, prowadzącymi do prosektorium i kostnicy.

ROZDZIAŁ 16

Tego poranka Franz Thiedtke jak zawsze starannie się ogolił, wtarł w twarz wodę kolońską, odrobinę, by zapach nie był zbyt natarczywy, ubrał szary, letni garnitur, który poprzedniego roku Waltraud kupiła mu w czasie poremanentowej wyprzedaży w domu towarowym Sternfelda na rogu Langgasse, po czym niespiesznym krokiem, jak to miał w zwyczaju każdego zwykłego poranka, udał się do prezydium policji, by spędzić tam przedostatni dzień pracy w swej długiej policyjnej karierze.

Dzień zapowiadał się spokojny, bo oprócz porządkowania akt dawno zapomnianych spraw Franz Thiedtke oficjalnie już niczym się nie zajmował. Poranek był ciepły, niebo bezchmurne. Pozostawił w mieszkaniu przy Kohlenmarkt zadowoloną Waltraud, która z troską zawijała porcelanowe filiżanki w gromadzone od dawna specjalnie w tym celu gazety. Delikatnie zdobione różyczki ginęły pod relacjami z czerwcowego „Gaukulturwoche”, a staranne złocenia na krawędziach filiżanek padały ofiarą przemówień ministra propagandy Goebbelsa, który przyjechał do Danzig z Rzeszy, by na wiecu podgrzewać do walki partyjnych towarzyszy słowami „Chcemy wrócić do Rzeszy!”, co lokalne gazety skwapliwie drukowały w krzykliwych nagłówkach.

– Dzień dobry, panie Krupke! – rzucił, jak co rano, gdy wszedł do gabinetu na drugim piętrze prezydium policji, gdzie Joseph Krupke siedział już za swoim biurkiem.

– Panie komisarzu, ma pan natychmiast zgłosić się do Obersturmführera von Moltke! – Krupke zerwał się na równe nogi i wyprostował, głośno

szurając krzesłem. – Dzwoniono, by się pan stawił, jak tylko pan przyjdzie.

– Panie Krupke, a cóż pan tak krzyczy? – Franz Thiedtke spokojnie zdjął kapelusz i powiesił go na wieszaku koło drzwi. – Czy powiedzieli, o co chodzi?

– Nie, panie komisarzu. – Krupke nadal stał za swoim biurkiem. – Tylko, że natychmiast. To znaczy natychmiast ma pan się zgłosić do Obersturmführera.

– Dobrze, dobrze, panie Krupke. Już idę. A pan niechże siada. – Komisarz zniecierpliwionym gestem wskazał Krupkemu krzesło i nim ten zdążył usiąść, wyszedł.

W pokoju sekretarek, które strzegły spokoju Obesturmführera von Moltke, Helga Leschinsky stukiała w maszynę do pisania, mrużąc oczy, ilekroć spoglądała na leżące przed nią kartki zapisane drobnym, odręcznym pismem. Przy drugim biurku siedziała Lotte Meier. Spokojna i blada, w milczeniu przypatrywała się komisarzowi.

– Obersturmführer chciał się... – zaczął Franz Thiedtke, ale Lotte natychmiast mu przerwała.

– Obersturmführer von Moltke i Sturmführer Auerbach czekają na pana, komisarzu – wyrzuciła z siebie z lodowatą obojętnością.

Pod ochronną warstwą pozorowanego chłodu komisarz dostrzegł napięcie i strach, które czały się w zimnych oczach Lotte. Przybrała tę swoją dobrze wyuczoną pozę pozbawionej osobowości profesjonalistki, jednak dostrzegł pod nią wystraszoną dziewczynkę, która boi się tego, co nieuchronnie ma wydarzyć się za kilka chwil. Chciał dać jej jakiś znak, zapewnić, że zapewne chodzi o coś banalnego, coś bez znaczenia, coś, co nie ma żadnego związku z nią, bo przecież nikt nie widział ich razem, ale Lotte spuściła wzrok i nie okazując emocji, sięgnęła po słuchawkę telefonu.

– Jest komisarz Franz Thiedtke, Obersturmführer – powiedziała oficjalnym tonem, po czym skinieniem głowy wskazała komisarzowi drzwi do gabinetu von Moltkego.

Komisarz nacisnął klamkę. Wszedł do gabinetu i stanął naprzeciw siedzącego za masywnym, dębowym biurkiem Obersturmführera. Na tle rozświetlonego porannym słońcem okna odcinała się też ostro sylwetka Sturmbannführera Heinricha Auerbacha, który bez słowa odwrócił się w jego stronę.

– Witam, komisarzu – powiedział von Moltke i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

Komisarz usiadł. Von Moltke sięgnął do szuflady po złotą papierośnicę, z której wyjął papierosa i zapalił go. Schował papierośnicę, nie częstując komisarza. Wciągnął głęboko w płuca dym i wypuściwszy go po długiej chwili, powiedział: – Miałem wrażenie, komisarzu, że już to sobie wyjaśniliśmy.

– O co chodzi, Obersturmführer? Bo chyba nie rozumiem. – Franz Thiedtke pomyślał tylko, jak szybko w tym mieście rozchodziły się wszelkie nowiny.

– A ja myślę, że doskonale pan rozumie. – Von Moltke znowu wciągnął dym i długo go wydmuchiwał. Biała smuga unosiła się coraz wyżej i wyżej, zataczając w powietrzu niezdyscyplinowane koła.

– Obersturmführer, pozwolę sobie powiedzieć, że tym razem się pan myli. Ja naprawdę nie wiem, o co chodzi.

– Jak to, pan nie wie?! – von Moltke huknął nagle, zrywając się z swego masywnego biurka, na którego blat spadł popiół z papierosa. – Niech pan mi tu w oczy nie kłamie! Doniesiono nam, mnie i Sturmbannführerowi Auerbachowi, że zrobił pan wczoraj awanturę w miejskiej kostnicy. Chciał pan zobaczyć ciało tej topielicy z Glettkau.

A mówiłem przecież, żeby się pan nie wtrącał, bo sprawa jest już zamknięta. Komisarz w milczeniu patrzył na Obersturmführera von Moltke, który zorientowawszy się, że żarzący się wciąż popiół z papierosa wżerał się w gładki, dębowy blat, nerwowo zrzucił go na podłogę, klnąc pod nosem.

– Po co pan tam poszedł, komisarzu? – Von Moltke opadł na krzesło i zgasił niedopałek w kryształowej papierošnicy.

– Obersturmführer, dwa lata temu mieliśmy bardzo podobną sprawę. – Komisarz postanowił zignorować wybuch gniewu von Moltkego i odpowiedział spokojnie. – Znalaziono ciało młodej kobiety przy moło w Glettkau. To był maj trzydziestego siódmego. Tamta kobieta, nim została wrzucona do wody, została uduszona. Sprawcy nie znaleziono, ale wiemy, że to było morderstwo. Pomyślałem, że morderca mógł powtórzyć swoją zbrodnię. Wie pan, seryjne morderstwo według tego samego schematu. Dręczyło mnie to i chciałem sprawdzić. – Wzruszył ramionami.

– Panie komisarzu Thiedtke, wydawało mi się, że jasno wyraziłem się w czasie naszego ostatniego spotkania. Ta sprawa została zamknięta – powtórzył z naciskiem von Moltke. – Widzę, że mimo emerytury ciągle jest pan sumiennym pracownikiem policji. Chciałbym zachować takie wspomnienie o panu, więc proszę się tym już nie zajmować. Czy pan zrozumiał?

– Oczywiście. Czy to wszystko?

– Tak – von Moltke przytaknął.

Komisarz skierował się do drzwi.

– Rozmawiał pan o swoich podejrzeniach z panną Meier? – usłyszał za plecami głos milczącego dotąd Heinricha Auerbacha.

– Z kim? – Zatrzymał się i odwrócił w jego stronę.

– Z panną Lotte Meier, asystentką Obersturmführera von Moltke – odparł Auerbach, nie ruszając się spod okna.

– Sturbannführer, ja nie mam zwyczaju rozmawiać o sprawach kryminalnych z asystentkami czy sekretarkami. Zwłaszcza swoich przełożonych. – Komisarz ukłonił się i wyszedł.

Gdy zamykał za sobą drzwi, jego wzrok padł na siedzącą naprzeciwko Lotte. Wpatrywała się w niego w milczeniu ponad głową Helgi, nadal stukającej w maszynę. Skinął nieznacznie głową, wskazując na drzwi wyjściowe, i pożegnawszy się, wyszedł na korytarz.

Przemierzył kilkadziesiąt kroków i stanął za filarem klatki schodowej. Wkrótce usłyszał stukot obcasów uderzających o posadzkę. Stukot był coraz donośniejszy, jednak na chwilę zamilkł. Komisarz wychylił się zza filaru i zawołał Lotte, która stała kilka kroków dalej, rozglądając się nerwowo..

– Panno Lotte, muszę z panią porozmawiać – powiedział szybko.

– Spotkajmy się po pracy, panie komisarzu.

– Nie, proszę jak najszybciej opuścić prezydium. Jest pani w niebezpieczeństwie. Proszę szybko coś wymyślić i wyjść. Będę czekał na panią w Tiefer Keller. – Odwrócił się i zszedł szybko schodami prowadzącymi do wyjścia z budynku policji gdańskiej przy Karenwall.

Wyszedł na rozgrzaną ulicę, minął budynek Reichsbanku i siedzibę straży pożarnej, graniczącą z działką, na której stała rozebrana już Wielka Synagoga, i kierując się dalej na wschód, poszedł w stronę Langgasser Tor, skąd zaledwie kilka kroków dzieliło go od Jopengasse.

Jednak koło drogowskazu kierującego ruch na Marienburg i Elbing w jednej z sięgających niemal chodnika szyb kamienicy graniczącej z bramą dostrzegł poruszający się wolno w ślad za nim samochód.

Przyspieszył nieco kroku i pozostawił za sobą nieoznakowane auto, umknąwszy przed nadjeżdżającym z Kohlenmarkt tramwajem linii numer trzy, który toczył się wolno, by z głośnym dźwiękiem dzwonka minąć Ratusz i fontannę Neptuna, i przekroczywszy Motlau skierować się do zajezdni na obrzeżach miasta.

Komisarz usłyszał tylko pisk opon samochodu, który musiał zatrzymać się, by przepuścić tramwaj linii numer trzy, i nim śledzące go auto znowu było tuż za nim, zdążył dojść do domu towarowego braci Freymann. W witrynach sklepowych ciągnących się wzdłuż całego budynku widział podążające za nim auto, w którym siedziało dwóch nieznanych mu mężczyzn. Gdy doszedł do budynku zbrojowni, skręcił gwałtownie w pasaż i mieszając się z przechodniami, podążył na jego drugi koniec. Wiedział, że tym samym zyskał kilka minut, bowiem kierowca auta musiał teraz objechać budynek teatru i na jego tyłach wjechać na Heilige-Geist-Gasse, by znaleźć się przy wylocie z drugiej strony. Zanim samochód zatrzymał się przed restauracją w budynku sąsiadującym z dawnym miejskim arsenałem, komisarz bezpiecznie siedział przy stoliku w Tiefer Keller.

Nie czekał długo na Lotte, która pojawiła się nim minął kolejny kwadrans.

– Mam nadzieję, że to, co ma mi pan do powiedzenia, to coś ważnego – powiedziała poprawiając szarą spódnicę, która uniosła się jej na biodrach. – Żeby tu do pana przyjść, skłamałam Heldze, że źle się czuję. – Usiadła naprzeciwko niego.

– Czy nikt za panią nie szedł, nie jechał, kiedy pani tutaj szła? – zapytał.

Lotte przyjrzała mu się uważniej.

– Nie, panie komisarzu. Przynajmniej nie zauważyłam.

– Czy jakiś samochód stoi przed wejściem?

– Nie, zresztą tu chyba nie wolno parkować, panie komisarzu. Czy coś się stało?

– Czy komuś oprócz Helgi powiedziała pani, że wychodzi z prezydium?
– dopytywał nerwowo komisarz.

– Nie, powiedziałam, że niebawem wrócę. Czy wyjaśni mi pan, co się dzieje?

– Lotte, jest pani w niebezpieczeństwie.

– Ja? Ale o co chodzi, panie komisarzu?

– Oni wiedzą, że zająłem się sprawą Marianny Walewicz. Byłem wczoraj w prosektorium i ktoś musiał donieść, że chciałem obejrzyć ciało.

– To przecież nic nie znaczy.

– Znaczy, Lotte, znaczy. Podejrzewam, że to nie ciało Marianny Walewicz wyłowiono na molo w Glettkau, a kogoś zupełnie innego.

– Jak to? – Lotte zbladła. – Przecież sama ją widziałam. Nie mogłam się pomylić, panie komisarzu. I ten medalion...

– No, właśnie. Medalion. To na jego podstawie zwłoki zostały zidentyfikowane, prawda? To dzięki temu medalionowi stwierdziła pani, że to Marianna Walewicz, chociaż na dobrą sprawę zwłoki były w takim stanie, że trudno było określić, do kogo należały.

– Ale Marianna nigdy go nie zdejmowała. Niemożliwe, żeby nosił go ktoś inny.

– Czy wydaje się pani prawdopodobne, by przestępca, który morduje swoją ofiarę, masakruje jej twarz, a następnie wrzuca do morza, nie zabrał takiego cennego przedmiotu?

– Ale to była Marianna. Ciało było zmasakrowane, ale ja ją poznałam.

– Myślę, Lotte, że miała ją pani poznać. Ale ciało w rzeczywistości należało do innej kobiety. Sądzę, że to była prostytutka z Hakelwerku.

Niejaka Jutta Buschke.

Lotte Meier niemal uniosła się zza drewnianej ławy. Jej twarz, zupełnie blada, rozmywała się w papierosowym dymie unoszącym się w lokalu. Tylko oczy, zimne, niebieskie oczy partyjnej aktywistki świdrowały twarz komisarza, tak że niemal odczuł fizyczny ból tego spojrzenia.

– Lotte, kim była Marianna Walewicz? – Franz Thiedtke nie spuścił wzroku.

Zaległa cisza. Teraz komisarz przyglądał się Lotte, która odwróciła głowę, jakby szukanie wzrokiem kelnerki miało pomóc jej w odpowiedzi na jego pytanie.

– Lotte? Muszę wiedzieć, kim ona była – powtórzył z naciskiem. – I co panią z nią łączyło.

Lotte Meier skuliła się nagle, wcisnęła w kąt i spuściła głowę, jak dziecko przyłapanie na gorącym uczynku, przekonane, że zaraz zostanie mu wymierzona zbyt surowa, jak na popełnione przestępstwo, kara.

– Panie komisarzu, ja nie wiem, czy mogę to panu powiedzieć. – Jej głos był zupełnie cichy, stracił całą szorstkość, którą tak pielęgnowała.

– Oni wiedzą?

– Tak.

– Szantażowali panią?

– Tak.

– Mają coś na panią?

– Tak. Ale ja to zrobiłam z głupoty. Wykorzystali mnie. – Lotte podniosła głowę i zapewniła stanowczo. – Ja nie chciałam, wciągnęli mnie. Henryk mnie wykorzystał. I Marianna. I jej ojciec.

– Spokojnie, Lotte. Niech mi pani wszystko opowie od początku.

Lotte przypatrywała się chwilę komisarzowi, jakby w milczeniu zadając pytanie, czy jest osobą, której może zaufać. Komisarz ujął jej rękę w swoje

dłonie, szorstkie i niezgrabne, i powiedział uspokajająco. – Lotte, proszę mi wszystko opowiedzieć. Jest pani teraz bezpieczna.

ROZDZIAŁ 17

Ta praca była dla mnie jak marzenie. Pochodzę z biednej rodziny i cały ten kolorowy świat był jak pierwsza gwiazdka w Boże Narodzenie. Bogactwo, bankiety. Dla młodej dziewczyny to było oszołomienie. Wiem, byłam naiwna i głupia. Dałam się uwieść. Ojciec mnie przestrzegał, ale ja nie chciałam słuchać. Mój ojciec był kiedyś komunistą, ale potem przekonał się, że najlepszy jest narodowy socjalizm. Zapisał się do partii jeszcze zanim Adolf Hitler został naszym Führerem. Nie mógł znieść tego, że pracuję dla Polaków. Ja mówiłam, że robię to dla pieniędzy. Oni rzeczywiście dobrze mi płacili.

Jako asystentka Marianny chodziłam na różne bankiety i oficjalne przyjęcia, poznawałam różnych ludzi i naprawdę na chwilę uwierzyłam, że jestem częścią tego świata.

Marianna była dla mnie taka miła. Oczywiście, miałam obowiązki, wymagała ode mnie różnych rzeczy, ale była raczej jak starsza siostra.

Podziwiałam ją, chciałam być taka, jak ona. Patrzyłam, jak się zachowuje, i też tak próbowałam. Z czasem nawet nie zwracałam uwagi na to, że była Polką. Mówiłam, że jest w połowie Polką, a w połowie Niemką, bo przecież jej matka mieszkała w Berlinie.

I ona uwielbiała Berlin. Za Danzig nie przepadała. Mówiła, że wróciła ze względu na ojca. On chciał, żeby prowadziła jego antykwariat. Marianna nie wyglądała jak Polka. Mówiła pięknie po niemiecku i wyglądała jak aktorka z Ufy. Znała dobrze niemiecką literaturę i śpiewała niemieckie piosenki. Zastanawiałam się nawet, dlaczego została przy polskim

pochodzeniu. Przecież tylu Polaków zostało Niemcami, na przykład Helga. Jej ojciec nazywał się Leszczyński. A Helga nie zna słowa po polsku. A Marianna bardzo dobrze mówiła po polsku. Działała w różnych polskich organizacjach.

W domu Walewiczów spotykali się Polacy. Nawet miło się do mnie odnosili. Na tyle miło, że przestałam zwracać uwagę na to, czy ktoś jest Polakiem, czy Niemcem. Zresztą, moja matka zawsze powtarzała, że w Danzigu to my wszyscy wymieszani jesteśmy. Ale ojcu to się nie podobało. I miał rację.

Wszystko było dobrze, dopóki nie pojawił się Henryk. Henryk Malicki, słyszał pan o nim? Podawał się za dziennikarza. Znał dobrze Danzigu, różne takie miejsca, o których nawet ja nie słyszałam. Był starym znajomym Marianny z Warschau.

Ja powinnam była uważać, ja powinnam była pomyśleć, zanim się w to wpakowałam. Ale on potrafił tak pięknie mówić, potrafił tak zawrócić w głowie, że ja ani się spostrzegłam, a byłam... No, wie pan, przestał mi być obojętny. On mi dawał kwiaty, prezenty, nawet wiersze recytował. I zabierał... zresztą, nieważne.

Ja po prostu straciłam głowę. Mnie się nic takiego wcześniej, panie komisarzu, nie przydarzyło. Ja nie wiedziałam, że człowiek w ogóle może się tak czuć. To było szaleństwo, złe szaleństwo. Niestety, zrozumiałam to za późno. Przysięgłam sobie, że nigdy nie dam się tak wplątać, tak omotać, tak wykorzystać. Bo on mnie wykorzystał. Sprawił, że mu zaufałam, a potem...

Potem namówił mnie, żebym szpiegowała Mariannę. Powiedział, że ona przekazuje informacje o tym, co dzieje się wśród gdańskich Polaków nam, to znaczy Niemcom. Ja myślałam, że on fantazjuje, że to takie dziennikarskie szukanie sensacji.

Wie pan, to był trzydziesty czwarty rok i wszystko wyglądało inaczej. Polacy jeszcze nie spiskowali przeciwko nam. Organizowali te swoje spotkania, zawody sportowe, śpiewali w chórach, ale nie było jeszcze mowy o niczym poważnym. Danzig to było spokojne miejsce.

Ja najpierw nie chciałam o niczym słyszeć, ale potem zauważyłam, że Marianna spotyka się z niemieckim oficerem, że robi to potajemnie i rzeczywiście daje mu jakieś koperty. I do tego ma z nim romans.

Zajrzałam raz do takiej koperty i zobaczyłam, że to dokładny opis spotkania, na którym byliśmy dzień wcześniej, z nazwiskami, funkcjami i tym, co kto mówił.

Henryk miał rację. No i zaczęłam te materiały kopiować i przekazywać Henrykowi. To znaczy Polakom, bo nie muszę panu mówić, komisarzu, że on wcale nie był dziennikarzem, prawda? To był największy błąd, jaki popełniłam w życiu. Mam nadzieję, że pan zatrzyma to dla siebie. Oni o tym, oczywiście, wiedzą. Wiedzą, że byłam jego kochanką. Śledzili jego, mnie, wiedzieli dokładnie o tym, co się dzieje. Henryk mówił, że to nic, że sobie z nimi poradzi.

Wie pan, ci Polacy to są nieobliczalni ludzie. On kiedyś przyjechał do Danzig w polskim mundurze! Ja miałam wyrzuty sumienia, że się z nimi zadaję, ale to było silniejsze ode mnie. Głupia koza! Wiedziałam, że tak łatwo się nie wywinę.

Jednak najgorsze jest to, że oni się mną posłużyli, wykorzystali mnie. Bo Marianna o wszystkim wiedziała. Tak, panie komisarzu. Ja byłam tylko zasłoną dymną, żeby Niemcy nie podejrzewali jej, a mnie.

Ja nigdy tego nie wybaczyłam ani jej, ani Henrykowi. Ja postanowiłam odkupić swoją winę, zaangażowałam się, przyznałam rację ojcu. To on pomógł mi zdobyć tę pracę w prezydium policji, ja całe swoje życie

poświęciłam, żeby zmyć z siebie tę zdradę. Ale wiedziałam, że to mnie kiedyś dopadnie, że nie uda mi się tak łatwo uciec.

Ja długo czułam obrzydzenie do siebie, że to robiłam, i nienawiść do Marianny i Henryka, że mnie oszukali, że mnie okłamywali. To było dla mnie niepojęte, że przez rok grali ustalony scenariusz, patrząc mi prosto w oczy. Henryk udawał uczucie, Marianna była troskliwa, a wszystko to było ukartowane.

Teraz jest mi już wszystko jedno. Może pan iść do Obersturmführera von Moltke, opowiedzieć to, co panu powiedziałam.

Oni i tak wszystko wiedzą. Wiedzą, że ja wiem, z kim spotykała się Marianna. Kiedy ten Auerbach przyjechał do nas na stałe, ja wiedziałam, że to się dla mnie źle skończy. Oni potrafią dać człowiekowi do zrozumienia, że ma robić to, czego oni chcą. Sturmbannführer Auerbach umie to znakomicie. Ale to i tak nie jest ważne w porównaniu z tym, jak ja się czuję ze świadomością, że zdradziłam nasz naród.

Pan się pewnie śmieje, panie komisarzu. Głupia Lotte Meier myślała, że zostanie damą, a dała się wykorzystać jak ulicznica. Ale każdy ma przecież chwilę słabości. I każdy ma coś, czego się wstydzi, co chciałby schować gdzieś bardzo głęboko, a najlepiej w ogóle o tym zapomnieć.

Ale tak się nie da. To zawsze człowieka dopadnie. Ten cień, który stoi za rogiem, zawsze na nas czeka, i wie, że my wiemy, że on tam jest.

Pan jest pewnie kryształowym człowiekiem i nie ma takich tajemnic. Pan ściga przestępców, a nie dokonuje przestępstw. Panu jest na pewno łatwiej. Bo jak się ma takie twarde zasady, to człowiek wie, czego się trzymać.

Ja jestem teraz inną osobą, odpowiedzialną, sumienną. Ja ciężko na to pracowałam. Mam zasady, wiem, czego się trzymać. Ale tamto ciągle jest i teraz mnie dopadło.

Kiedy zobaczyłam ciało Marianny na molo w Glettkau, poczułam pustkę. Wie pan, ja chciałam, żeby ona umarła, żebym wiedziała, że jej nie ma. Ale kiedy to się rzeczywiście stało, ja pomyślałam, że to nie jest chwila, kiedy nasze rachunki się wyrównały, ale to moment, kiedy ja będę musiała w końcu zapłacić. No i się nie pomyliłam. Oni chcieli, żebym zeznała, że to ciało Marianny. Powiedzieli, że jak będę milczeć, to oni zostawią mnie w spokoju. Teraz rozumiem, skąd ten pośpiech.

Oni wcale nie pokazali mi ciała w kostnicy. Widziałam je tylko raz, na molo. A potem miałam o wszystkim zapomnieć. Ale ja wiedziałam, że coś jest nie tak. Wiedziałam, że Marianna nie mogła po prostu wskoczyć do morza i się utopić. Zresztą, ja widziałam kilku topielców i nie mieli rozciętych twarzy, jak Marianna. To znaczy, jak ta kobieta na molo. Bo teraz już sama nie wiem, co o tym myśleć, panie komisarzu.

ROZDZIAŁ 18

Lotte poczuła nagle gorące strugi spływające po twarzy. Była blada, a gdy dotknęła dłonią policzków, by je obetrzeć, poczuła lodowaty chłód własnych dłoni. Trzęsa się. Nie potrafiła spojrzeć na komisarza Thiedtke, który siedział po drugiej stronie stołu i w milczeniu jej się przyglądał. Zastanawiała się, czy nie popełniła swego kolejnego błędu, wyjawiając mu to, co wydarzyło się przed laty. Czy ten obcy człowiek, komisarz policji, uwierzy w jej historię?

Czuła miałość swego tłumaczenia i banał, w który wpadła. To była opowieść niczym z taniego romansu, a ona nie występowała w niej jako bohaterska heroina, raczej jako naiwna gąska, która dała się wplątać w coś, czego sama nigdy by nie wymyśliła. Lotte Meier, głupia dziewczyna z zaułka Schusterhof.

Wyjęła z torebki chusteczkę i wycierając mokre oczy, myślała o tym, czy opowiedzieć tę historię do końca. Bo przecież to nie było wszystko.

Choć powietrze w Tiefer Keller było ciężkie od papierosowego dymu, jej nagle zdało się, że w tej zadymionej sali przy Jopengasse w centrum Danzig poczuła tamtą nocną bryzę znad zatoki, gdy Henryk zabrał ją do jednej z tych spelunek w Neufahrwasser. Bywało, że w takie miejsca Grüne Minna przyjeżdżała w ciągu jednej nocy i kilka razy, bo nie brakowało tu awantur i bójek, w czasie których wyciągano noże.

– Ty gruba świnió, odczep się! Ty pałkarzu! – rozlegały się wrzaski, gdy ulicą nadbiegał schupo.

Henryk potrafił porozumieć się z każdym, także z nimi. Pił taniego machandla, stawiał innym kolejne kolejki i bawił się równie dobrze, jak na przyjęciu u Seana Lestera. Ale Lotte nie była tamtego wrześniowego wieczoru w humorze odpowiednim do podobnych zabaw. Miała Henrykowi za złe, że znaleźli się w takim miejscu, że on nie zwracał na nią uwagi, że wokół pełno było nożowników i pijaków, z którymi ona, asystentka Marianny Walewicz, nie chciała mieć nic wspólnego.

Wiedziała, że Henryk lubił czasem wyprawy w takie zakazane miejsca. Czasem były tylko wymówką dla spotkań z ludźmi, którzy dla niego pracowali, a czasem po prostu lubił się tak zabawić.

– Henryku, chodźmy stąd! – prosiła, ale on tylko całował ją w usta z tym swoim uwodzicielskim uśmiechem, któremu kiedyś nie potrafiła się oprzeć, po czym odwracał głowę i wracał do zabawy przy barze. – Henryku, muszę z tobą porozmawiać! Stało się coś strasznego! – próbowała odciągnąć go na bok.

– Później, Lotte! Później! Nie widzisz, że zacieśniamy tu przyjaźń polsko-niemiecką? – Wypił kolejną kolejkę i przy głośnym aplauzie zamówił następną.

– Henryku, ja nie chciałam dziś z tobą wychodzić na pijacką bibę!

– W końcu miała tego dość. – Ja chcę z tobą porozmawiać. Czy przestałeś już rozumieć, co do ciebie mówię?

– Panowie, dama prosi.

Henryk z teatralną przesadą ukłonił się w stronę kompanów i odszedł z Lotte od barowego bufetu. Gdy przeciskali się między stolikami i kilkoma parami obściskującymi się na małym parkiecie przy wtórze muzyki płynącej z radia, Henryk złapał ją za rękę i próbował tańczyć, ale Lotte stanowczo go powstrzymała. Henryk uniósł ręce bez słowa i wyszli na ulicę. Wrześniowa noc była ciepła, choć chłodna bryza znad zatoki

przypominała, że to już koniec lata. Z redy dobiegło buczenie statków oczekujących na wejście do portu w Danzig.

Zabłąkany przechodzień ominął ich szerokim łukiem, gdy stanęli przed piwiarnią.

– No, to mów, moja mała, o co chodzi – powiedział Henryk, zapalając papierosa.

– Henryku, znalazłam dzisiaj to. Przez przypadek. Leżało na biurku Mariana Walewicza. – Podała mu kartkę papieru, którą zabrała tego popołudnia z gabinetu ojca Marianny.

– Co to jest? – Henryk nagle spoważniał, jakby alkohol, który wlał w siebie w ciągu wieczora, ulotnił się w jednej chwili z jego żył.

Wyrzucił niedopałek i przeczytał to, co napisano na kartce.

– Znalazłaś to na biurku Walewicza? – powtórzył.

– Tak. Szukałam czegoś dla Marianny, a to po prostu tam leżało.

– Och, to zapewne nic. – Henryk złożył kartkę i wsunął do kieszeni marynarki. – Nie przejmuj się tym, Lotte – wzruszył ramionami i skierował z powrotem do piwiarni.

– Jak to nic? – Lotte powstrzymała go, łapiąc za łokieć. – Przecież to jest dokładnie to, co było w ostatnim raporcie Marianny, który przekazałam ci wczoraj. Nie czytałeś go? Tylko pismo nie jest Marianny, a jej ojca.

– Jesteś pewna? Może to pismo Marianny, a znalazło się u jej ojca przez przypadek.

– Nie, skądże. Przecież ja dobrze znam pismo Marianny i ona tak nie pisze. To na pewno pismo jej ojca.

– Lotte, ale ty jesteś uparta! Ojca, nie ojca, Marianny, nie Marianny! Chodźmy lepiej do środka zabawić się. Taka piękna noc, szkoda zmarnować ją na pracę! – Henryk próbował objąć Lotte i wciągnąć do wnętrza piwiarni. Wolną ręką popchnął drzwi wejściowe.

Z wnętrza dobiegł hałas rozmów zmieszanych z hałaśliwą muzyką.

– Ale to znaczy, że on wie o wszystkim. – Lotte wyrwała się z jego uścisku i cofnęła o kilka kroków. – To znaczy, że oni oboje współpracują z Niemcami. Henryku, a ty o tym nie wiesz...

– Lotte, Lotte – Henryk pokręcił głową. – Przestań tym zajmować swoją śliczną niemiecką główkę i chodź się zabawić ze swoim Henrykiem.

– To znaczy? To znaczy, że ty wiedziałaś? – Lotte poczuła nagłą falę nerwowego gorąca. Odeszła kilka kolejnych kroków, po czym wróciła do Henryka, który zdążył zapalić papierosa. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego mnie okłamałaś, że to Marianna przekazuje te informacje? No, odpowiedz mi! Dlaczego?

– Lotte, to w trosce o ciebie. Nie chciałem, żebyś... no, żebyś wiedziała, że jest w to zamieszanych więcej osób. Tak było bezpieczniej.

Dla ciebie.

– Nie rozumiem.

– Im mniej wiedziałaś, tym lepiej. Gdyby ktoś cię podejrzewał, to nie musiałabyś kłamać, bo wiedziałaś niewiele. Rozumiesz? To dla twojego dobra, Lotte.

Henryk przytulił do siebie zdenerwowaną Lotte, chcąc w ten sposób ją uspokoić, ale ona sięgnęła szybko do kieszeni jego marynarki, w której schował znalezioną na biurku Mariana Walewicza kartkę, i cofnęła się.

– Ale ty mnie okłamałaś. Okłamywałaś mnie przez ten cały czas.

Jak mogłaś tak po prostu patrzeć mi w oczy i mówić, że to Marianna? Ja ją szpiegowałam, grzebałam w jej rzeczach...

– I ją okłamywałaś, nieprawdaż, Lotte? Widzisz, to przecież proste.

No, chodź do środka, bo robi się chłodno.

– Nie, nie. Ja mam już dosyć tej zabawy. I tej dzisiejszej, i w ogóle całej. Rozumiesz? Muszę już iść.

Lotte odwróciła się i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę przystanku linii numer osiem w nadziei, że zdąży jeszcze na ostatni tramwaj. Za sobą usłyszała tylko trzaśnięcie drzwi do piwiarni.

W ostatniej chwili, niemal w momencie, gdy z dźwiękiem dzwonka tramwaj ruszył, Lotte wskoczyła na tylną platformę. Usiadła na drewnianej ławce w niemal pustym wagonie i trzęsąc się ze zdenerwowania, gorączkowo myślała o tym, co się wydarzyło.

Myślała o Henryku, którego kochała, ale nie mogła być przecież z osobą, która ją okłamywała. Choć może to było kłamstwo w dobrej wierze? W tamtym momencie była w to jeszcze gotowa uwierzyć.

Henryk był przecież jej pierwszym i najważniejszym mężczyzną, choć zdawała sobie sprawę, że tak wiele ich różni. Chciała go usprawiedliwić.

W czasie tamtej podróży tramwajem linii numer osiem, gdy czując uwierające deski tramwajowej ławki, jechała przez puste ulice miasta, uśpionego, choć w rzeczywistości oczekującego już tego, co miały mu przynieść nadchodzące miesiące i lata, w czasie tamtej podróży chciała jeszcze znaleźć wytłumaczenie dla Henryka, dla samej siebie, dla Marianny.

Zastanawiała się, jak mogła dopuścić do tego, by jej życie, życie skromnej dziewczyny z zaułka Schusterhof, która najbardziej na świecie lubiła oglądać Motlau, stojąc na Grüne Brücke, to życie tak bardzo się skomplikowało, a ona pozwoliła, by jego głównym elementem, chorobą, która zdawała się je podstępnie toczyć, stało się kłamstwo.

Jadąc wówczas tramwajem linii numer osiem, uświadomiła sobie, że odkąd zaczęła pracować u Marianny, jej życie było coraz bardziej mroczne, choć ona sama wmawiała sobie, że jest tylko coraz bardziej interesujące i opromienione blaskiem gdańskiej elity, wśród której, jak jej się zadawało, coraz lepiej się czuła. Ale teraz uświadomiła sobie, że to wszystko było fałszem, że wcale nie chce tak żyć, że jej wyobrażenie okazało się dalekie

od rzeczywistości, a wizja, którą w sobie nosiła, była tylko imaginacją pensjonarki.

Nie zastanawiała się, co robić. Patrzyła na przesuwane się za oknami tramwaju budynki Fabryki Wagonów i robotnicze domki kolonii Schichaua. Żelazne obręcze kół zazgrzytały, a wagonik lekko się przechylił, gdy koło Bartholomäikirche tramwaj skręcił. Lotte zorientowała się, gdzie jest, dopiero gdy za szybą zobaczyła kamienną iglicę Kriegerdenkmal. Plac, na którym stał pomnik, był tak rzęsiście oświetlony, że zamrugła aż powiekami. Tramwaj znowu skręcił

i wtoczył się wprost na Breitgasse.

Tamtego wieczora, gdy zostawiła Henryka w spelunie w Neufahrwasser, mimo późnej pory nie zawahała się, by zakończyć ten pełen obłędu taniec. Głuchy łoskot kołatki zawieszanej na drzwiach mieszkania Walewiczów wypełnił ciszę klatki schodowej. Po kilku chwilach usłyszała szcęk zasuw i w jasnej plamie światła padającej z korytarza pojawiła się ubrana we flanelową koszulę nocną sięgającą ziemi pokojówka Ewa.

– Panienska Lotte? – Ewa przetarła oczy. – Czy coś się stało?

– Tak, Ewo. Muszę porozmawiać z panną Marianną.

Nie czekając na zaproszenie, Lotte weszła do środka. Znała doskonale to mieszkanie i nim Ewa zamknęła drzwi wejściowe, była już w gabinecie Marianny. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak w dniu, gdy stanęła w nim po raz pierwszy. Brakowało tylko książek oprawnych w cielistą skórę, które swoje miejsce znalazły w szafie bibliotecznej, zaś notesy w tekturowej oprawie kilka godzin wcześniej ułożyła sama, nim wyszła stąd z kartką papieru zapisaną przez Mariana Walewicza w kieszeni.

– Jesteś! – Marianna nie wydawała się zdziwiona. Zamknęła za sobą starannie drzwi i poprawiła swe jasne włosy.

– Jestem.

– Dzwonił do mnie Henryk, mówił, że byliście razem, ale ty zostawiłaś go i zniknęłaś. Moja droga Lotte, Henryk bardzo się o ciebie martwi. O tej porze dnia, a właściwie nocy, samotne eskapady po mieście to nie jest najlepszy pomysł.

– Nie boję się. – Lotte wyjęła z torebki kartkę papieru, dość już wygniecioną, i podała ją Mariannie.

– Co to jest?

Marianna wzięła kartkę, rozłożyła ją, ale nawet nie spojrzała na to, co było na niej napisane.

– Może panna Marianna mi to powie. Co to jest? – powtórzyła Lotte.

– To pismo mojego ojca.

– Tak, pismo pana Walewicza. I opis tego, co zostało powiedziane na ostatnim spotkaniu u pana Lenziona.

– I cóż z tego?

– Panno Marianno, przecież pani dokładnie wie. To jest notatka, którą przekazała pani temu oficerowi z Berlina.

– Lotte, chyba coś pokręciłaś.

– Nie, nie. Nic nie pokręciłam. To jest notatka ze spotkania z panem Lenzionem, wcześniej była notatka z próby orkiestry smyczkowej pana Cywińskiego, zimą był opłatek w Bischofshöhe na Bischofsbergu z księdzem Rogaczewskim, a w czerwcu pokazy filmu o pogrzebie tego polskiego marszałka w kinie UT-Lichtspiele. Było tego bardzo, bardzo dużo.

– Lotte...

– Chce pani wiedzieć, skąd ja wiem? Bo ja też jestem w to wszystko wplątana. Cały czas panią szpiegowałam. Dziwi się pani? To przez tego... tego fałszywego Polaka, przez Henryka. On mi zawrócił w głowie. Tak, tak.

Chyba się pani domyślała, że mamy romans. On mi postawił świat do góry nogami. Ale ja już nie chcę tak żyć. Wiem, co pani robi, wiem, że ma pani romans z tym niemieckim oficerem. Chcę powiedzieć, że rozumiem panią i wstydzę się tego, co robiłam. Mam nadzieję, że jako córka Niemki i pani będzie dla mnie wyrozumiała, wybaczy mi i pozwoli odejść. I obieca mi jeszcze, że nie będzie się więcej kontaktować z Henrykiem, bo to nie jest żaden dziennikarz. On przyjeżdża tu szpiegować i donosi swoim przełożonym w Bromberg. Ja myślałam, że on mnie naprawdę kocha, ale on chciał tylko, żebym panią szpiegowała. A ja się, głupia, dałam na to nabrać. Proszę mi wybaczyć. – Lotte przycisnęła dłonie Marianny do swej rozpalonej twarzy.

– Lotte, spokojnie, spokojnie. – Marianna odsunęła ją delikatnie i posadziła na skórzanej sofie. – Siadaj, moja droga. – Zadzwoiła stojącym koło zegara dzwonkiem, po którym niemal natychmiast pojawiła się Ewa, teraz zawinięta w różowy szlafrok. – Przynieś nam herbaty. I zrób dla Lotte jakieś kanapki – powiedziała, a gdy ruda pokojówka zniknęła za drzwiami, usiadła obok. – Ja wiem, kim jest Henryk – powiedziała. – I wiem, co cię z nim łączy. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to ucieszyło, bo jesteś dla mnie jak siostra, a on... cóż, ma swoje wady, ale to wspaniały człowiek.

– Jak to? Czy pani nie słyszała? On kazał mi panią szpiegować? – Lotte niemal uniosła się z kanapy.

– To także wiem – Marianna uśmiechnęła się łagodnie.

Lotte patrzyła na nią w milczeniu, czując coraz mocniej pulsujące żyły w skroniach. Nie chciała zrozumieć tego, co plątało się w jej głowie.

– Nie sądzisz chyba, że naprawdę przekazywałabym te informacje.

Henryk wiedział o wszystkim. Mówisz o romansie z Heinrichem? Teraz ty mnie zrozum, on tak samo zaszantażował mnie, jak zrobił to Henryk z

tobą. Choć nie przeczę, że było w tym i uczucie. No, może raczej pożądanie. I transakcja wymienna. Cóż tak patrzysz na mnie, Lotte?

Kochasz swoją matkę, prawda? Zrobiłabyś dla niej wszystko? – Marianna wstała, podeszła do biurka, wyjęła z szuflady papierośnicę.

Zapaliła. – Heinrich postawił mnie w takiej sytuacji. Kupiłam spokój mojej matki za cenę tych informacji. Dzięki tobie, Lotte, mojemu Heinrichowi do głowy nawet nie przyszło, że Polacy wiedzą wszystko ode mnie. Albo raczej dzięki nim on wie to, co wie. Cóż tak na mnie patrzysz? Nie mogłam pozwolić na to, żeby moją matkę spotkały takie prześladowania, jak innych. O wyjeździe z Berlina nie chciała słyszeć, więc kiedy nadarzyła się okazja, postanowiłam tylko ją wykorzystać. Ale nie mogłam zdradzić własnego ojca. Więc od niego się zaczęło.

Lotte czuła w głowie coraz większe zamieszanie. W uszach jej szumiało, skronie pulsowały. Miała wrażenie, że zielone sukno na czeczotkowym biurku stojącym za Marianną unosi się i opada, jak magiczny dywan z arabskich baśni. Próbowwała podążać za tym, co mówiła jej pracodawczyni, ale wciąż nie wszystko do niej docierało.

– Cóż tak milczysz, Lotte? – zapytała z lekkim zniecierpliwieniem Marianna, gdy pokojówka Ewa, usiłując powstrzymać ziewnięcie, postawiła na stoliku dzbanek z herbatą, dwie filiżanki z białej porcelany i pękata, srebrną cukiernicę. – Jesteś zdziwiona? – zapytała Marianna, gdy Ewa zamknęła za sobą drzwi. – Chyba już wiesz, że życie nie jest proste. Nic nie jest tylko białe albo tylko czarne. Czasem trzeba wybrać kompromis albo wykorzystać okazję. Jeśli nie możemy zmienić naszej rzeczywistości, musimy się do niej dostosować i przyjąć reguły gry.

– Powiedziała pani o swojej matce... – odezwała się cicho Lotte. – Dlaczego musiała pani ją chronić?

– Lotte, nie udawaj, że nie rozumiesz. Moja matka jest Żydówką.

A w tym kraju Żydzi nie są teraz dobrze widziani. Czytałaś dzisiejszą gazetę?

Wczoraj Reichstag w Norymberdze uchwalił Ustawę o obywatelstwie niemieckim. Żydom odbierze się niedługo prawo do oddychania aryjskim powietrzem.

Lotte przypomniała sobie słowa, które rano wypełniały mieszkanie przy Ring Strasse. Ojciec siedział przy radiu i w milczeniu, czasem tylko kiwając potakująco głową, słuchał przemówienia Führera. „Żyd jest przeciw-człowiekiem, anty-człowiekiem. Żyd jest stworzeniem innego Boga... Żyd jest podobieństwem diabła”. Spojrzała na Mariannę, na jej delikatną twarz o skórze tak bladej, że niemal przeźroczystej, na jasne włosy, które spływały na jej ramiona niczym anielskie włosie na świąteczny drzewku, na dłonie o długich, smukłych palcach, w których trzymała tłącego się papierosa. Zesztywniała.

– Jestem w to zamieszana równie mocno, jak pani, panno Marianno. – Wstała poprawiając nieistniejące fałdy na spódnicy. – Dlatego nic nikomu nie powiem. Bo ja też nie chcę być zdrajczynią.

Zapomnę o wszystkim, zamknę ten rozdział i już nigdy do niego nie powrócę. Nigdy też nie powrócę do pracy u pani. Ani do czegokolwiek, co się z nią wiązało. Włączając w to Henryka. A teraz żegnam.

Odwróciła się i wyszła. Minąwszy bez słowa pokojówkę Ewę, po raz ostatni opuściła mieszkanie Walewiczów i z głuchym trzaśnięciem zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 19

– Ona była mischlingiem. – W gwarze, który wypełniał Tiefer Keller, Lotte z trudem usłyszała własny głos.

– Słucham? – komisarz Franz Thiedtke pochylił się w jej stronę.

– Ona była mischlingiem – powtórzyła Lotte. – Mieszkańcem. Jej matka była Żydówką. Niemiecką Żydówką z Berlina. Sara Sonia Walewicz z domu Rotschild, kuzynka tych sławnych bankierów, bardzo daleka, ale kiedyś to nazwisko otwierało wszystkie drzwi. Lotte kupiła jej bezpieczeństwo u Sturmbannführera Heinricha Auerbacha, któremu przekazywała donosy dotyczące tego, co działo się w środowisku gdańskich Polaków. Gdzie i po co się spotykali, co mówili, co robili, czy byli nastawieni do Niemców źle czy dobrze, co mówili o partii, o gauleiterze Forsterze. Wszystko, nawet to, co nieistotne.

– Mówiła pani, że nic o tym nie wiedziała.

– Tak. Tak mówiłam. A pan powiedziałby inaczej?

– Jest pani tego pewna? To znaczy tego, co powiedziała pani o Mariannie i Sturmbannführerze Auerbachu.

– Panie komisarzu, ja wszystkie jej raporty przeczytałam. A ze Sturmbannführerem miała nawet romans, choć twierdziła, że ją szantażował. Ale ja ich widziałam, i to nieraz. Trzymali to w tajemnicy, ale przed osobistą asystentką nic się nie ukryje. Sturmbannführer boi się teraz, żeby ktoś się o tym nie dowiedział. Romans z Żydówką, sam pan rozumie, to by mu nie pomogło w karierze.

– Panno Lotte, czy zdaje pani sobie sprawę ze swoich słów?

Twarz komisarza Thiedtke zaiskrzyła się od kropel potu, które pojawiły się na jego czole. Bez słowa wyjął z kieszeni wykrochmaloną, białą chusteczkę z wyhaftowanymi przez Waltraud we wszystkich czterech rogach inicjałami i otarł nią dokładnie twarz.

– On jest w to wszystko zaplątany. Nie wiem, co ma znaczyć pana odkrycie, że to ciało z mola w Glettkau to nie jest ciało Marianny, ale jestem pewna, że za jej morderstwem stoi Heinrich Auerbach.

– Czy on wie, że pani ma taką wiedzę?

– Tak, oczywiście. Powiedział, że jeśli będę milczała, to on zapomni.

– Zapomni? Zapomni o czym?

– O tym, co ja zrobiłam. – Zaległa długa cisza.

Lotte spuściła głowę, ponownie zastanawiając się, czy powinna, czy może wyjawić komisarzowi wszystko do końca. Franz Thiedtke bez słowa przyglądał się jej, czekając.

– Oni mnie w to wrobili – powiedziała po chwili. – Henryk Malicki, Marianna, jej ojciec. Polacy i Żydzi. To wszystko było ukartowane. Ojciec Marianny to wymyślił. Henryk udawał, że jestem dla niego czymś więcej, no, wie pan, co chcę powiedzieć. Ja w to uwierzyłam. Potem powiedział mi, że Marianna przekazuje Niemcom te informacje o Polakach w Danzig. Chciał, żebym przynosiła mu to, co ona pisze w swoich raportach. I ja to robiłam.

A potem okazało się, że oni wystawili mnie, żeby Heinrich Auerbach nie domyślił się, że to, co ona przekazuje jemu, tak naprawdę pisze Henryk. Sturmbannführer wiedział, że ja przekazuję wszystko Henrykowi, i to dawało Mariannie alibi. Gdyby wpadła.

Oszukali mnie, wykorzystali. Kiedy to się w końcu wydało, kiedy odkryłam to przez przypadek, natychmiast odeszłam. Zresztą, to było wtedy, gdy wprowadzono ustawy norymberskie i Żydówka nie mogła już

zatrudniać Niemki. Panie komisarzu, ja nie mogłam pracować u Żydówki. Ja myślałam, że ona jest doskonała. Była taka piękna, świetnie wykształcona, prawdziwa dama. A tymczasem okazała się zwykłą śmierdzącą Żydówką, oszustką, jak oni wszyscy. Myślała tylko o tym, żeby mnie wykorzystać. Ja nie miałam dla niej żadnego znaczenia. Jak śmieć. Wcześniej nie zwracałam uwagi na całe to zamieszanie z rasą, ale mój ojciec miał rację. Ja zaczęłam czytać „Stürmera”, zrozumiałam, oczyściłam swoje winy.

– Panno Lotte, panno Lotte! Niech się pani uspokoi! – komisarz Thiedtke położył ręce na ramionach Lotte. Kobieta dygotała.

– Panie komisarzu, mnie to zniszczyło życie. Ja chciałam tylko tego, żeby Marianna i Henryk umarli. Ale kiedy zobaczyłam jej ciało tam w Glettkau, to wcale się nie ucieszyłam. Powinam przecież. Ale ja poczułam tylko pustkę. I wszystko wróciło. I oni dali mi do zrozumienia, że jeśli cokolwiek powiem o tamtych wydarzeniach, to... no, nie wiem, co mi zrobią, ale nie chcę się o tym przekonywać.

– Panno Lotte, myślę, że jest pani w wielkim niebezpieczeństwie.

– Pan im powie, że ja to wszystko panu opowiedziałam? – Lotte spojrzała na komisarza z przerażeniem.

– Nie, skądże! – zachnął się komisarz. – Ja nic nie powiem. Ale oni już podejrzewają, że pani mi to powiedziała i że zająłem się tym, bo pani po to do mnie przyszła. Panno Lotte, myślę, że powinna pani wyjechać.

Teraz jest w Danzig zbyt niespokojnie.

– Wyjechać? Nie, to niemożliwe. Nie, ja nie mogę wyjechać z Danzig. – Lotte potrząsnęła zdecydowanie głową.

– Musi pani, obawiam się. Inaczej może się pani przekonać, czym jest obóz pracy.

– Obóz pracy? Ale to Danzig, nie Rzesza.

– Ale metody te same. Powinna pani natychmiast wyjechać z Wolnego Miasta.

– Dokąd? Ja nigdy stąd nie wyjeżdżałam. W Rzeszy nie mam żadnej rodziny. Nie wiem, dokąd miałabym jechać.

– Myślę, że wyjazd do Rzeszy byłby tym samym, co pozostanie w Danzigu. Powinna pani jechać do Szwecji albo do Polski.

– Do Polski? Panie komisarzu, to prowokacja? – Lotte zerwała się z drewnianej ławy. – Ja powinnam się była tego domyślić. Pan jest z nimi, pan jest jednym z nich!

– Ależ skądże, co też pani opowiada! – Franz Thiedtke złapał ją za rękę i posadził z powrotem przy stole. Rozejrzał się wokół i mówił dalej ściszym głosem, który ledwo przebijał się przez szum w restauracji Tiefer Keller. – Niech pani odłoży na bok swoje poglądy i myśli o bezpieczeństwie.

Po drugiej stronie granicy będzie pani bezpieczniejsza. Radziłbym jak najszybciej wyjechać do Gdingen i tam wsiąść na statek do Szwecji.

– Ale, panie komisarzu, dlaczego? Przecież ja nie zrobiłam nic złego. Nie chcę wyjeżdżać. Nie muszę. Nie mogę.

– Jest pani chyba świadoma tego, co się wokół dzieje. Lada chwila wybuchnie wojna. Może daleko, a może całkiem blisko. Nie chce pani chyba zostać skazana za zdradę. A ja mogę panią zapewnić, że Sturmbannführer Auerbach nie jest człowiekiem, który pozwoli, by coś przeszkodziło jego planom. Coś czy ktoś.

– Ale przecież ja jestem nikim. Nie mogłabym mu zaszkodzić.

– No, cóż. Zrobi pani, jak będzie uważała za słuszne. W każdym razie proszę o tym pamiętać.

– Panie komisarzu, czy to on, czy to Sturmbannführer Auerbach zabił Mariannę?

– Myślę, że nikt Marianny Walewicz nie zabił.

– Jak to? A ciało?

– Ciało, które znaleźliśmy na moło w Glettkau, było ciałem kogoś zupełnie innego. A Auerbachowi chodziło o to, żeby to pani znalazła się na miejscu, by zidentyfikować zwłoki po medalionie. Wystarczyło zawiesić go na szyi denatki. Jak pani widzi, nie była pani w tej operacji postacią bez znaczenia.

– Ja nie rozumiem, pani komisarzu. Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Myślę, że Marianna Walewicz zrobiła to, przed czym pani się broni.

– Wyjechała?

– Uciekła z Wolnego Miasta. Jeśli była zamieszana w szpiegowanie, to straciłaby za to głowę. Wie pani, wyrok śmierci.

– A te zwłoki z Glettkau?

– Sądzę, że dla Sturmbannführera Auerbacha poświęcenie życia nic nie znaczącej osoby nie było problemem. Nie, z pewnością nie zrobił tego sam. Tacy, jak on, wydają tylko rozkazy.

– To znaczy, że on kazał kogoś niewinnego zabić?...

– ...żeby Marianna Walewicz zniknęła na zawsze. Jutro zostanie pochowana i nikt więcej nie będzie jej szukał. Cóż pani tak zbladła? To bardzo zgrabny plan. Sama pani powiedziała, że Marianna miała z nim romans. Zapewne zrobił to, by uratować jej życie.

Lotte siedziała w milczeniu, wpatrując się z otępieniem w komisarza.

– Sturmbannführer Auerbach nie sądził tylko, że pani zainteresuje się tą śmiercią i przyjdzie do mnie. Myślał, że wystarczy panią zastraszyć i będzie miał problem rozwiązany. Pani popsowała mu szyki, panno Lotte.

– A pan? Pan to wszystko odkrył.

– Ja? Cóż ja? Jutro kończę służbę i przechodzę na emeryturę.

Jestem tylko sfatygowanym, starym komisarzem, któremu nie podoba się to, jak zmienia się świat. Ale czy komuś z biegiem lat to się podoba?

Każdy w moim wieku mówi to samo. No, poza tym ja zawsze byłem oddany naszej ojczyźnie. Komisarz Thiedtke miał wrażenie, że siedząca po drugiej stronie stołu Lotte kuli się i zapada w siebie. Robiła się mniejsza i bledsza, jakby chciała w ogóle zniknąć. Jej wzrok był mętny i komisarz nie był pewien, czy rozumiała wszystko, co do niej mówił.

– Ale ja tak bardzo się starałam – powtórzyła cicho. – To oni mnie wykorzystali.

– W każdym razie niech pani na siebie uważa. Słyszysz mnie pani, Lotte? Jeśli nie chce pani wyjechać, niech pani będzie bardzo ostrożna.

Najlepiej niech pani o wszystkim zapomni, nikomu nic nie mówi, uważa na Auerbacha. I niech pani nie idzie jutro na pogrzeb.

Lotte kiwała potakująco głową.

– A gdyby jednak zdecydowała się pani wyjechać, to radzę zrobić to natychmiast. I uważać na siebie, bo na dworcach nasi schupo łapią młodych Polaków, którzy wyjeżdżają do Gdingen. Wie pani, na wypadek wojny. Oni też zasilą nasz Wehrmacht. Nawet jeśli nie będą mieli na to ochoty. A teraz, panno Lotte, pójdę już. – Komisarz wstał. – Proszę odczekać kwadrans, a jak pani wyjdzie, proszę uważać, czy nikt pani nie śledzi. Sądzę, że już się nie spotkamy. Było mi bardzo miło panią poznać, bez względu na okoliczności. I, na Boga, proszę na siebie uważać!

ROZDZIAŁ 20

Kiedy Heinrich Auerbach wychodził z gabinetu Obersturmführera von Moltke, Lotte Meier siedziała przy swoim biurku. Nie podniosła oczu, gdy przechodził obok. Rozmawiała przez telefon, jednocześnie robiąc odręczne notatki w leżących przed nią aktach. Doktryna narodowosocjalistyczna nie pomagała w codziennym życiu swoim wyznawczyniom, zabraniając używania pudru i szminki, które nie zgadzały się z germańską cnotą, pomyślał z sarkazmem. Jednak Lotte Meier była sprytna i zrozumiała, że nie warto z nim walczyć, bo ktoś jej pokroju nie mógł wygrać z jego pozycją, precyzyjnym planem i konsekwentnymi działaniami.

Jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu, gdy wszedł do sekretariatu własnego gabinetu, gdzie Ingrid siedziała beczynnym za biurkiem i patrząc w okno, paliła papierosa. Na widok przełożonego zdusiła go szybko w popielniczce i ręką rozpędziła smugi dymu unoszące się nad głową. Zadzwonily głośno bransoletki, które nosiła na przegubie. Heinrich Auerbach ujął jej dłoń w swoje brzydkie, choć zadbane ręce i ucałował wolno.

– Spokojnie, panno Ingrid. Taka kobieta, jak pani, nigdy nie powinna wpadać w panikę – powiedział.

Ingrid spojrzała na niego przeciągle, pochylając się lekko, dokładnie tyle, ile było potrzeba, by odsłonić kryjący się za rozchyłoną bluzką dekolt. Heinrich Auerbach z przyjemnością przyjrzał się jej kształtnym piersiom.

– Chyba już czas, żebyśmy spotkali się na bardziej neutralnym gruncie, panno Ingrid. Nie sądzi pani?

Ingrid uśmiechnęła się i cofnęła, poprawiając bluzkę.

– A tymczasem proszę zawołać do mnie asystentkę Obersturmführera von Moltke, tę pannę Meier – powiedział, wchodząc do swego gabinetu.

– Nie ma jej, Sturmbannführer – zameldowała Ingrid po kilku minutach.

– Lotte Meier nie ma.

– Jak to nie ma? Przecież widziałem ją przed chwilą w sekretariacie Obersturmführera von Moltke.

– Jego druga asystentka mówi, że źle się poczuła i wyszła.

– Niech mnie pani połączy z Justusem Frankiem. – Heinrich Auerbach zaklął pod nosem.

– Czy śledzicie komisarza Thiedtke? – rzucił do słuchawki telefonu, gdy Ingrid Wolf wykonała jego polecenie.

– Tak jest, Sturmbannführer.

Justus Frank miał chrapliwy głos więźnia ze Stadelheim, czym szczylił się ilekroć nadarzyła się po temu okazja, podkreślając, że odsiadywał swój wyrok w celi niedaleko miejsca, w którym Adolf Hitler napisał Mein Kampf. Pomijał tylko fakt, iż Mein Kampf powstało w więzieniu w Landsbergu, zaś w Stadelheim Führer przebywał zaledwie miesiąc, nie wspominał także, że nie był więźniem politycznym, a zwykłym kryminalistą, który w dodatku do Stadelheim powędrował dwa razy, odsiadując w sumie sześć lat więzienia. Jednak jego skłonność do bójek udało się w SS wykorzystać i w czerwcu trzydziestego dziewiątego Justus Frank przyjechał do Danzig, by w ramach operacji Tannenberg wejść w skład Einsatzkommando doktora Troegera. – Opuścił budynek prezydium policji dwadzieścia minut temu.

Chłopcy pojechali za nim.

– Był sam?

– Tak.

– Za dziesięć minut jedziemy do przeszukania. Przygotujcie się.

– Tak jest, Sturmbannführer.

Nim Heinrich Auerbach zdążył wyjść ze swego gabinetu, otrzymał wiadomość, że komisarz Franz Thiedtke uciekł śledzącym go esesmanom. Z tym większą wściekłością uderzał pięścią w drzwi do jego mieszkania przy Kohlenmarkt.

– Słucham? – kobieta, która mu otworzyła, była szczupła i wyprostowana, a twarz, mimo zmarszczek i przebarwień, nosiła ślady dawnej urody.

– Czy jest komisarz Franz Thiedtke?

– Nie, męża nie ma.

– Mamy nakaz rewizji. – Heinrich Auerbach pchnął drzwi, kobieta zachwiała się i upadłaby, gdyby nie ściana, na którą się zatoczyła.

Esesmani minąwszy ją, weszli do wnętrza mieszkania.

– Chwileczkę, o co chodzi? Co się stało?

Kobieta próbowała nie dopuścić, by starannie ułożona w wiklinowych koszach porcelana zawinięta w stare numery „Danziger Neuste Nachrichten” powędrowała na podłogę, tworząc bezładną stertę rozwiniętych gazet i pękających z chrzęstem skorup, by ubrania schowane już w ustawionych na środku salonu kufrach i walizach rozrzucono bezładnie na stojące obok meble, a książki przygotowane do zapakowania rozsypały się pod kopniakami trzech ubranych w czarne mundury mężczyzn.

– Pani jest żoną komisarza? – głos Sturmbannführera Auerbacha był ostry i pogardliwy. – Niech pani pokaże dokumenty!

– Nazywam się Waltraud Thiedtke. – Kobieta przyniosła dokumenty. Jej ręce drżały. – Protestuję przeciwko temu, co panowie tutaj robią. O co chodzi? Proszę mi to wyjaśnić! Ja złożę skargę w prezydium!

– Pani Thiedtke, pani mąż miał w ostatnich dniach kontakt z niebezpiecznym przestępcą. Jeśli znajdziemy jakieś ślady na dowód, że jest zamieszany w tę sprawę, to stanie po drugiej stronie wymiaru sprawiedliwości. Rozumie pani, o czym mówię?

Heinrich Auerbach w ślad za swoimi ludźmi wszedł do kuchni.

Mąka, sól i cukier wyciągnięte z kredensu wyglądały niczym śnieg na bożonarodzeniowej pocztówce, gdy bezgłośnie opadały na wyłożoną kaflami podłogę.

– I myśli pan, że w cukrze schował te dowody? – Waltraud trzęsa się ze zdenerwowania. Nadal trzymała się prosto. Na jej twarzy rysowała się bezsilna wściekłość wobec tego, co działo się w jej mieszkaniu.

Z odrazą patrzyła na esesmanów zagląających między rondle i garnki, które ułożone równo w szafkach czekały na swoją kolej, by razem z cynowym kompletem do porannej kawy, zestawem srebrnych, starannie wypolerowanych sztućców i platerowanymi świecznikami udać się w podróż do Langfuhr.

– Czy wiadomo pani coś o sprawie Marianny Walewicz? – Sturmbannführer Auerbach odwołał swoich ludzi z kuchni. Z wnętrza mieszkania dobiegł stukot ich butów z wysokimi cholewami i trzask szaf otwieranych w kolejnych pomieszczeniach.

– Mój mąż nie opowiada mi o żadnych służbowych sprawach. – Waltraud skrzyżowała ręce na piersiach, jakby w ten sposób chciała odgrodzić się od Sturmbannführera. Nie bała się. Patrzyła na niego wyzywająco, choć jednym ruchem ręki mógł rzucić ją na podłogę, taka była teraz krucha i delikatna – Zna się na pracy w policji, jak nikt inny.

Pana nie było jeszcze na świecie, kiedy on był już policjantem.

– Dobrze, dobrze, pani Thiedtke. – Heinrich Auerbach machnął ręką i wyszedł z kuchni. – Znaleźliście coś podejrzanego? – rzucił w głąb

mieszkania, a wychodząc za esesmanami, powiedział do Waltraud Thiedtke: – Pani mąż ma szczęście, że nic nie znaleźliśmy. Ale to nie koniec. Niech mu to pani powtórzy!

Wyszedłszy z kamienicy przy Kohlenmarkt, Sturmbannführer Auerbach wsiadł do zaparkowanego obok czarnego mercedesa i rozkazał kierowcy, by jechał na Ring Strasse.

W drzwiach mieszkania nowoczesnej kamienicy w Langfuhr także przywitała ich kobieta, tym razem na wózku. Z szerokimi kołami i wysokim, wiklinowym oparciem wózek z trudem mieścił się w wąskim korytarzu.

– Gestapo. Mamy nakaz przeszukania mieszkania. – Heinrich Auerbach nogą wepchnął go w głąb mieszkania. Kobieta z przerażeniem złapała za przednie koła, w ostatniej chwili powstrzymując go przed zderzeniem ze ścianą przeciwną do drzwi wejściowych. – Czy tu mieszka Lotte Meier, sekretarka z prezydium policji? – Auerbach był już w największym z pokoi, a jego pomocnicy krążyli po innych pomieszczeniach.

– Tak, to moja córka – powiedziała kobieta na wózku. Była przerażona.

– A pani? Jak się pani nazywa? Niech pani pokaże dokumenty!

– Są w szufladzie komody. – Wskazała szafkę w pokoju.

Heinrich Auerbach przetrząsał szuflady jedna po drugiej, wyciągając z nich robione na szydełku serwety i powłoczki na poduszki, bawełniane kordonki i kolorową włóczkę, szydełka i szpilki. – Liselotte Meier? – przeczytał, gdy trafił w końcu na dokumenty.

Kobieta skinęła głową.

– Pani córka jest zamieszana w poważną aferę szpiegowską. Jeśli okaże się winna, to nasz sąd orzeknie jedyny możliwy wyrok.

Kraciasty koc okrywający nogi Liselotte zsunął się na podłogę, ona sama zastygła w milczeniu. Wbiła wzrok w niewidzialny punkt przed sobą,

poza mężczyznami przetrząsającymi szafy i komody, jakby to, co działo się wokół, nie dotyczyło jej świata. Zaciśnęła tylko dłonie o skórę pobrużdżonej ciemnymi żyłami tak mocno, że z ich wnętrza popłynęły cienkie strużki krwi.

– Co pani wie o Marianne Walewicz? – Heinrich Auerbach stanął naprzeciw niej.

– Mariannie Walewicz? Moja córka pracowała kiedyś u niej. Ale to było dawno temu.

– A co pani wiadomo o jej kontaktach z Henrykiem Malickim?

– Ja nic nie wiem o żadnym Henryku Malickim.

– Córka naprawdę nic nie mówiła o swoim kochanku? – Heinrich Auerbach pochylił się nad nią i zatrzymał swoją nieskazitelną, aryjską głowę tuż przy jej bladej twarzy. Liselotte cofnęła się z odrazą.

– To jakaś pomyłka. Moja córka nie ma żadnego kochanka – powiedziała. – To bardzo porządna niemiecka dziewczyna.

– No, cóż, pani Meier. Myślę, że się pani myli. – Heinrich Auerbach wyprostował się i poprawił mundur. – Frank, zostajesz tutaj.

Pilnuj starej, a jak pojawi się Lotte Meier, aresztuj ją i przywieź na Karenwall – powiedział do Justusa Franka. – A wy dwaj zawieźcie mnie do prezydium. Potem wracacie tutaj i czekacie na nią przed domem. Gdyby uciekała, macie ją złapać i aresztować. Zrozumiano?

– Tak jest, Sturmbannführer.

Dwaj młodzi esesmani wyszli z mieszkania.

Heinrich Auerbach odwrócił się jeszcze w stronę Liselotte i skłaniając głowę z przesadną uprzejmością, powiedział, uśmiechając się sarkastycznie:

– Mój przyjaciel dotrzyma pani towarzystwa. A jak wróci pani córka, niech ją pani zapyta o Henryka Malickiego. Mój przyjaciel poczeka. – Po

czym z głośnym trzaśnięciem zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 21

Był wczesny poranek, gdy Lotte obudził huk przelatujących nad miastem samolotów. W kilka chwil później dudniący dźwięk zatrzęsł całym budynkiem. Z nocnego stolika spadł mały, srebrny zegarek Junghans, który stworzony w fabryce w dalekim Schrambergu przywędrował do sklepu zegarmistrza Fitkego w pasażu Das Grosse Zeughaus, gdzie na jasno oświetlonej wystawie wypatrzył go Georg Meier i w dniu, w którym Lotte wstąpiła do BDM, kazał wygrawerować na kopercie małą swastykę, by przy kolacji na Ring Strasse wręczyć go ze wzruszeniem córce. Lotte podniosła zegarek z ułożonego wzdłuż łóżka kolorowego chodnika. Był czwarta pięćdziesiąt.

– Fraulein! Fraulein! – rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi i do pokoju wpadła pani Turczyńska, wysoka, postawna kobieta z głową w papilotach. – Zaczęło się! Krieg! Wojna! – wymachiwała rękami i krzyczała już to po polsku, już po niemiecku, bo brat uprzedził ją, że Lotte nie rozumiała jej ojczystego języka. – Niemcy! Faschisten! Bum bum na Gdynię, verstehen?

Lotte zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Szeroka aleja wiodąca wprost do morza była pusta. Czerwone kwiaty wysadzone gęsto na rabatach wzdłuż asfaltowej ulicy pochylały się lekko pod podmuchami wiatru znad zatoki. Z daleka dobiegały głuchoe odgłosy armatnich wystrzałów i Lotte miała wrażenie, że nad horyzontem, w miejscu, gdzie Tote Weichsel uchodziła do morza, unosiły się kłęby dymu. Neufahrwasser, pomyślała. I Westerplatte. Polska strażnica. Więc jednak? A ona znalazła się po drugiej

stronie. Zacisnęła mocno pięść, w której trzymała zegarek od ojca. Zegarek ze swastyką.

Budynek znowu się zatrząsł. Secesyjny żyrandol z grubego szkła zakołysał się niebezpiecznie pod sufitem. Szyby w oknach wydały z siebie niepokojący chrzęst.

– To nalot na port. Hafen bum bum. Wasze samoloty. Luftwaffe. – Pani Turczyńska pociągnęła Lotte za rękę w głąb pokoju. – Ubieraj się, Lotte. Do tej swojej Szwecji to już nie dojedziesz, dziewczyno. Ale do Warszawy to może jeszcze się uda. – Wyjęła z szafy sukienkę, którą zostawiła Marianna, i zdjawszy ją z drewnianego wieszaka, podała Lotte.

– No, ubieraj się. Henryk w nocy przyjechał. Zaraz tu będzie. Henryk ist hier.

Lotte wrzuciła do torebki zegarek, spięła włosy i włożyła szybko sukienkę. Gdy dotknęła lekkiego szyfonu w kolorze świeżej zieleni, nad którym unosił się delikatny zapach perfum Marianny, poczuła dreszcz odrazy i uwielbienia zarazem, bo było coś perwersyjnego w tym, że miała ją teraz na sobie. Ciągle jeszcze nie do końca pojmowała to wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwu dni, gdy po spotkaniu z komisarzem Thiedtke w Tiefer Keller dotarła na Ring Strasse i przed kamienicą, w której mieszkała z Liselotte i Georgiem, zobaczyła zaparkowanego mercedesa, który w niczym nie różnił się od samochodów śledzących Henryka na Bischofsbergu.

W ostatnim momencie schowała się na klatce schodowej domu oddalonego o kilkadziesiąt metrów i przez szybkę w drzwiach obserwowała mężczyzn wychodzących z kamienicy. Dwóch młodych esesmanów, a za nimi sam Heinrich Auerbach. Przywarła do zimnej ściany, wstrzymując oddech. Mężczyźni wsiedli do samochodu i odjechali w stronę przejazdu kolejowego nad torami łączącymi Danzig i Zoppot.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, nim zdecydowała się wyjść na ulicę. Początkowo chciała wrócić do mieszkania, sprawdzić, co się stało, uściskać Liselotte z przekonaniem, że tak naprawdę to była pomyłka, a Auerbach szukał kogoś zupełnie innego, pragnęła potraktować wszystko, jak zły sen, który zaraz minie. Straciła jednak całą pewność siebie, to niezachwiane poczucie słuszności własnych wyborów, które zyskała wraz z partyjną odznaką. Nagle zamiast poczucia siły, jakie dawała przynależność, zamiast tego porywającego entuzjazmu i poczucia wspólnoty z całym bezimiennym tłumem maszerującym nocą z pochodniami ulicami miasta, zamiast dodającej spokoju pewności, że to, czym się jest i co się w swoim życiu robi, jest tylko małym trybikiem w wielkiej maszynie świata zarządzanego przez tych, którzy wiedzą lepiej i mogą znacznie więcej niż pojedynczy, szary człowiek z tłumu, poczuła to, czego się bała i przed czym instynktownie całe dotychczasowe życie uciekała.

Poczuła nagle dojmującą, niemal fizycznie bolesną samotność, strach przed własną jednostkowością, za którą nie stała partia, status, jaki uzyskała dzięki pracy w prezydium policji, czy twarde zasady, którym się podporządkowała. Nagle zdała sobie sprawę, że jest zupełnie sama.

Tak bardzo chciała uściskać Liselotte, tak bardzo chciała znaleźć się we własnym pokoju, choć nużąca powtarzalność kolejnych przecznic osiedla przy Ring Strasse odbierała temu miejscu wyjątkowości, jakiej nabierają budynki, choć detalem różniące się od siebie, jak ludzie różniący się wzajemnie poglądami.

Przebiegła na drugą stronę ulicy, by minąć ponury gmach szkoły i skierować się w stronę Max Halbee Platz gdzie wsiadła na tylną platformę tramwaju linii numer pięć, który z głośnym łoskotem kół potoczył się koło Christuskirche na Ostsee Strasse. Po kilku minutach jednak wysiadła,

doszedłszy do wniosku, że jazda powolnym tramwajem ruchliwą aleją łączącą Langfuhr z Danzig może być dla niej zbyt niebezpieczna.

Przypominała sobie słowa komisarza Thiedtke. On wszystko przewidział. Znowu pojawiła się dręcząca myśl, że komisarz był w istocie jednym z nich, że tylko odgrywał rolę przyjaciela, doradcy, który nie podąża ślepo za rozkazami przełożonych, jednak po chwili przywołała się do porządku, tłumacząc sobie w myślach, że plan, który przygotował Heinrich Auerbach, miał zupełnie inne założenia, zaś ona sama sprawiła, że wszystko potoczyło się w ten niespodziewany sposób.

Gdyby nie poczuła dręczącej niepewności, gdyby nie podważyła oficjalnych efektów śledztwa, gdyby podporządkowała się Auerbachowi i wytrwale budowała swój nieskazitelnie idealny wizerunek wiernej Führerowi i ideologii narodowosocjalistycznej asystentki Obersturmführera von Moltke, nadal trwałaby w swej bezpiecznej przestrzeni, prowadzona ręką tych, którzy wiedzieli lepiej, zwolniona z odpowiedzialności, z czystym sumieniem wykonująca tylko polecenia przełożonych, napędzana bezrefleksyjną niechęcią do tych, którzy byli inni, odmienni od tego, co jako obowiązującą normę nakazali przywódcy. Tymczasem nie zauważyła nawet, kiedy przeciwstawiła się własnemu sposobowi myślenia, kiedy i ona stała się inna, może nieświadomie przeciwna, ale zdecydowana w dojściu do prawdy.

Minęła plac sportowy przy szkole Heleny Lange i doszła do przystanku tramwajowego na Paul Beneke Weg. Linia numer osiem wiodła z przez Neusschottland, boczną ulicą wzdłuż doków stoczni Schichaua i małych, robotniczych domków zbudowanych na granicy fabryki i szarej, nierówno brukowanej ulicy.

Początkowo chciała spotkać się z komisarzem Thiedtke, by jeszcze raz prosić go o pomoc, ale jadąc tramwajem, uświadomiła sobie, że nie zna

jego adresu. Do prezydium bała się wracać i zastanawiała się, co dalej począć. Wiedziała już, że jej szukają, martwiła się o matkę, jednak była pewna, że Georg nie dopuści, by stała się jej krzywdą. Georg.

Pomyślała, że ojciec znienawidzi ją za to, co zrobiła, że już nigdy więcej się do niej nie odezwie. Jeśli Auerbach powiedział Liselotte, dlaczego szukał jej córki, Lotte nie miała już po co wracać na Ring Strasse.

Wysiadła koło szkoły realnej św. Piotra i minąwszy neogotycki kompleks skręciła na skwer przecinając plac Hanzy. Czuła, że serce wali jej coraz szybciej. Miała ochotę zawrócić i uciec, udając przed sobą i światem, że wydarzenia ostatniego tygodnia były pomyłką, zwykłym przypadkiem, że tak naprawdę nic się nie wydarzyło. Zdawała sobie jednak sprawę, że jedyną alternatywą dla tego, co jadąc tramwajem linii numer osiem, postanowiła zrobić, był Heinrich Auerbach i jego esesmani. Jako pracownica prezydium policji doskonale wiedziała, że prawo Trzeciej Rzeszy zdrajców skazywało jednoznacznie na ścięcie toporem.

Kiedy znalazła się w budynku Dyrekcji Polskich Kolei, zatrzymał ją portier strzegący wejścia.

– Nie wolno! Nie wolno! – Krzyczał do Lotte po polsku.

– Chciałam się zobaczyć z Henrykiem Malickim. Proszę mnie wpuścić. Ja muszę zobaczyć się z Henrykiem Malickim. Kapitanem Malickim. Czy on jest w Danzig?

– Spokojnie, spokojnie. – Portier posadził Lotte na ławce koło wejścia i wszedł do portierni, by zadzwonić. – Jakaś Niemka chce się widzieć z kapitanem Malickim. Może to jakaś prowokacja? Nie, jest sama. Jak się nazywa? – Lotte nie rozumiała tego, co portier mówił do słuchawki. – Jak się pani nazywa? – wychylił się w jej stronę, pytając po niemiecku.

– Lotte Meier. Jestem znajomą kapitana Malickiego. – Wstała z ławki.

– Mówi, że nazywa się Lotte Meier i jest znajomą kapitana. – Portier znowu mówił po polsku. – Tak, wysoka blondynka. Dobrze, oczywiście. – Odłożył słuchawkę i wrócił do Lotte. – Zaraz ktoś do pani przyjdzie.

– Dziękuję panu. – Usiadła z powrotem na drewnianej ławce.

Miała wrażenie, że kilka minut, które spędziła, siedząc na korytarzu gmachu siedziby dyrekcji Polskich Kolei, wlokło się w nieskończoność. Układała w myślach to, co powie, kiedy zobaczy Henryka, i zastanawiała się, czy on zechce jej pomóc. Z trwogą myślała o tym, że odeśle ją z powrotem na gdańską ulicę, tam gdzie, wydawało jej się, już czekał na nią Heinrich Auerbach w swoim czarnym, nieoznakowanym mercedesie. Jednak zamiast Henryka Lotte zobaczyła przed sobą pana Turczyńskiego, cichego urzędnika, który mieszkał po sąsiedzku na ulicy Bischofsberg.

– Dzień dobry, panno Meier, jeśli nadal się pani tak nazywa.

Pamięta mnie pani? – powiedział, ściskając jej dłoń. Pomyślała, że jego uścisk był dużo bardziej zdecydowany i mocny, niż mogła spodziewać się po tym spokojnym dziwaku.

– Tak, oczywiście, panie Turczyński. Chciałabym zobaczyć się z Henrykiem Malickim. Potrzebuję pomocy.

– O co chodzi?

– Henryk mówił kiedyś, że mi pomoże, jeśli będę w niebezpieczeństwie. Ja muszę z nim porozmawiać.

– Dobrze, dobrze. Niech się pani uspokoi. Proszę za mną. – Ujął Lotte pod łokieć, drugą ręką wskazał kierunek. – Chodźmy do mojego gabinetu. Tam porozmawiamy.

Weszli na trzecie piętro. Lotte miała wrażenie, że w budynku panowała dużo bardziej nerwowa atmosfera niż ta, którą zapamiętała sprzed lat.

– Pani Ewo, poproszę dwie kawy – pan Turczyński powiedział po polsku do siedzącej w pokoju poprzedzającym jego gabinet sekretarki.

– Tak jest, panie majorze – odpowiedziała kobieta.

Z okien gabinetu widać było plac Hanzy i willę prezydenta senatu. Lotte zastanawiała się, czy Artur Greiser, którego jej ojciec Georg znał w czasach, gdy jako bezrobotny weteran pierwszej wojny światowej latem obwoził motorówką po Motlau chętnych na tego typu rozrywki turystów z Heidelbergu i Jeny, czy ten sam Artur Greiser, który dzięki zaangażowaniu w działalność partyjną został najważniejszym obok gauleitera Forstera człowiekiem w mieście, przyglądał się czasem budynkowi Polskich Kolei, snując plany wysiedleń gdańskich Polaków, do czego nawoływał już czternaście lat wcześniej, gdy jako założyciel organizacji weteranów Wielkiej Wojny pewnego wrześniowego popołudnia wziął udział w demonstracji na Langgasse, wznosząc okrzyki przeciwko Lidze Narodów i polskim skrzynkom pocztowym rozwieszonym w całym Danzig.

– Słucham panią. O co chodzi? – Pan Turczyński usiadł za mahoniowym biurkiem. Nie wydawał się teraz cichym, spokojnym urzędnikiem. Patrzył Lotte prosto w oczy, a w jego wzroku było coś takiego, co zmusiło ją, by sama spuściła wzrok.

– Ja nie mogę tego powiedzieć nikomu poza Henrykiem. – Wzięła głęboki oddech. – Ale on powiedział mi kiedyś, że jak będę miała takie kłopoty, to mogę się do niego zwrócić o pomoc.

Sekretarka wniosła tacę z porcelanowymi filiżankami i dzbankiem, z którego naląła kawę. Znajomy aromat uniósł się w powietrzu, ale Lotte pomyślała, że nawet porcelanę mieli tu inną. Znowu miała ochotę odwrócić się i uciec, uciec od tej rzeczywistości, która dopadła ją tak nieodwołalnie, że zmusiła do tego, by zrobić to, czego nigdy robić nie chciała.

– Panno Meier, ja znam całą pani historię. Major Malicki jest w tej chwili w Bydgoszczy, ale ja z chęcią pani pomogę. Musi mi tylko pani powiedzieć, jak mogę to zrobić.

– Jak to zna pan całą moją historię? Co ma pan na myśli?

– To, co zrobiła pani dla nas kilka lat temu, tam, na Bischofsbergu.

– Henryk panu powiedział?

– Panno Lotte! – Pan Turczyński uśmiechnął się. – No, niechże pani mówi, co się stało.

– Ja muszę uciekać do Szwecji.

– Do Szwecji? Ale to zły adres.

– Miałam nadzieję, że Henryk pomoże mi uciec do Szwecji.

Inaczej Sturmbannführer Auerbach zamknie mnie w obozie pracy albo oskarży o zdradę, a pan wie, co się robi u nas ze zdrajcami.

– Sturmbannführer Auerbach? To funkcjonariusz SD. Czego on chce od pani?

– Skoro pan zna moją historię, to czemu pan pyta? On prowadzi sprawę zabójstwa mojej pracodawczyni, Marianny Walewicz. To znaczy ja pracowałam u niej wtedy, kiedy spotykaliśmy się na Bischofsbergu.

– Tak, tak, wiem.

– Poprosiłam o pomoc tego komisarza, Franza Thiedtke, bo chciałam wiedzieć, co naprawdę stało się pannie Walewicz. I on twierdzi, że to nie ją zabili. I że to zrobił właśnie Auerbach. I on wie, że ja to wiem. I dlatego chce mnie aresztować. Byli już w moim domu.

Proszę mi pomóc, bo ja tam nie mam już do czego wracać.

– Dobrze, dobrze. Proszę się uspokoić. Niech się pani napije dobrej kawy, a ja zaraz wrócę. – Podsunął Lotte filiżankę z kawą i wyszedł z gabinetu. Nim zdążyła upić kilka łyków wrócił. Nie sam.

– Witam, panno Meier. – Lotte omal nie upuściła na podłogę porcelanowej filiżanki, którą trzymała w dłoni.

Marian Walewicz wydawał się zmęczony, twarz miał poszarzałą, ale uśmiechał się przyjaźnie.

– Major mówi, że ma pani kłopoty. – Przysunął krzesło i usiadł obok niej. – Panno Meier, cóż pani tak zbladła?

Kiedy otworzyła oczy, leżała na niewygodnej kanapie obitej pasiastym jedwabiem. Pan Turczyński rozmawiał ściszym głosem z Marianem Walewiczem stojąc przy oknie, za którym rozpościerał się widok w stronę placu Hanzy, a nad jej głową pochylał się nieznajomy mężczyzna o pucołowatej twarzy z małą, spiczastą bródką. Uśmiechnął się, kiedy na niego spojrzała.

– Jak się pani czuje? – zapytał. Mówił z tym samym gdańskim akcentem, którym posługiwał się Georg Meier.

– Co się stało? – zdjęła z czoła mokrą chustkę i podniosła się z kanapy.

– Zemdlała pani. Jestem lekarzem, wezwał mnie major Turczyński.

– Major Turczyński? – Lotte usiłowała przypomnieć sobie, co się wydarzyło.

– Jak się pani czuje? – Marian Walewicz i pan Turczyński przerwali rozmowę i podeszli bliżej.

– Zemdlała pani chyba z mojego powodu, panno Lotte. – Marian Walewicz uśmiechnął się.

– Nie spodziewałam się spotkać tu pana.

Lekarz nalał z kryształowej karafki wodę i podał Lotte szklanekę.

– Przyjechał pan jednak na pogrzeb Marianny?

– Panno Lotte, wiem, co się stało. – Marian Walewicz spoważniał.

Usiadł obok niej, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po paczkę papierosów, ale zrezygnował z zapalenia jednego z nich, i wsunął paczkę z powrotem do kieszeni. – Przykro mi, że tak się to dla pani skończyło.

Nie przypuszczaliśmy, że Auerbach upozoruje śmierć Marianny i zleci zabójstwo tej nieszczęsnej dziewczyny. A potem wplącze w to wszystko jeszcze panią.

– Więc to prawda? Marianna żyje? – Lotte wyciągnęła pustą szklankę w stronę lekarza, który usłużnie nalał wodę. Wypiła ją jednym haustem. – Ten komisarz to odkrył. Powiedział mi, że to wszystko była mistyfikacja, że to nie była Marianna. Ale ja mu nie wierzyłam. To wszystko było takie... takie nieprawdopodobne. Dlaczego on to zrobił?

Po co?

– Nie chciał, żeby Marianna zginęła. Kiedy wybuchnie wojna, sytuacja Polaków w Gdańsku nie będzie dobra, nie muszę chyba pani o tym przekonywać. Już Greiser się o to postara. A skoro Marianna będzie martwa, nikt już nie będzie jej szukał. Będzie bezpieczna. A przy okazji bezpieczny będzie też Auerbach.

– Pani popsuła mu plan. Musiało go to bardzo zdenerwować – wtrącił pan Turczyński.

– Ja tu przyjechałam z Langfuhr. On był u mnie w domu z tymi swoimi ludźmi. Ja nie wiedziałam, co robić. Komisarz Thiedtke powiedział, żebym uciekała do Polski albo do Szwecji. Bo inaczej wyląduję w obozie pracy. Albo skażą mnie za zdradę. Ja wiedziałam, że to mnie kiedyś dopadnie.

Lotte już chciała wykrzyczeć Marianowi Walewiczowi, że to wszystko było jego winą, że to przez niego straciła złudzenia, zaufanie do ludzi i wiarę w prawdę, że to przez niego znalazła się teraz po drugiej stronie muru, choć kiedyś nawet nie myślała o jego istnieniu. Przez niego poznała, czym jest strach i zakłamanie. Gdyby nie on i jego córka, byłaby teraz zwykłą dziewczyną spacerującą nad Motlau, nieświadomą istnienia wyniszczających emocji i toczącej się w zaułkach Danzig podjazdowej wojny, która miała być tylko wstępem do tego, co niektórzy już porównywali z Wielką Wojną sprzed dwóch dekad.

Jednak wtedy w Danzig nikt z nikim nie walczył, a sąsiedzi, bez względu na pochodzenie swych przodków, razem wypatrywali powrotu

tych, którzy nie bardzo rozumiejąc, dlaczego wyrwano ich z codziennego życia na Brotbänkergasse i Fahrenheitstraße, z Zoppott, Weichselmünde i Ohry, w imię cesarza Wilhelma walczyli przeciwko podobnym sobie chłopakom z Dorset i Kensington, Lyonu i Tuluzy, choć żaden z nich nie był nigdy w Bośni i nie planował tego, co miesiąc przed swymi dwudziestymi urodzinami zrobił Gawriło Princip, jeden z dziewięciorga dzieci skromnego listonosza z Sarajewa.

– Dobrze, że pani do nas przyszła. – Marian Walewicz ujął jej dłoń w swoją rękę. – Marianna, co prawda, wyjechała już z Gdyni, ale myślę, że ucieszy się, kiedy spotka się z panią w Warszawie.

– W Warszawie? Ale ja myślałam o wyjeździe do Szwecji.

Szwecja jest neutralna.

– Sądzę, że wyprawa przez Bałtyk to w tej chwili nie jest dobry pomysł – wtrącił się pan Turczyński.

– Tak, czy inaczej, musimy panią przewieźć do Gdyni – powiedział Marian Walewicz, wstając. – I to jak najszybciej. Ale najpierw niech pani to zdejmie – wskazał na małą, emaliowaną odznakę NSDAP, którą Lotte nosiła wpiętą w klapę szarego, służbowego żakietu.

Lotte szybko odpięła odznakę i bez słowa wsunęła ją do kieszeni.

Długo obracała ją w dłoni, nim w końcu zdecydowała się odkręcić szybę i wyrzucić ją przez otwarte okno polskiego fiata, którym wraz z Marianem Walewiczem jechała szosą prowadzącą z przejścia granicznego w Zoppott w stronę Gdingen. Był ostatni dzień sierpnia.

NAZWY ULIC I MIEJSC W JĘZYKU NIEMIECKIM I POLSKIM

Adolf Hitler Strasse – ul. Grunwaldzka (Gdańsk)

Altstädtischer Graben – ul. Podwale Staromiejskie (Gdańsk)

Am brausenden Wasser – ul. Wartka (Gdańsk)

Am der Reitbahn – ul. Bogusławskiego (Gdańsk)

Am Olivaer Tor – ul. Dyrekcyjna (Gdańsk)

Am Schlossgarten – ul. Opata Rybińskiego (Oliwa)

Artushof – Dwór Artusa

Bartholomäikirche – Kościół Św. Bartłomieja Bärenweg – ul.
Mickiewicza (Wrzeszcz)

Beethovenstrasse – ul. Książąt Pomorskich (Sopot)

Bischofsberg – Biskupia Górka

Bohnsack – Sobieszewo

Bohnsackinsel – Wyspa Sobieszewska

Böttchergasse – ul. Bednarska (Gdańsk)

Bleihof – Ołowianka

Brauershohe – Wzgórze Piwowara (Sopot Kamienny Potok)

Brocklosengasse – ul. Mokra (Gdańsk)

Brotbänkergasse – ul. Chlebnicka (Gdańsk)

Breitgasse – ul. Szeroka (Gdańsk)

Brösen – Brzeźno

Burgstraße – ul. Grodzka (Gdańsk)

Das Grosse Zeughaus – Zbrojownia
Danziger Sparkasse – Gdańska Kasa Oszczędnościowa
Danzigerstrasse – Szosa Gdańska (Sopot)
Danziger Werder – Żuławy Wiślane
Dam I – ul. Grobla I (Gdańsk)
Dam II – ul. Grobla II (Gdańsk)
Delbrückallee – ul. Dębinki (Gdańsk)
Dominikswall – ul. Wały Jagiellońskie
Elbing – Elbląg
Fahrenheitstraße – ul. Fahrenheita (Gdańsk)
Faulgraben – ul. Gnilna (Gdańsk)
Fischbrücke – ul. Rybackie Pobrzeże (Gdańsk)
Fischmarkt – Targ Rybny (Gdańsk)
Frauengasse – ul. Mariacka (Gdańsk)
Frauengassetor – Brama Mariacka
Gartengasse – ul. Radna (Gdańsk)
Gdingen – Gdynia
Georgstrasse – ul. Obrońców Westerplatte (Oliwa)
Glettkau – Jelitkowo
Grosse Wollwebergasse – ul. Tkacka (Gdańsk)
Grüne Brücke – Most Zielony
Grünethor – Zielona Brama
Gutenbergheim – Las Gutenberga
Hagelsberg – Góra Gradowa
Hakelwerk – Osiek
Hansaplatz – Plac Hanzy, dziś nie istnieje
Häkertor – Brama Straganiarska
Heeresanger – Al.Legionów (Wrzeszcz)

Heilige-Geist-Gasse – ul. Św.Ducha (Gdańsk)
Hermanshöferweg – ul. Wassowskiego (Wrzeszcz)
Heubude – Stogi
Heveliusplatz – ul. Obrońców Poczty Polskiej (Gdańsk)
Hohes Tor – Brama Wyzynna
Holzgasse – ul. Kładki (Gdańsk)
Holzmarkt – Targ Drzewny (Gdańsk)
Hopfengasse – ul. Chmielna (Gdańsk)
Hundegasse – ul. Ogarna (Gdańsk)
Irrgarten – Mały Błednik, dziś ul. Wały Jagiellońskie
Jäschkentalerweg – ul. Jaškowa Dolina (Gdańsk)
Jopengasse – ul. Piwna (Gdańsk)
Jungfrauengasse – ul. Panieńska (Gdańsk)
Junkergasse – ul. Pańska (Gdańsk)
Kaiserthal – Cesarska Dolina, dziś ul. 23 marca
Kapellenstrasse – ul. Kapliczna (Jelitkowo)
Karenwall – ul. Okopowa (Gdańsk)
Karlsberg – Góra Pacholek Karpfenseigen – ul. Karpia (Gdańsk)
Karthäuser Straße – ul. Kartuska (Gdańsk)
Kaschubischer Markt – nieistniejący Targ Kaszubski (Gdańsk)
Ketterhagergasse – ul. Zbytki (Gdańsk)
Kieck in die Köck – Baszta Jacek
Klosterstrasse – ul. Cystersów (Oliwa)
Kohlenmarkt – Targ Węglowy (Gdańsk)
Konradshammer – ul. Chłopska (Oliwa)
Korkenmachergasse – ul. Szewska (Gdańsk)
Königsberg – Królewiec
Königshöhe – Królewskie Wzgórze

Königstaler Weg – ul. Sobieskiego (Wrzeszcz)
Labesweg – ul. Lelewela (Wrzeszcz)
Lange Brücke – ul. Długie Pobrzeże (Gdańsk)
Langgasse – ul. Długa (Gdańsk)
Langermarkt – Długi Targ
Langfuhr – Wrzeszcz
Langgasse Tor – Złota Brama (Brama Długouliczna)
Marienkirche – Kościół Mariacki
Markthalle – Hala Targowa
Marienburg – Malbork
Mattenbuden – ul. Szopy
Max Halbe Platz – Plac Komorowskiego (Wrzeszcz)
Milchkannenbrücke – Most Sągiewny (Gdańsk)
Mirchauer Weg – ul. Partyzantów (Wrzeszcz)
Motlau – rzeka Motława
Neufahwasser – Nowy Port
Neugarten – ul. Nowe Ogrody (Gdańsk)
Neue Motlau – Nowa Motława
Neues Markt – Plac Wybickiego
Neusschottland – Nowe Szkoty
Ohra – Orunia
Oliva Thor – Brama Oliwska (Gdańsk)
Olivaer Straße – ul. Oliwska (Nowy Port)
Ost Neufähr – Górki Wschodnie na Wyspie Sobieszewskiej
Ostseestrasse – Al. gen. J. Hallera (Wrzeszcz)
Paul Beneke Weg – ul. Marynarki Polskiej (Wrzeszcz)
Pelonken Strasse – ul. Polanki (Oliwa)
Pestalozzistrasse – ul. Pestalozziego (Wrzeszcz)

Pfeferstadt – ul. Korzenna (Gdańsk)
Portechaisengasse – ul. Lektykarska (Gdańsk)
Posadowskiweg – ul. J.Kochanowskiego (Wrzeszcz)
Pregel – rzeka Pregoła
Radaune – rzeka Radunia
Rickertstrasse – ul. Obrońców Westerplatte (Sopot)
Ringstrasse – ul. Kościuszki (Wrzeszcz)
Schäferei – ul. Szafarnia (Gdańsk)
Schiedlitz – Siedlce
Schlossgarten – Ogród Oliwski
Schüsseldamm – ul. Łagiewniki (Gdańsk)
Schwarzes Meer – dziś nieistniejąca
Schleusengasse – ul. Kieturakisa (Gdańsk)
Schulstraße – ul. Kościuszki (Sopot)
Schusterhof – dziś nie istnieje (Gdańsk)
Seestrasse – ul. Bohaterów Monte Cassino (Sopot)
Speicherinsel – Wyspa Spichrzów (Gdańsk)
Stadtgraben – ul. Podwale Grodzkie (Gdańsk)
Steinfließ – przejście graniczne między WMG a Gdynią w Kolibkach,
granica na potoku Swelina
Stettin – Szczecin
St. Marienkrankenhaus – szpital, dziś Uniwersytet Medyczny
Tiegenhof – Nowy Dwór Gdańsk
Tischlergasse – ul. Stolarska (Gdańsk)
ThornscheGasse – ul. Toruńska (Gdańsk)
Tote Weichsel – Martwa Wisła
Töpfergasse – ul. Garncarska (Gdańsk)
Vorstädtischer Graben – Podwale Przedmiejskie (Gdańsk)

Weichselmünde – Wisłoujście

Weidengasse – ul. Wierzbowa, dzisiejsza ul. Łąkowa (Gdańsk)

Winterplatz – Targ Maślany (Gdańsk)

Wordel – Orle na Wyspie Sobieszewskiej

Yorkstraße – ul. Świętopełka (Oliwa)

Zentralfriedhof – Cmentarz Srebrzysko (Wrzeszcz)

Zoppot – Sopot

Zinglershöhe – Wzgórze Zinglera

Przypisy

- [1] Piękne fląderki, panienko! Świeże dorsze!
- [2] Stempelgeld – zasiłek dla bezrobotnych.
- [3] Z powrotem do Rzeszy! – hasło niemieckich zwolenników przyłączenia Gdańska do rzeszy.
- [4] Paul Enderling „Freuline”.
- [5] Henryk Mann, „Profesor Unrat...”.
- [6] Joseph Karl Benedikt von Eichendorff, „In Danzig”.
- [7] „Rekin zęby ma na wierzchu. A tych zębów pełen pysk A Macheath ma nóż w kieszeni / Kto tam dojrzy jego błysk”. Ballada o Mickie Majchrze.
- [8] Hugo Althoff, absolwent gdańskiej Politechniki, zaprojektował Dolny Wrzeszcz.
- [9] Muckefuck to niemiecki surogat kawy.
- [10] Związek Niemieckich Dziewcząt, sekcja żeńska narodowosocjalistycznej organizacji Hitlerjugend.
- [11] Obóz przejściowy Victoria Schule.
- [12] Lew z Oruni.
- [13] Gdańsk pozostanie niemiecki!